

DANIEL PENNAC

**WSZYSTKO
DLA POTWORÓW**

(tłumacz: Ewa Wende)

“ (...) wierni wierzą, że wystarczy,
by jakiś święty po prostu był (...)
bo wtedy grom dosięgnie jego zamiast ich

RENE GIRARD
Kozioł ofiarny

“Źli ludzie na pewno zrozumieli coś,
o czym dobrzy nie mają pojęcia.”

WOODY ALLEN

Z megafonu sływa kobiecy głos, lekki i obiecujący jak welon panny młodej.

- Pan Malaussene jest proszony do działu reklamacji.

Głos niczym mgiełka, zupełnie jakby zaczęły przemawiać zdjęcia Hamiltona. Jednak za mgłą panny Hamilton wyczuwam cień uśmiechu. No dobrze, idę. Może dotrę za tydzień. Mamy dwudziesty czwarty grudnia, jest szesnasta piętnaście. Dom Towarowy pęka w szwach. Gęsty tłum klientów obwieszonych prezentami tarasuje przejścia. Lodowiec, który wycieka niepostrzeżenie, posępna atmosfera nerwowości. Uśmiechy półgębkiem, błyszczące od potu twarze, głuche przekleństwa, nienawistne spojrzenia, piski przerażonych dzieci zaczepianych co krok przez jakiegoś brodatego świętego Mikołaja.

- Nie bój się, kochanie, to święty Mikołaj.

Lampy błyskowe.

Co do świętego Mikołaja, to widzę jak, gigantyczny i przezroczysty, wznosi swą fantastyczną postać ludożercy ponad zastygłą ciżbą. Ma pąsowe wargi. Białą brodę. Dobrotliwy uśmiech. Z kącików jego ust sterczą dziecięce nóżki. To najnowszy rysunek Malca. Zrobił go wczoraj w szkole. Mina nauczycielki: "Uważa pan, że to normalne, żeby dziecko w tym wieku rysowało takiego Mikołaja?" "A święty Mikołaj - odpowiedziałem - uważa pani, że on jest całkiem normalny" Wziąłem Malca na rękę, aż kipiał z gorączki. Był tak rozpalony, że zapotniały mu okulary. Przez to jeszcze bardziej zezował.

- Pan Malaussene jest proszony do działu reklamacji.

Pan Malaussene słyszał, psiakrew! Jest już nawet pod głównymi schodami ruchomymi. I już by na nie wszedł, gdyby nie stanął jak wryty na widok czarnego pyska gwintowanego działka. Bo to we mnie celuje drań, ani chybi. Wieżyczka obróciła się wokół osi, znieruchomiła, potem lufa podniosła się, żeby wymierzyć mi między oczy. Wieżyczka i działko należą do czołgu AMX 30 zdalnie prowadzonego przez staruszkę wzrostu metr czterdzieści, który manipulując przyrządem wydaje krótkie okrzyki zachwytu. Jest to jeden z niezliczonych małych staruszków od Tea. Naprawdę malutki, bardzo stary, rozpoznawalny po szarej bluzie. Teo tak ich ubiera, żeby żadnego nie tracić z oka.

- Mówię po raz ostatni, dziadku, odłóżcie tę zabawkę na miejsce!

Sprzedawczyni karci go, znużona, zza półki z zabawkami. Ma sympatyczny wygląd wiewiórki przechowującej orzeszki w policzkach. Staruszek popluwa dziecinny nie, z kciukiem na przycisku "ogień". Trzaskam obcasami nienagannie baczność i powiadam:

- AMX jest przestarzały, panie pułkowniku, dobry na złom albo do Ameryki Łacińskiej.

Staruszek obrzuca swoje cacko zasmuconym spojrzeniem, po czym zrezygnowanym ruchem daje znak, że mogę przejść. Uśmiech sprzedawczyni obdarza mnie patentem z gerontologii. Cazeneuve, gliniarz odpowiedzialny za to piętro, wyrasta spod ziemi i wściekłym ruchem zabiera czołg.

- Oczywiście, zawsze nas musisz w coś wpakować, Malaussene...

- Zamknij się, Cazeneuve.

Nastrój...

Starzec, któremu odebrano zabawkę, stoi machając rękami. Z pewną ulgą dają się

unosić schodom, jakby w nadziei, że wyżej będzie więcej powietrza.

Wyżej natrafiam na Tea. Wciśnięty w garnitur koloru różowego flaminga czeka jak zwykle w kolejce do fotoautomatu. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

- Jeden z twoich dzidziusiów rozrabia w zabawkowym, Teo.

- Tym lepiej. Przynajmniej w tym czasie nie sterczy z rozpiętym płaszczem pod jakąś szkołą.

Uśmiech.za uśmiech. Potem, kątem oka, Teo pokazuje szklaną klatkę działu reklamacji.

- Wygląda na to, że chodzi o ciebie.

Rzeczywiście w lot pojmuję, że Lehmann już od jakiegoś czasu jest w swoim żywiole. Właśnie tłumaczy klientce, że to całkowicie moja wina. Z oczu damy krótkimi strumykami tryskają łzy. W kącie postawiła rozklekotany wózek z tłustym bachorem wpakowanym weń na siłę. Otwieram drzwi. Słyszę, jak Lehmann, tonem najszczerzej solidarnym, stwierdza:

- Całkowicie się z panią zgadzam, to absolutnie nie dopuszczalne, zresztą...

Zobaczył mnie.

- Zresztą, otóż i on, zapytamy, co też o tym myśli.

Jego głos zmienił rejestr. Ze współczującego przechodzi w zjadliwy. Sprawa jest prosta. Lehmann przedstawia mi ją ze spokojem hipnotyzera. Tłuste dziecko obrzuca mnie spojrzeniem radosnym jak cały ten nasz świat. No więc, trzy dni temu mój dział sprzedał ponoć obecnej tu pani lodówkę o takiej pojemności, że zmieściła się w niej piekielnie duża porcja dań wigilijnych na dwadzieścia cztery osoby, razem z przystawkami i deserem. "Piekielnie" jest, skądinąd, odpowiednim słowem, gdyż w nocy, z powodów, których wyjaśnienia Lehmann ode mnie oczekuje, rzeczona lodówka zamieniła się w spalarkę. Cud, że dama nie spłonęła żywcem otwierając rano drzwiczki. Rzucam krótkie spojrzenie na klientkę. Brwi, rzeczywiście, lekko zrudziały. Przez jej gniew przebija cierpienie, co ułatwia mi przybranie pełnej skruchy postawy. Niemowle patrzy na mnie, jakbym to ja był przyczyną wszelkiego zła. Mój wzrok z kolei zwraca się z niepokojem ku Lehmannowi, który skrzyżowawszy ramiona oparł się o kant biurka i mówi:

- Czekam.

Cisza.

- Kontrola techniczna należy do pana, prawda?

Przyznaję, chyląc głowę, i bełkoczę, że właśnie, nie rozumiem, testy kontrolne zostały zrobione...

- Tak samo było z kuchenką gazową w zeszłym tygodniu i z odkurzaczem dla firmy Boery.

We wzroku dzieciaka czytam jasno, że całą winę za zagładę malutkich fok w łonie matek ponoszę właśnie ja. Lehmann ponownie zwraca się do klientki. Dziękuje jej za to, że nie wahała się złożyć stanowczego zażalenia. (Na zewnątrz Teo wciąż czeka przed drzwiami fotoautomatu. Żeby tylko nie zapomniał poprosić go o odbitkę do albumu Malca.) Lehmann uważa, że do obowiązków klienteli należy współdziałanie w uzdrawianiu Handlu. Rozumie się samo przez się, że zażalenie zostanie uwzględnione i że Sklep dostarczy natychmiast inną lodówkę.

- Jeśli chodzi o dodatkowe szkody materialne, na które pani sama i pani bliscy zostali narażeni (tak przemawia były podoficer Lehmann, a na dnie jego głosu dźwięczy wspomnienie

starej kochanej Alzacji, gdzie doleciał był na "Bocianie" - zresztą napędzanym rieslingiem), to pan Malaussene będzie miał przyjemność je naprawić. Na swój koszt, naturalnie. - I dodaje: - Wesołych Świąt, Malaussene.

Teraz, kiedy Lehmann odmalowuje przed nią swoją karierę w firmie, kiedy mówi, że dzięki niej ta kariera się skończy, już nie gniew czytam w zmęczonych oczach klientki, ale zakłopotanie, a potem współczucie, które wyciska z oczu łzy: wkrótce zawisną, drżące, na koniuszkach rzęs.

Gotowe, przyszedł czas, by uruchomić swoją własną łzową sikawkę. Co też czynię, odwracając spojrzenie. Przez szybę zatapiam wzrok w Golfstrom płynący w Sklepie. Bezlitosne serce pompuje wciąż dodatkowe krwinki w pozatykane arterie. Wydaje mi się, że ludzkość cała pełźnie, uginając się pod jednym gigantycznym prezentem. Śliczniutki przezroczyście balony ulatują bezustannie znad dziani zabawek i gromadzą się tam, wysoko, pod matowym szklanym dachem. Światło dnia sączy się przez te wielobarwne grona. Piękne. Klientka na próżno usiłuje przerwać Lehmannowi, który kreśli bezlitośnie zarys mojego przyszłego życiorysu. Nienadzwyczajny. Ze dwa, trzy marne stanowiska, kolejne zwolnienia, w końcu bezrobocie, przytułek i w perspektywie wspólna mogiła. Kiedy wzrok klientki kieruje się na mnie, cały już tonę we łzach. Lehmann nie podnosi głosu. Metodycznie dokręca śrubę.

To, co teraz widzę w oczach klientki, nie zaskakuje mnie. Widzę tam *ją samą*. Gdy tylko zacząłem płakać, postawiła się w mojej sytuacji. Współczucie. Wreszcie udaje się jej przerwać Lehmannowi, w chwili gdy ten nabiera powietrza. Cała wstecz. Wycofuje skargę. Wystarczy, że uwzględnimy zażalenie, niczego więcej nie żąda. Nie muszę zwracać za wigilię na dwadzieścia pięć osób. (W którymś momencie Lehmann na pewno wspomniał o moich zarobkach.) Miałaby do siebie żal, gdybym stracił posadę w przeddzień świąt. (Lehmann wymówił słowo Boże Narodzenie ze dwadzieścia razy.) Błąd może popełnić każdy, ona sama, nie tak dawno, u siebie w pracy...

Pięć minut później opuszcza dział reklamacji z kuponem na nową lodówkę. Dziecko i wózek utknęły na chwilę w drzwiach. Klientka pcha z nerwowym chlipnięciem.

Zostajemy z Lehmannem sami. Patrzą przez chwilę na jego gębę, która krzywi się w uśmiechu, po czym mając już wszystkiego serdecznie dosyć, mamrocze:

- Niezła z nas banda drani, no nie?

Otwiera szeroko tę swoją jadaczkę, żeby mi odpowiedzieć. Coś mu ją jednak zamyka

To coś pochodzi z brzucha Sklepu.

Głuchy wybuch. A potem ryk.

2

Rozpłaszczamy obaj nosy na szklanej szybie. Z początku nic nie widzimy. Dwa albo trzy tysiące poderwanych wybuchem balonów zasłania nam Sklep. Dopiero kiedy uniosą się powoli ku światłu, zobaczymy coś, czego ja wolałbym nie widzieć.

- Cholera - mamrocze Lehmann.

Wśród klientów panuje totalna panika. Wszyscy szukają wyjścia. Mocniejsi tratują słabszych. Niektórzy przebiegają bezpośrednio po ladach, w powietrzu fruują tumany slipków i skarpetek. Tu i ówdzie jakiś sprzedawca albo kierownik piętra stara się zapobiec panice. Wysoki facet w fioletowej marynarce leży w poprzek gablotki z kosmetykami. Otwieram szklane drzwi działu reklamacji: jakbym otworzył okno w samym środku tajfunu. Sklep jest jednym wielkim rykiem. Głosik przez megafon obok mnie próbuje przywrócić spokój. Gdyby śmierć nie groziła od czegoś całkiem innego, można by umrzeć ze śmiechu, słysząc delikatny rozpylacz panny Hamilton pośród szalejącego huraganu. Na dole wojna. Na górze balony, znowu przezroczyste. Całe to przerażające widowisko tonie w wyjątkowo łagodnym różowym świetle. Lehmann dołączył do mnie i wrzeszczy mi w ucho:

- Skąd ten ryk? Gdzie walnęło?

Coś, jakby pozostałe po Indochinach podniecenie, pobrzmiwa w jego głosie starego wojaka. Nie wiem, gdzie walnęło. Stos ciał, najeżony od rąk i nóg, zatyka ruchome schody. Klienci wbiegają po cztery stopnie na schody, które jadą w dół, ale cofają się pod naporem fali płynącej z góry. Zanim się dogadają, wszyscy lądują z powrotem na dole i wpadają na ludzki korek. Wszystko to kłębi się i wyje.

- Cholera - ryczy Lehmann - cholera, cholera, cholera...

Skacze w stronę schodów, rozpychając się łokciami, dopada gałki wyłącznika i unieruchamia maszynę.

W drzwiach fotoautomatu Teo ogląda pod światło swoją łepetynę w czterech egzemplarzach. Wydaje się zadowolony. Wyciąga do mnie jedno ze zdjęć:

- Masz - mówi - do albumu Malca.

A potem robi się spokojnie. Spokojnie, jako że, o dziwo, nic się dalej nie dzieje. Coś gdzieś wybuchło i tyle. Więc robi się spokojnie. A niebawem słycać słodką Hamilton, która uprasza naszą szanowną klientelę, aby bez paniki opuszczała Sklep, a naszych sprzedawców, by powrócili na swe stanowiska. I tak też się dzieje. Tłum odpływa łagodnie w stronę wyjść. Pozostawia za sobą wolną przestrzeń pełną butów, różnokolorowych paczek i porzuconych dzieci. Spodziewam się zobaczyć co najmniej setkę trupów. Ale nie, tu i ówdzie pracownicy pochylają się nad na wpół ogłuszonymi klientami, którzy w końcu podnoszą się i utykając idą w stronę drzwi.

Niewielkie boczne drzwi są zarezerwowane dla policji. Toteż gliny wchodzą tamtędy. Kierują się wprost do działu zabawek. Działu zabawek! Z miejsca myślę o drobnej sprzedawczyni -wiewiórcie i o staruszku od Tea. Pokonuję susami znieruchomiałe schody w przecuciu, które jak wszystkie przecucia jest fałszywe. Trupem okazuje się mężczyzna około sześćdziesiątki - sądząc po tym, co z niego wyleciało, musiał być brzuchaty. Niewiele brakowało, a wybuch rozerwałby go na dwie części. Wymiotuję, starając się, by nikt tego nie

widział, i myślę o Lunie. O Lunie, Laurentym i o dziecku. Trzy razy dzwoniła: "Poradź mi, Ben. Jakie jest twoje zdanie?" Cóż ja ci mogę poradzić, moje biedactwo, wiesz, jak jest.

Myśli zupełnie nie na miejscu, gdy rozerwanego klienta okrywają płachtami.

- Niezbyt ładne, co?

Niepozorny gliniarz obdarza mnie miłym uśmiechem. Zważywszy na mój nastrój, wolę to niż nic. Odpowiadam trochę przez wdzięczność, nieomal obojętnie:

- Nie za bardzo.

Pochyla głowę i mówi:

- Ale ci samobójcy w metrze to było jeszcze gorsze!

(Otóż i pociecha...)

- Mięcho wszędzie, palce powkręcane w szprychy... Tak sobie gadam, bo jestem najmniejszy w brygadzie, a zawsze na mnie pada.

To nie gliniarz, to strażak. Granatowy strażak z czerwoną obwódką. Naprawdę bardzo nieduży. Hełm, większy niż on sam, błyszczy u pasa.

- Ale dopiero z takimi, co się spala na szosie, nie idzie wyrobić. Smród długo trzyma. Siedzi we włosach ze dwa tygodnie.

Nie ma już balonów w dziale zabawek. Eksplozja zdmuchnęła wszystkie. Są tam, wysoko, pod szkłem dachu. Ktoś przyprawia moją małą wiewiórkę, która szlocha. Strażak pokazuje na przykryte ciało:

- Zauważył pan? Miał rozpięty rozporek!

(Nie. Nie zauważyłem. Nie.)

Na szczęście głośniki nakazują, bym się rozstał z moim sympatycznym strażakiem. (Jakby gong kończący rundę, że tak powiem.) Teraz z kolei pracownicy są proszeni o opuszczenie Sklepu. Wymogi śledztwa. Wesołych Świąt.

Wychodząc z działu zabawek łapię w locie różnokolorową piłkę i pakuję ją do kieszeni. Z tych przezroczyстых, które odbijają się wielokrotnie. Staram się opatulić ją w papier w drukowane gwiazdki. Też powinienem podarować jakieś prezenty. Oddaję służbowy garnitur do szatni i wychodzę.

Na ulicy zbity tłum oczekuje, że może cały Dom Towarowy wyleci w powietrze. Lodowate zimno uprzytamnia mi, że umierałem z gorąca. Mam nadzieję, że metro będzie puste, skoro tłum jest na ulicy. Niestety, jest także w metrze.

Mam kwaterę 3 na 6 na 9 w okolicy Pere-Lachaise, ulica Folies Regnault 78. W chwili gdy wchodzę, dźwięczy uparcie telefon. Jestem zawsze szybki, kiedy na mnie dzwonią.

- Ben, nic ci nie jest?

To Luna, moja siostra.

- A co ma być?

- Bomba w Sklepie...

- Wszystko wysadzili. Ja jeden ocalałem.

Śmieje się. Milknie. A potem mówi:

- A propos wysadzania w powietrze, podjęłam decyzję.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie małej bomby. Mam zamiar wysadzić mojego małego lokatora. Zabieg, Ben. Chcę zatrzymać Laurentego.

Znowu milczenie. Słyszę, jak płacze. Ale gdzieś z oddali. Robi, co może, żeby to przede mną ukryć.

- Posłuchaj, Luna.

Posłuchaj o czym? Klasyczna historia. Ona, miła pielęgniarka, i on, przystojny lekarz, miłość od pierwszego wejrzenia, decyzja, że będą sobie patrzeć w oczy już do końca życia. Ale z biegiem lat myśl o tym trzecim staje się coraz bardziej natarczywa. Kobięcy apetyt na powielanie: Życie.

- Posłuchaj, Luna...

Słucha, ale ja się nie odzywam, więc w końcu ona się niecierpliwi.

- Przecież słucham.

No więc mówię. Mówię, że tego małego lokatora trzeba zatrzymać. Skoro pozbyła się poprzednich, bo nie kochała tatusiów, to chyba nie wyrzuci tego, bo kocha tatusia za bardzo. No? Luna? Bez żartów, przestań się wygłupiać. ("Sam przestań się wygłupiać", szemrze gdzieś we mnie znajomy głosik. Zupełnie jakbym słyszał *Pozwólcie im żyć.*) Ale ciągnę dalej, idę za ciosem:

- W każdym razie już nigdy nie byłoby tak jak przedtem. Miałabyś Laurentemu do końca życia za złe, ja cię znam. Może nie będziesz wymachiwać przed nosem mordercy parą jajników jak sztandarem, ale nabierzesz do niego wstrętu. Rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Płacze, śmieje się, znowu płacze. Pół godziny!

Ledwo odłożyłem słuchawkę, zupełnie wykończony, znowu brzęczy.

- Halo, mój malutki, wszystko dobrze?

Mama.

- Wszystko dobrze, mamo, dobrze.

- No coś podobnego, bomba w Sklepie. U nas by to nie było możliwe.

Chodzi jej o uroczy sklep z artykułami żelaznymi na parterze, gdzie spędziłem dzieciństwo na tym, żeby nie nauczyć się majsterkowania. Sklep, który w końcu przybrał postać mieszkania dla dzieci. Zapomina o metalowej żaluzji u Morela, sklepikarza z przeciwką, zdmuchniętej od plastikowego ładunku w pewien czerwcowy poranek w sześćdziesiątym

drugim. Zapomina o dwóch facetach w dwurzędówkach, którzy przyszli jej poradzić, żeby uważała na dobór klienteli. Urocza jest mama, nie pamięta wojen.

- Dzieci mają się dobrze?

- Dzieci mają się dobrze, są na dole.

- Co robicie w Boże Narodzenie?

- Spędzimy je we własnym gronie, to znaczy w piątkę.

- Mnie Robert zabiera do Chalons.

(Chalons-sur-Mame, biedna mama.) Mówię:

- Brawo dla Roberta!

Zaczyna się gruchanie.

- Dobry z ciebie syn, mój malutki.

(No to mamy dobrego syna.)

- Reszta twoich dzieci też jest niezgorsza, mateczko.

- To dzięki tobie, Beniaminku, zawsze byłeś dobrym synem.

(Po gruchaniu łkanie.)

- A ja was porzuciłam...

(No to mamy niedobrą matkę.)

- To nie jest porzucenie, mamo, to odpoczynek, odpoczywasz!

- Co też ze mnie za matka, Ben, powiedz tylko, co za matka...

Ponieważ już obliczyłem, ile czasu potrzebuje, by odpowiedzieć na własne pytania, kładę delikatnie słuchawkę, idę do kuchni i szykuję sobie wyśmienitą kawę po turecku z pianką. Kiedy wracam do pokoju, matka w telefonie nadal rozprawia o sobie...

- ...to była moja pierwsza ucieczka, Ben, miałam trzy lata...

Wypiwszy kawę odwracam filiżankę do góry dnem i stawiam ją na spodku. Z gęstych fusów Teresa mogłaby wyróżnić przyszłość całej dzielnicy.

- ...to było dużo później, miałam osiem, a może dziewięć lat...Ben, słuchasz mnie?

Tę właśnie chwilę wybiera domofon, żeby zakrzeczeć.

- Słucham cię, mamo, ale muszę kończyć, dzieciaki dzwonią z dołu! No, odpoczywaj zdrowo i pamiętaj, brawo dla Roberta!

Odkładam jedną słuchawkę i podnoszę drugą. Cierpki głos Teresy wwierca mi się w bębenki.

- Ben, Jeremiasz daje nam popalić, nie chce odrabiać lekcji!

- Uważaj, jak się wyrażasz, Teresa. Nie używaj tego języka, co twój brat.

Teraz właśnie eksploduje głos brata.

- To ta cipa daje popalić, nic nie potrafi wytłumaczyć!

- Uważaj, jak się wyrażasz, Jeremiasz, nie używaj tego języka, co twoja siostra. I daj mi Klarę, dobra?

- Beniamin?

Ciepły głos Klary. Zielony aksamit, dobrze naciągnięty, po którym każde słowo toczy się z cichą oczywistością bielutkiej kuli.

- Klara? Jak tam Malec?

- Gorączka spadła. Ale wezwałam ponownie Laurentego, mówi, że dzieciak musi ze dwa dni posiedzieć w ciepłe.

- Narysował jeszcze jakieś Świąteczne Potwory?

No i głosik Malca.

- Z tuzin, ale są o wiele mniej czerwone. Sfotografowałam je. Ben, zrobiłam zapiekankę na dziś wieczór. Będzie gotowa za godzinę.

- Przyjdę. Daj Malca.

- Tak, Ben?

- Nic. Tylko chciałem ci powiedzieć, że mam nowe zdjęcie Tea do twojego albumu i że dziś wieczorem opowiem wam nową historię.

- Historię o potworze?

- Historię o bombie.

- Aha? Też super...

- Teraz muszę z godzinkę pospać. Kto się zbliży do domofonu, zabij.

- Dobrze, Ben.

Odkładałam słuchawkę i opadam na wyrko, zasypiając, zanim głowa zetknie się z poduszką.

Godzinę później budzi mnie wielki pies. Zaatakował z flanki. Od ciosu sturlałem się pod łóżko i zatrzymałem pod ścianą. Korzysta z tej okazji, by mnie całkowicie unieruchomić i zabrać się do robienia mi toalety, rano nie miałem na to czasu. Sam cuchnie jak miejskie wysypisko śmieci. Jęzor zalatuje mu jakby zjełczałym rybskiem, tygrysią spermę, całym pieskim Paryżem.

Mówię:

- Prezencik?

Wykonuje skok do tyłu, siada na swym nieopisanym dupsku i, z wywieszonym ozorem, patrzy na mnie spuściwszy łeb. Szperam w kieszeni marynarki, wyciągam opakowaną piłkę, pokazuję mu i mówię:

- Dla Juliusza. Wesołych Świąt.

Na dole, w dawnym sklepie z artykułami żelaznymi, muszkatołowa woń zapiekanki jeszcze długo wisi w powietrzu, kiedy dzieci są już ze mną w samym sercu opowieści. Oczy nad piżamami wsłuchują się we mnie, a nogi bujają w powietrzu pod piętrowymi łózkami. Jestem właśnie w momencie, gdy Lehmann przeciera sobie szlak do oszalałej zjeżdżalni. Odgarnia tłum na boki potężnym mechanicznym ramieniem, które mu na tę okoliczność wymyśla.

- Jak stracił własną rękę? - przerywa mi krótko Jeremiasz.

- W Indochinach, na drodze do Dalatu, na trzysta siedemnastym kilometrze, w zasadzce. Jego ludzie tak go kochali, że dali drapaką, zostawiając go sam na sam z tą ręką, która już leżała osobno.

- I jak z tego wyszedł?

- Po trzech dniach kapitan z jego kompanii sam po niego wrócił.

- Po trzech dniach? A co on jadł przez te trzy dni? - pyta Malec.

- Swoją rękę!

Zręczna odpowiedź, która zadowala wszystkich: Malec ma swojego potwora, Jeremiasz

opowieść o wojnie, Klara porcję humoru. Co do Teresy, to sztywna jak protokolantka przy biurku stenografuje jak zwykle moje opowiadanie w całości, wraz z dygresjami. To dla niej doskonały trening do tej szkoły dla sekretarek. Przez dwa lata nocnych ćwiczeń przepisała już *Braci Karamazow*, *Moby Dicka*, *Fantazję u Pluków*, *Gostę Boerlinga*, *Asfaltową dżunglę* plus dwa albo trzy produkty mojej własnej piwniczki umysłowej.

Opowiadam zatem aż do chwili, gdy mruganie powiek wskazuje, że baterie się wyczerpały. Kiedy zamykam za sobą drzwi, choinka migocze w ciemności. Nieżle z tego wybrnąłem. Ani przez chwilę nie pomyśleli, żeby się rzucić na prezenty. Oprócz Juliusza, który od dwóch godzin biedzi się, jak rozwinąć swoją paczkę nie rozdierając papieru.

Zdarzenie następne zapowiada dźwięk dzwonka nazajutrz, dwudziestego piątego grudnia, o ósmej rano. Mam zamiar ryknąć: "Wejść, otwarte!", ale powstrzymuje mnie pewne niedobre wspomnienie. W taki właśnie sposób w zeszłym tygodniu Juliusz i ja stanęliśmy oko w oko z trumną z jasnego drewna, ustawioną na środku korytarza - przy trumnie trzech cokolwiek zaambarasowanych tragarzy. Najmizemiejszy rzekł z prostotą:

- My po trupa.

Juliusz jednym susem schował się pod wyrko, a ja - włosy na sztorc, mętne spojrzenie - pokazałem niepocieszony na moją piżamę:

- Wpadnijcie znowu za pięćdziesiąt lat, nie jestem całkiem gotów.

No więc dzwonek. Wlokę się do drzwi, za mną Juliusz, który zawsze lubi zawierać znajomości. Niezły byk - same mięśnie - w lotniczej bluzie z futrzanym kołnierzem stoi przede mną jak irlandzki spadochroniarz zrzucony na okupowaną Francję.

- Inspektor praktykant Caregga.

Awans od pałki do wiecznego pióra. Ledwo ta masa wtoczyła się do środka, a już Juliusz wwierca mu mordę między pośladki. Gliniarz siada pośpiesznie, bynajmniej nie waląc mojego psa w pysk. Może ten szczegół sprawia, że proponuję:

- Kawy?

- Jeżeli pan robi dla siebie...

Idę do kuchni. Gliniarz pyta:

- Nigdy pan nie zamyka drzwi?

- Nigdy.

Myślę: "Nie mogę ze względu na swobodę seksualną mojego psa", ale tego nie mówię.

- Mam tylko kilka pytań. Rutyna.

Dokładnie tego się spodziewałem. Budzonko dla przykładowych pracowników Sklepu. W pierwszej kolejności wizyta gliniarzy u dziesięciu działaczy związkowych i tuzina przyjemniaczków niezrzeszonych. Prezent gwiazdkowy Dyrekcji dla jej drogich podopiecznych.

- Pan żonaty?

Oślodzona woda śpiewnie szumi w miedzianej maszynie.

- Nie.

Wsypuję trzy łyżeczki mielonej tureckiej kawy i powolutku mieszam, aż stanie się aksamitna jak głos Klary.

- A dzieci tam, na dole?

Stawiam maszynkę na ogniu i czekam, aż kawa podejdzie pod wierzch, bacząc, by się nie zagotowała.

- Przyrodni bracia i siostry, dzieci mojej matki.

Podczas gdy ołówek czerni papier w notesiku, inspektor Caregga zadaje następne pytanie:

- A ojcowie?

- Rozproszeni.

Rzucam okiem przez drzwi do kuchni, Caregga zapisuje, że moja biedna matka rozprasza mężczyzn. Następnie zjawiam się z dzbankiem i filiżankami. Leję gęsty wywar. Powstrzymuję wyciągniętą rękę inspektora.

- Niech pan zaczeka, fusy muszą opaść na dno.

Fusy opadają.

Juliusz, siedzący przy jego nodze, pożera go wzrokiem.

- Jaką ma pan funkcję w Sklepie?

- Daję się ochrzaniać.

Ani mrugnie. Zapisuje.

- Poprzednie miejsce pracy?

O kurczę, lista będzie długa: magazynier, barman, taksówkarz, nauczyciel rysunku w instytucji religijnej, sondażysta w branży mydeł toaletowych, na pewno jeszcze o czymś zapomniałem, no i kontroler techniczny w Sklepie, moja ostatnia robota.

- Od?

- Od czterech miesięcy.

- Podoba się panu?

- Tak sobie. O wiele za dobrze płatna jak na to, co wykonuję, ale za mało jak na to, ile się upieprzę.

(Trzeba, u licha, podnieść poziom rozmowy!)

Notuje.

- Nic pan wczoraj nie zauważył niezwykłego?

- A jakże! Bomba wybuchła.

Tym razem jednak podnosi głowę. Ale dokładnie tak samo bezbarwnym tonem uściśla:

- Chodzi mi o czas *przed* wybuchem.

- Wtedy też nic.

- Podobno był pan trzykrotnie wzywany do działu reklamacji?

Ano właśnie. Opowiadam mu o kuchence, odkurzaczu i piromańskiej lodówce.

Grzebie w wewnętrznej kieszeni i rozkłada przede mną plan Sklepu.

- Gdzie znajduje się dział reklamacji?

Pokazuję.

- Przechodził pan więc co najmniej trzy razy obok działu zabawek?

Ale dedukuje, zuch!

- Istotnie.

- Czy pan tam przystawał?

- Tak, przez dziesięć sekund za trzecim nawrotem.

- Nic pan nie zauważył specjalnego?

- Poza faktem, że celowano do mnie z AMX 30, nic.

Zapisuje w milczeniu, zakłada skuwkę na pióro, wypija kawę jednym haustem, razem z fusami, wstaje i mówi:

- To by było wszystko. Proszę nie wyjeżdżać z Paryża, mogą być jeszcze pytania, do widzenia, dziękuję za kawę.

No i tyle. Nie tylko w filmach zdarza się, że człowiek siedzi i długo patrzy na zamknięte drzwi. Juliusza i mnie urzekła szczerą naturą inspektora Careggi. Przed chłopakiem stoi wielka

przyszłość w brygadzie rozrywki. Ale za to mam już bajeczkę, którą dziś wieczorem zaserwuję dzieciakom: o tym, co powyżej, tyle że odpowiedzi będą eksplodować jedna po drugiej, pełne błyskotliwego humoru, a rozstanie przebiegnie w atmosferze nienawiści, nieufności i podziwu; gliniarzy będzie dwóch, dwóch drani mojego własnego pomysłu, których dzieci dobrze już znają: jeden mały, kudłaty, nieopisanej brzydoty, jak hiena, i olbrzymi łysol - z wyjątkiem pary baków, które niczym wykrzykniki rysują się na jego potężnych szczękach.

- Dżib Hiena i Pat Bako! - zawyje Malec.
- Dżib Hiena z imienia i z wyglądu - dopowie Jeremiasz.
- Pat Bako z imienia i z fryzury - dorzuci Malec.
- Gorszy od Eddiego Trumny i bardziej nieobliczalny niż Drewniany Czech.
- Czy są zaprzyjaźnieni? - zapyta Klara.
- Nie rozstają się od piętnastu lat - odpowiem - ratowali sobie wzajemnie życie niezliczoną ilość razy.
- Jaki mają wóz? - spyta Jeremiasz, który uwielbia, żeby mu odpowiadać na pytania.
- Peugeotota 504, różowy kabriolet, sześć cylindrów w V, niebezpieczny jak rekin.
- Spod jakiego są znaku? - zapyta Teresa.
- Spod Byka, obydwaj.

Kiedy po wyjściu Careggi idę do dzieci, choinka jaśnieje całym, jak to się mówi, swoim blaskiem. Jeremiasz i Malec wydają okrzyki, niczym mewy wśród oceanu papierów po prezentach. Teresa, z brwiami zmarszczonymi jak prawdziwy zawodowiec, przepisuje moją wczorajszą opowieść na nowiutkiej maszynie z karbowaną gałką. Luna - przyszła do nas w odwiedziny - ogląda scenę rodzinną ze łąką w oku, stopy rozstawiła, jakby była w szóstym miesiącu. Odnotowuję nieobecność Laurentego. Klara płynie mi na spotkanie w dżersejowej sukni, wygląda zgrabnie jak płomyczek. Trzyma w ręku starą Leicę, której mi milcząco od lat zazdrościła i z którą w końcu dla niej się rozstałem uwzględnivszy jej namiętność do zdjęć. Sukienkę wybrał Teo. W tej dziedzinie zawsze należy ufać mężczyznom, którzy wolą mężczyzn. (A może to przesąd.)

- Masz, Beniamin, prezent dla ciebie.

To, co Klara mi podaje, jest ładnie zapakowane. W kartonowym pudełku, w bibułce, para bamboszy nadziewanych futrem jak kremem. Dokładnie to, o co mi chodziło. Tak jest, mamy Boże Narodzenie.

Następnego dnia, dwudziestego szóstego, powrót do pracy. Jak co dzień Juliusz towarzyszy mi do metra Pere-Lachaise, po czym udaje się na podryw po Belleville, podczas kiedy ja zajmuję się zarabianiem na jego michę. W oślinionych szczękach od przedwczoraj wieczór siedzi nowiutka piłeczka.

Gazeta, którą kupuję, rozwodzi się obszernie na temat strasznego zamachu w Sklepie. Ponieważ jedna ofiara to niewiele, autor artykułu opisuje, czego moglibyśmy być świadkami, gdyby ich było tuzin. (Chcesz zobaczyć prawdziwy sen, to się obudź...) Następnie pismak poświęca jednak parę wierszy biografii zmarłego. Był to porządny człowiek, właściciel warsztatu samochodowego w Courbevoie, sześćdziesięciodwulatek, którego sąsiedzi serdecznie oplakują, ale który "szczęśliwie" był kawalerem, bezdzietnym kawalerem. Nie, nie przywidziało mi się, naprawdę przeczytałem "szczęśliwie kawalerem i bezdzietnym". Rozglądam się dookoła: fakt, że Pan Bóg Przypadek w pierwszej kolejności zabija "szczęśliwie" kawalerów, nie wydaje się nikomu psuć dobrego samopoczucia w rodzinnym sosie metra. Wprawia mnie to w tak dobry humor, że wysiadam przy Republice, zdecydowany odbyć resztę drogi na piechotę. Zimowy poranek, ponury, lepki, lodowaty. Zatłoczony Paryż jest kałużą żółtą od klejących się do niej świateł.

Bałem się, że się spóźnię, ale Sklep jest jeszcze bardziej spóźniony ode mnie. Ze swymi żelaznymi żaluzjami spuszczoneymi na wielkie szyby wystawowe robi wrażenie poddanego kwarantannie. Z podziemnych kotłów wydobywa się para i rozchodzi w porannej mgle. Gdziekolwiek jednak niewielkie prześwity dają znać, że serce bije. Wchodzę więc i natychmiast zalewa mnie potok światła. Za każdym razem ten sam szok. Na zewnątrz jest ciemno i ponuro, a w środku lśni. Cały ten blask - który bezgłośnie kaskadą spływa z wyżyn Domu Towarowego, odbija się od lusterek, mosiądzów, szyb, sztucznych kryształów, wlewa pomiędzy rzędy stoisk, obsypując człowiekowi duszę jak pył - cały ten blask nie tyle świeci, co stwarza pewien świat.

O tym to dumam, podczas gdy gliniarz zręcznymi palcami przeszukuje mnie od stóp do głów, by stwierdzić, że nie jestem bombą atomową, i przepuścić.

Nie przyszedłem jako pierwszy. Większość pracowników zgromadziła się już w przejściach na parterze. Patrzą w górę. Przede wszystkim kobiety. Oczy błyszczą im podejrzenie, jakby słuchały Ducha Świętego. Wyżej, na mostku kapitańskim, grucha do mikrofonu Sinclair. Oddaje honor "podziwu godnej postawie personelu" podczas ostatnich "wydarzeń". Zapewnia o pełnym współczuciu Dyrekcji dla Chantredona, faceta, który przeleciał przez gablotę z kosmetykami i leczy swe rany w szpitalu. Przeprasza tych, którym policja złożyła wczoraj wizytę. Wszyscy pracownicy muszą przez to przejść "z Dyrekcją włącznie", ale jedynie po to, by "wnieść do śledztwa wszystkie elementy niezbędne do jego pomyślnego zakończenia".

Jeśli chodzi o niego, Sinclaira, to ani przez chwilę nie sądzi, żeby zamach mógł zostać dokonany przez jednego z moich współpracowników". Nie jesteśmy bowiem jego "pracownikami", ale właśnie jego "współpracownikami", jak to uroczyście oznajmił na posiedzeniu Rady Nadzorczej. Wielkie przeprosiny dla "współpracowników" za małe przeszukanie przy wejściu. On sam go nie uniknął, a i klienci będą musieli mu się poddać,

dopóki trwa śledztwo.

Patrzę na Sinclaira. Młody. Przystojny. Wspiął się szybko. Stanowi pewien autorytet. Ma dyplom renomowanej wyższej uczelni ekonomicznej, gdzie przede wszystkim nauczyli go, jak umiejętnie wykorzystywać swój głos i jak się ubierać. Reszta przyszła sama. Przemawia wręcz czule, a spod blond kosmyka sączy się łagodne spojrzenie zabarwione smutkiem. Sinclair nie pasuje do Sklepu. Otaczający go pracownicy, szef personelu, kierownicy pięter, wyszkoleni na medal bardziej się nadają do swojego zawodu. Stoją wszyscy pod sznurek, wzdłuż połączanej balustrady na pierwszym piętrze. Mają okolicznościowe miny. Dobrze nadstawivszy ucha można by usłyszeć, jak na ich odpowiedzialnych piersiach wyrastają odznaczenia. Na samą taką myśl bierze mnie śmiech. Śmieję się. Stojący przede mną facet się odwraca. To Lecyfre, delegat związkowy w całości i w szczegółach.

- Wystarczy, Malaussene, zamknij buzię.

Mój wzrok spoczywa na tym tłumie w stanie ekstazy, potem na ogolonym karku Lecyfre'a, potem znów na trybunie oficjalnej. Bez gadania, ma talent ten Sinclair. Zrozumiał coś, czego ja nie zrozumieję nigdy.

Zostawiam nabożeństwo własnemu biegowi i udaję się do szatni. Otwieram swoją metalową szafkę i wyjmuję służbowy garnitur. Nie jest moją własnością. Pożyczka firmy. Ani zanadto staroświecki, ani zanadto modny. Lekki ślad szarzynny, czegoś tracącego myszką, zbyt porządnego. Wygląda tak, że ktoś, kto go nosi, chętnie już by sobie kupił drugi. Trzymam garnitur na odległość wyciągniętej ręki, jakbym wkładał go pierwszy raz. Z zamyślenia wyrывa mnie szydery głos:

- Dojrzałeś, Ben? Chcesz się zamienić na któryś z moich?

To Teo, dziś na odmianę wystrojony od Ceruttiego. Tak często się przebiera przed swoimi posiedzeniami w fotoautomacie, że jego szafa pęka w szwach, toteż zaanektował także i moją. Klucz jest wspólny. Codziennie rano siłą wyciągam moje ubranie służbowe spomiędzy jego makaroniarsko-hollywoodzkiej garderoby.

- Bez żartów, chcesz jeden? Obsłuż się!

Odmawiam ruchem dłoni.

- Dziękuję, Teo, zważywszy, jaki to wesoły mundurek, zastanawiałem się właśnie, czy jestem rzeczywiście stworzony do tej roboty.

Gęba aż mu się śmieje.

- Codziennie, kiedy patrzę na moją garderobę, zadaję sobie dokładnie to samo pytanie. Mówię sobie, że urodziłem się heteroseksualistą, a jest ze mnie pedał.

Co mówiąc, udaje się ze mną do podziemia, krainy majsterkowiczów, jego królestwa. Melduje się tu codziennie rano na dobre pół godziny przed sprzedawcami. Kontroluje puste przejścia, jak Napoleon szeregi poborowych przed hekatombą. Nieobecność na apelu najmniejszej wkrętki zauważa błyskawicznie, najdrobniejszy ślad nieporządku w gablotach sprawia mu dotkliwy ból.

- Moi starszycy straszliwie tu bałaganią.

Wzdycha. Odkłada rzeczy na miejsce. Mógłby całe podziemie uładzić z zamkniętymi oczami. To jego rewir. Kiedy znajdziemy się tutaj tylko my dwaj, jest cicho jak przed stworzeniem świata.

- Klarze podobała się suknia?

- Cudeńko odziane w cudeńko, Teo.

Mówimy szeptem. Znajduje elektryczną pozytywkę w pojemniku na kółka do foteli.

- Moim starym, widzisz, przede wszystkim nawala pamięć. Łapią byle co i odkładają byle gdzie, żeby natychmiast zwinąć coś innego. Zachłanni i nienasyceń jak bachory...

Królestwo Tea istnieje od czasów, kiedy był jeszcze szeregowym sprzedawcą narzędzi. Miał tak dobre serce dla różnych okolicznych wapniaków, że mogli sobie spokojnie przychodzić i całymi dniami majsterkować na stołach, toteż było ich coraz więcej.

- Sam pochodzę z ulicy, wiem, co to znaczy. Nie chcę ich tak zostawić, mogliby zejść na złą drogę.

Tak odpowiada tym, którzy narzekają na tę inwazję stulatków.

- Tutaj mają poczucie, że budują sobie jakiś świat, nie odbierają nikomu chleba.

Im wyżej w hierarchii wznosił się Teo, tym wyraźniej zwiększała się liczba staruszków. Niektórzy przybywali z najbardziej oddalonych przytułków. Od kiedy zaś Sinclair mianował go Cesarzem Działu Majsterkowania (nie tylko potrafi zbudować Paryż z byle czego, ale nadto sprzedaje maszynę do strzyżenia trawy komuś, kto akurat przyszedł po wyposażenie łazienki), całe podziemie należy do staruszków Tea.

- Czują przedsmak ich raj.

- Skąd wytrzasnąłeś te szare bluzy?

- Zlikwidowano sierociniec obok mnie. Kiedy je mają na sobie, przynajmniej zawsze wiem, gdzie są.

W południe, w małej restauracyjce, dokąd uciekamy, by nie jeść w stołówce, Teo wybucha nagle szalonym śmiechem.

- Wiesz co?

- Co?

- Lehmann rozpusza plotki, że jestem gerontofilem. Jakby pedałstwo w spóźnionym wieku, kapujesz? (Pocziwina ten Lehmann...)

- Aha, a propos pedałstwa, daj to Malcowi do jego albumu.

Jest to nowe zdjęcie. Teo w wiśniowym garniturze z jedwabnego weluru, w butonierze mimoza. Na odwrocie napis, który Malec starannie przekaligrafuje.

Tak wygląda Teo-statek spacerowy.

Niech zrozumie, kto potrafi. Teo rozumie. Oraz jego niezliczeni przyjaciele, którzy znajdują te fotograficzne przesłania przypięte na jego drzwiach, kiedy nie ma go w domu. A Malec? Czy powinienem mu zabronić tego kolekcjonowania? Wiem, że dzieciaki to nie branża Tea, ale mimo wszystko...

Wczesnym popołudniem w przegródce wylądowały już ze dwie, trzy reklamacje - jedna ciężkiego kalibru, z okolicy mebli sypialnianych. Lehmann każe mnie wezwać. Przechodzę obok zabawkowego. Ani śladu po wybuchu. Lada nie została zreperowana, ale w nocy wymieniona. Na identyczną, dokładnie taką samą. Dziwne uczucie, jakby eksplozji nie było, jakbym padł ofiarą jakiegoś zbiorowego przywidzenia. Jakby ktoś chciał mi wyciąć kawałek pamięci. Takie deprymujące myśli, podczas gdy za sprawą ruchomych schodów dział zabawek pogrąża się w zatłoczonych czeluściach Domu Towarowego.

Facet, który zlorzeczy Lehmannowi, ma tak szerokie ramiona, że blokuje oszklone drzwi w całości. Z takimi plecami można spowodować zaćmienie słońca. Zrazu nie widzę głowy Lehmana. Sądząc po drganiu mięśni pod bluzą klienta i żyłe pulsującej pod zaczerwienioną skórą szyi, sytuacja Lehmana nie jest łatwa. To coś, co przed nim stoi, nie należy bynajmniej do gatunku olbrzymów dobrotliwych. Sangwinik, który nie podnosi głosu. Tacy są najgorsi. Nie postąpił ani kroku naprzód. Zamknął za sobą drzwi i mamrocząc wylewa swoje żale z palcem wyciągniętym w kierunku Lehmana. Pukam dyskretnie trzy razy. Cichutkie puk, puk, puk.

- Wejść!

Rety, w głosie Lehmana brzmi niepokój. Mastodont nie odwracając się sam otwiera drzwi. Przemykam pomiędzy jego ręką a futryną z lekliwą zręcznością zbitego psa.

- Trzy dni szpitala i dwa tygodnie zwolnienia zarobi ten wasz kontroler techniczny.

To głos klienta. Opanowany, jak się spodziewałem, i pełen groźnej determinacji. Nie przyszedł się uskarżać ani dyskutować, ani nawet żądać - przyszedł egzekwować swoje prawo siłą, i już. Wystarczy raz spojrzeć, by zrozumieć, że nigdy nie funkcjonuje inaczej. Wystarczy spojrzeć po raz drugi, by stwierdzić, że to go nie zaprowadziło zbyt wysoko w hierarchii społecznej. Chyba doskwiera mu serce. Ale Lehmann nie czuje tych rzeczy. Przyzwyczajony do rozdawania ciosów obawia się tylko jednego: że sam oberwie. W tej zaś kwestii klientowi można na pewno zaufać.

Nadaję wyraz takiej grozy moim oczom, że Lehmann zbiera się wreszcie na odwagę, by mnie wtajemniczyć w sprawę. Krótko mówiąc, pan Jakmutam, tu obecny, z zawodu nurek morski (po co ten szczegół? żeby udokumentować mięśnie?), zamówił w zeszłym tygodniu łóżko metr czterdzieści w dziale mebli drewnianych litych.

- Lite drewno to przecież pański dział, Malaussene?

Moje nieśmiałe przytaknięcie.

- A więc zamówił łóżko metr czterdzieści, orzech rzeźbiony, model TP 885 w pańskim dziale, panie Malaussene, łóżko, w którym obie nogi u wezłowia złamały się przy pierwszym użyciu.

Przerwa. Rzut oka na nurka, którego dolna szczęka masakruje drobinę gumy do żucia. Rzut oka na Lehmana, który jest zadowolony, że może przekazać pałeczkę mnie.

- Gwarancja - powiadam.

- Gwarancja swoją drogą, ale pan za co innego odpowiada, w przeciwnym razie nie wezwałbym pana.

Zbyt to, jak na mnie, skomplikowane.

- W tym łóżku był jeszcze ktoś.

Takiej przyjemności Lehmann, nawet maksymalnie spiętrany, sobie nie daruje.

- Pewna młoda osoba, jeśli pan wie, co...

Reszta zdania ulatnia się jednak pod tnącym jak brzytwa spojrzeniem olbrzyma. On zaś lakonicznie kończy:

- Jeden obojczyk i dwa zębra. Narzeczona. W szpitalu.

- Oooch!

Wydałem prawdziwy okrzyk. Okrzyk bólu. Na który obaj podskoczyli.

- Oooch!

Jakby mi ktoś dał kuksańca w żołądek. Następnie wciskam łokieć między zębra i oto robię się blady jak prześcieradło. Tym razem Herkules postępuje jednak krok do przodu, a nawet czyni gest, jakby próbował mnie podtrzymać na wypadek, gdybym miał zemdleć. Zdławiony głos, zaczynam się dusić. Chwieję się i opieram o biurko Lehmana.

- Zrobiłem coś takiego?

Samo wyobrażenie sobie, jak ta góra miecha spada z wysokości swojej trampoliny na ciało Luny albo Klary i łamie im wszystkie kosteczki, wystarczy, żeby wydusić ze mnie niepodrabiane, gwarantowane łzy. Z zalaną twarzą pytam:

- Jak się nazywała?

Reszta idzie jak po maśle. Szczerze przejęty moim wzruszeniem pan Mięsień z miejsca wypuszcza powietrze. Nadzwyczajne. Prawie że rysuje się kształt jego serca. Lehmann natychmiast z tego korzysta i oskarża mnie. Składam dymisję szlochając. Lehmann szydzi, że to byłoby zbyt proste. Uderzam w ton błagalny dowodząc, że Sklep nie może naprawdę niczego oczekiwać po takim zerze jak ja.

- Bycie zerem kosztuje, Malaussene! Jak każda inna rzecz. *Drożej* niż inne rzeczy!

I proponuje mi za bycie zerem cenę tak wygórowaną, że potężny klient przemierza nagle cały pokój i opiera obie pięści na biurku.

- Rajcuje ci męczyć tego faceta?

"Ten facet" to ja. No proszę, i oto znalazłem się pod ochroną Jego Wysokości Mięśnia. Lehmann wolałby, żeby jego fotel był głębszy. Tamten wyjaśnia, że już w szkole go wkurzało, kiedy jakiś cwaniaczek dobierał się do skóry słabszemu od siebie.

- Więc uważnie mnie wysłuchaj, dobry człowieku.

"Dobry człowiek" to Lehmann. W kolorze wosku. Takiego na świece, które ludzie zapalają wtedy, kiedy chcą, żeby coś się skończyło. To, czego Lehmann ma wysłuchać, jest proste. Po pierwsze, tamten wycofuje skargę. Po drugie, przyjdzie niezadługo, żeby sprawdzić, czy ja nadal pracuję. Po trzecie, jeśli mnie nie będzie, jeżeli Lehmann mnie wyrzuci...

- Zgniotę cię tak jak toto!

"Toto" jest śliczną hebanową linijką Lehmana, kolonialną pamiątką, która właśnie pękła w palcach mojego wybawcy.

Lehmann dochodzi do siebie dopiero wtedy, kiedy ruchome schody unoszą ostatni centymetr sześcienny olbrzyma. Dopiero wtedy wali się po udzie i zaczyna chichotać jak wariat. Nie podzielam jego wesołości. Nie tym razem. Wysłuchałem uważnie do końca tyrady

Umieśnionego. "Nie pozwól, żeby te gnoje wypijały z ciebie krew, nie daj się, mały", tak mi na odchodnym powiedział, a ja znów zacząłem rozmowę z samym sobą, jakbym był kimś innym. Umieśniony myślał, że oto dobierze się do skóry wielkiemu Domowi Towarowemu, jakiemuś imperium, albo przynajmniej kontrolerowi technicznemu, potężnej, abstrakcyjnej Instytucji, i na to się szykował. Samotny chwyt, gotów w pojedynkę rzucić na kolana cały garnizon. A tu trafia na niedużego typka w nieokreślonym wieku (*yourself*, Malaussene), który wygląda, jakby zaraz miał umrzeć i, biedny frajer, topnieje jak zwykle z nadmiaru dobroci. Kiedy mój nurek odwrócił się wychodząc, spojrzałem na jego buty i pomyślałem: "Mam nadzieję, że twoje pletwy są w lepszym stanie."

Teraz ja z kolei otwieram drzwi:

- Starczy na dzisiaj, Lehmann, wracam do siebie. W razie potrzeby Teo mnie zastąpi.

Śmiech więźnie Lehmannowi w gardle.

- Ta ciota nie za to bierze pieniądze!

- Nikt nie powinien za to brać pieniędzy.

Uśmiecha się z całą pogardą, na jaką go stać, nim odpowie:

- W pełni podzielam twoje zdanie.

(Oj, należałoby ci się to mechaniczne ramię, panie Cipowski).

Kiedy ponownie schodzę na dół, w dziale zabawek jest czarno od ludzi.

- Pierwszy raz sprzedajemy więcej dwudziestego szóstego grudnia niż dwudziestego czwartego!

Uwaga pochodzi od małej rudej z głową wiewiórki. Mówi tak do koleżanki, podobnej z kolei do łasiczki, która pakuje boeinga 747. Jej długie palce ślizgają się z fantastyczną szybkością po granatowym papierze w różowe gwiazdki, który samoistnie przybiera postać paczki. Obok pakującej, na specjalnym stoliku, robot w postaci King Konga demonstruje, co też to on potrafi. Jest to duża czarna małpa, muskularna, włochata, prawdziwsza niż w naturze. Unosi w ramionach półnągą lalkę, która przypomina śpiącą Klarę. Maszeruje, ale nie posuwa się naprzód. Od czasu do czasu odrzuca głowę do tyłu. Czerwone oczy i otwarty pysk miotają błyskawice. Od matowej czerni sierści, krwawoczerwonego spojrzenia i biednego ciała, które jest takie białe w jego straszliwych łapskach, wieje prawdziwą grozą. (Dobry Boże, ta praca rzeczywiście zaczyna mi ciążyć... a ta lalka naprawdę przypomina moją Klarę...)

Kiedy wracam do siebie, w głowie nadal wędruje mi wielka czarna małpa. A kiedy dzwoni telefon, mam straszne trudności, żeby wydusić przynajmniej "słucham".

- Ben?

To Luna.

- Ben? Wyszłam małego lokatora.

O nie! Nie mam ochoty do tego wracać. Nie dziś wieczorem.

Odpowiadam ze złością:

- Czego się po mnie spodziewasz? Że podpalę lont?

Odkłada słuchawkę.

Pierwsze, co widzę, kiedy i ja odkładam swoją, to wesola gęba Juliusza Psa w obramowaniu drzwi. Nie wypuścił swojej piłki przez cały boży dzień. Patrzę na niego złym wzrokiem. Mówię:

- Nie dziś wieczorem!

Natychmiast wtapia się w dywan. Ja zasypiam. Po godzinie, budząc się, podnoszę słuchawkę interkomu.

- Klara? Muszę odetchnąć świeżym powietrzem, przyjdę po kolacji.

- Dobrze, Ben. Z twojej Leiki wyszły fantastyczne zdjęcia. Pokażę ci.

Juliusz ciągle leży na płask. Zezuje na mnie z wyrazem bolesnego oczekiwania. Ten jakiś inny pan jest dla niego niezrozumiały. Na szczęście rzadko go widuje.

Pytam.

- Idziemy na spacer?

Zrywa się na cztery łapy. Juliusz zawsze gotowy do wyjścia, zawsze gotowy do powrotu. Pies.

Nie tylko w Sklepie zdarzają się wybuchy. W Belleville także. Przez te wszystkie brakujące fasady wzdłuż chodników bulwar wygląda jak bezzębna szczeka. Juliusz wałęsa się z nosem przy ziemi, entuzjastycznie machając ogonem. Nagle przykuca, by na samym środku centralnej alei wzniesić okazały pomnik na cześć psiego powonienia. Potem odchodzi z dziesięć metrów, unosząc wysoko swoje opasłe puspko, raczej zadowolony z siebie, i nagle nieruchomieje, jakby zapomniał o czymś ważnym. Następnie jak szalony skrobie asfalt tylnymi łapami. Nie jest ani na wysokości swojego gówienia, ani nie robi tego we właściwym kierunku, ale mało go to obchodzi. Juliusz wywiązuje się, czyni to, co do niego należy. Nie jest z nim tak, jak z tą ladą w Sklepie, on ma pamięć. Nawet jeśli jego pamięć już nie pamięta.

O sto metrów dalej w bellevillskim zachodzie słońca unosi się jęklivy głos muezzina. Wiem, czym sobie zastępuje minaret. Jest tam małe kwadratowe okno, wywietrznik od sracza albo lufcik od klatki schodowej, między trzecim a czwartym piętrem zmurzałej fasady. Przez chwilę poddaję się melodyjnemu lamentowi tego księdza z dalekich stron. Wyśpiewuje surę, w której jest chyba mowa o malwie i jej świętej łodydze rosnącej wzdłuż nogawki kałesonów Proroka. Słysząc w tej surze nieznośny ból wygnania. Po raz pierwszy wraca wspomnienie wypatroszonego trupa ze Sklepu. Później przypomina mi się Luna i wymyślam sobie od drani.

Potem znowu flaki mechanika z Courbevoie. Ledwo zdążam oprzeć się o drzewo, żeby tym razem nie rzygnąć. Wolnym krokiem przemierzam bulwar i wchodzę do Kutubii.

Juliusz sunie prosto do Hadusza, do kuchni. Na głos muezzina nakładają się dźwięki rozmowy i postukiwania domino. Pełno dymu, niemal wszyscy faceci siedzą przy szklaneczce anyżówki. Brat muzułmanin z okienka będzie miał sporo roboty, jeżeli chce, żeby jego pobratymcy byli w zgodzie z islamem!

Na mój widok stary Amar uśmiecha się swoim najszczęśliwym uśmiechem. Biel jego włosów zawsze mnie zaskakuje. Obchodzi ladę dookoła i bierze mnie w ramiona.

- No, synu, jak tam?
- W porządku.
- A matka?
- W porządku. Odpoczywa. W Chalons.
- A dzieci?
- W porządku.
- Nie przyprowadziłeś ich?
- Odrabiają lekcje.
- A twoja praca?
- Jakoś leci!

Sadza mnie przy stoliku, jednym ruchem kładzie papierowy obrus; oparty na wyciągniętych rękach o blat, stoi naprzeciwko mnie i uśmiecha się. Pytam:

- A ty, Amar, jak tam?
- W porządku, dziękuję.
- A dzieci?
- W porządku, dziękuję.
- A twoja żona? Twoja żona Jasmina?
- W porządku, dzięki Bogu.
- Kiedy jej zrobisz następnego?
- Wracam do Algieru w przyszłym tygodniu, żeby jej zrobić ostatniego.

Śmiejemy się. Jasmina nieraz odgrywała rolę mojej matki, kiedy byłem mały, a moja własna mama odgrywała swoją rolę gdzie indziej.

Amar zajmuje się innymi klientami. Hadusz stawia przede mną talerz z kuskusem, który, jeżeli nie mam zamiaru obrazić Proroka i jego wiernych, będę musiał pochłonąć w całości.

Widząc, że apetyt mi nie dopisuje, Amar siada naprzeciwko.

- Coś nie w porządku, he?
- Nie w porządku.
- Jedziesz ze mną do Algieru?

Why not? Przez kilka sekund rozkoszuję się świetlistą smugą, jaką ta myśl roznieca w mojej głowie. Amar nalega.

- No? Hadusz zajmie się dziećmi i psem.

Ale płaskie oblicze inspektora praktykanta Careggi przywołuje mnie do porządku.

- Niemożliwe, Amar.
- Dlaczego?

- Z powodu pracy.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, ale sam sobie wyjaśnia, że każdy ma swojego szakala, i wstaje, klepiąc mnie w ramię.

- Przyniosę ci herbatę.

Głos Um Kalsum płynie z wideo. Na ekranie widać ogromne tłumy na pogrzebie gwiazdy. Zostawiam słabnący śpiew za sobą i opuszczam knajpę. Przez chwilę słyszę za nami śmiech Hadusza.

- Następnym razem nie dam temu burkowi jeść, tylko go wykapię!

Opowiadam dzieciakom o początku śledztwa - poszukiwania po omacku - o tym, jak moi dwaj gliniarze, Dżib Hiena i Pat Bako, nicują życie prywatne "współpracowników" Sinclaira, jak ekipa duchów podmienia w ciągu nocy ładę z działu zabawek, o heroicznym Domu Towarowym, który działa nadal mimo zagrożenia, jakby nigdy nic. (*The show must go on!*) Wszędzie dookoła wiszą sznurki, na których schną zdjęcia Klary. (Ile godzin z nauki do matury pochłania jej ta pasja?) Są tu też zdjęcia gwiazdkowego potwora Malca. Inne pokazują znikanie Belleville i wynurzanie się tych spokojnych akwariów, z których powstanie belle ville - piękne miasto jutra. I jeszcze jedno zdjęcie mamusi, młodziutkiej, gdzieś z czasów mojego przyjścia na świat. Ma już w oczach tę tęsknotę za innymi miejscami.

- Miałaś negatyw?

- Nie, zrobiłam odbitkę.

- Oprawimy to - oświadcza Jeremiasz. - Wtedy nie będzie mogła sobie pójść.

Teresa stenografuje wszystko, co zostaje powiedziane, bez różnicy, jakby to była część ciągle tej samej gigantycznej powieści. Potem, nagle, wbija we mnie swój wzrok niedożywionej zakonnicy:

- Ben?

- Tak, Teresa?

- Śmierć mechanika z Courbevoie...

- Tak?

- Musiał tak skończyć. Zbadałam jego układ gwiazd.

Klara posyła mi szybkie spojrzenie. Sprawdzam, czy Malec śpi, i strzelam morderczym wzrokiem w Jeremiasza, żeby zachował dla siebie swoje zwykłe komentarze. Po czym przywołuję na moje jasne oblicze tyle zainteresowania, ile tylko potrafię.

- Śmiało, słuchamy.

- Urodził się 21 stycznia 1919, Ben, to jest zapisane w prognozie jego śmierci. Mars był w koniunkcji z Uranem w 325°, oba zaś w opozycji do Saturna położonego w 146°.

- Nie mów?

- Jeremiasz, cicho.

- Mars, planeta działania, w koniunkcji z Uranem, planetą gwałtownych wstrząsów, w opozycji do Saturna wskazuje na temperament twórczy i zarazem maleficzny.

- Jesteś pewna?

- Jeremiasz, cicho.

- Mars i Uran w ósmym domu zapowiadają gwałtowną śmierć, która następuje, kiedy Mars przekracza linię Księżyca, co właśnie miało miejsce dwudziestego czwartego grudnia!

- Niece?

- Jeremiasz...

Nazajutrz żadna bomba nie wybuchła. Ani w dni następne. Ani później. Niepokój kolegów powoli wygasł. Wkrótce w ogóle przestała być o tym mowa. Temat stał się wspomnieniem. Sklep powrócił do należytego tempa nawigacji. Płynie po szerokich wodach okazjonalnie wybuchowej codzienności. Lehmann odgrywa kwatermistrza gorliwiej niż kiedykolwiek przedtem. Staruszkowie Tea stroją miny budowniczych imperium. Sam Teo codziennie wzbogaca zbiory Malca. Gliny dalej przeszukują pracowników i klientów, którzy ze śmiechem podnoszą ręce do góry. Sinclairowi ubyło ośmiuset współpracowników, a przybyło ośmiuset pracowników szeregowych. Lecyfre nadaje hasła związkowe, Lehmann hasła sklepowe. Ja obrywam zgodnie z umową. W mojej pustoszejącej wyobraźni Dżib Hiena i Pat Bako stają się, biedacy, nieco dychawiczni. Dzieci grożą, że, jeśli będę miał przestój, zastąpią mnie telewizorem. Luna już do mnie nie dzwoni. Wszystko wróciło do normy. Aż do drugiego lutego.

Dziewczyna jest bardzo piękna. Z gatunku lwic. Ruda grzywa spływa gęstymi falami na szerokie ramiona, zapewne umięśnione. Spokojnie, z włoska, kołysze biodrami. Jest w wieku sympatycznej pełni. Pod opiętą na pośladkach spódnicą odznaczają się minimalistyczne majteczki. Ponieważ nie mam nic do roboty jak tylko czekać na wezwanie panny Hamilton, postanawiam podążyć za moim pięknym zjawiskiem. Przerzuca coś to tu, to tam, grzebiąc wśród wyłożonych rzeczy. Jej do połowy obnażone ramiona zdobią obręcze - powiew orientalnej biżuterii. Ma długie, nerwowe zręczne palce: oplatają ujmowany przedmiot, kiedy tylko weźmie go do ręki. Płynę za nią ze zwinnością ryby, w którą zmieniłem się w mętnych wodach tego Sklepu. Dla zabawy tracę ją z oczu, by mieć przyjemność znowu ją odnaleźć gdzieś przy stoisku. Podczas tych pozornie niespodzianych spotkań wszystko we mnie staje na baczność od adrenaliny. Jedno mnie dręczy, nie im mogę napotkać jej spojrzenia. Grzywa jest za gęsta. I zbyt ruchliwa. Ona ze swej strony mnie, rzecz jasna, nie dostrzega. (Nijakość mojego służbowego ubrania.) Zabawa trwa jakiś czas, a kiedy osiągam stan pożądania absolutnego, to się zdarza. Już od dobrych pięciu minut krążyła wokół półki z szetlandami. Nagle palce wyskakują, oplatają sweterek - zostaje wchłonięty przez wnętrze dłoni, dłoń przez torebkę, która przełyka, po czym wypływa pustą rękę.

Wszystko widziałem. Ale z drugiej strony lady Cazeneuve, gliniarz stosowany, też widział. Na szczęście jestem bliżej dziewczyny. Podczas kiedy on obchodzi ladę dookoła, obnażając kły, pokonuję dystans dwóch kroków, który mnie dzieli od mojej pięknej złodziejki. Zanurzam rękę w torebce, zmuszając rudowłosą, żeby się do mnie odwróciła, wyciągam sweter i przykładam do jej ramion tak, jakbym go na nią przymierzał. Jednocześnie z powagą cedzę przez zęby:

- Niech się pani nie wygłupia, tuż za nami jest szpicel z urzędu.

Refleks do pozazdrosczenia: nie tylko nie protestuje, ale wykrzykuje ślicznym, gardłowym głosem:

- Pasuje, prawda? Jak myślisz?

Zaskoczony, odpowiadam co bądź.

- Pasuje do oczu, ciociu Julio, ale nie do włosów. Prawdę mówiąc widzę tylko jej oczy. Dwa migdały nakrapiane złotem, w oprawie rzęs, które prawie łaskoczą mnie w nos. Z tyłu, zza tego cudownego zjawiska, mierzy we mnie para innych oczu. To otwory strzelnicze Cazeneuve'a. Rzucam sweterek niedbale na ladę, biorę inny i rozkładam przed dziewczyną z miną znawcy, odchylając głowę w tył. Oprzytomniawszy, Cazeneuve wkracza. Wali prosto z mostu.

- Dość tych wygłupów, Malaussene, doskonale widziałem, jak ta dziewczyna zwinęła sweterek.

- "Ta dziewczyna"? To tak się zwraca do klientów, Cazeneuve? Taki grzeczny chłopak jak pan?

Mówię to rozmarzonym tonem człowieka, który myśli o czymś innym. Albowiem w drugim swetrze (postanowione, przychodzę do pracy w swetrach!) jest mojej sympatycznej lwicy wspaniale. Mówię:

- W tym ci jest bardzo dobrze, ciociu Julio.

Nie ja jeden odczuwam podziw dla "cioci Julii"! Niemało klientów wstrzymuje oddech. Wśród nich dwoje starszych państwa, na oko rozczulonych, siwowłose gołąbki z zieloną torbą na zakupy, dosłownie pożerają nas wzrokiem.

- Malaussene, bardzo proszę, nie przeszkadzaj mi w wykonywaniu obowiązków.

To nadaje Cazeneuve, a w tym samym czasie, w pobliżu nas, jeden ze staruszków Tea właśnie zwija aparat wibracyjny do masażu.

- Nie przeszkadzam ci, tylko nie chcę, żebyś miał z tego za dużo frajdy.

- Pani włożyła ten szetland do torebki, widziałem. Dziewczyna chwyta moje spojrzenie, jakby czepiała się koła ratunkowego. Twarz szeroka, z wystającymi kośćmi policzkowymi, wilgotne usta.

- Czy ja się ciebie pytam, Cazeneuve, gdzie też chodzisz się opalać?

Przyłożyłem w dziesiątkę. Swoją buźkę w pięknym kolorze palonej gliny Cazeneuve opala za frajer w tutejszym dziale lamp kwarcowych. Dodaję:

- Daj spokój cioci Julii albo zarobisz w pysk.

I właśnie wtedy to się dzieje. Niczym w zwolnionym tempie, w Sklepie jakby całkiem znieruchomiałym, Cazeneuve blednie. Tuż za nim dwoje uroczych staruszków odwraca się ku sobie z uśmiechem. No i jak się sobie nie wpiją w usta! Pocałunek o niesamowitej, zaraźliwej zmysłowości! Pomiędzy przyklejonymi do siebie torsami dostrzegam kawałek zielonej torby. Jasnozielonej.

I Cazeneuve dostaje w pysk, jak to miał obiecać. Tyle tylko, że nie ode mnie. To urwana ręka starszej pani. Śledzę wzrokiem łuk precyzyjnie zarysowany przez tryskający z niej gejzer krwi. Widzę bardzo wyraźnie twarz mężczyzny z niedowierzającym spojrzeniem pod grzywką siwych włosów cienkich jak włosy dziecka i po rzymsku przyciętych. Widzę wyraz twarzy Cazeneuve'a. Od jego policzka, nagle obwisłego, fala uderzenia rozchodzi się na resztę twarzy

Dopiero wtedy słyszę wybuch. Jakby ceglany mur rozleciał mi się w głowie. Rzutem ciała wprzód Cazeneuve posyła na dywan ciocię Julię i mnie.

Znalezienie się w samym sercu wybuchu ma tę dobrą stronę, że nikt po człowieku nie depcze. Wszyscy uciekają od epicentrum.

Ciężar leżącej na mnie dziewczyny przygwoźdża mnie do podłogi. Jakby ochraniała mnie od karabinów maszynowych wroga. A tak naprawdę, to po prostu zemdląca. Kładę ją delikatnie na boku, podtrzymując dłonią głowę, i obciążam spódnicę na obnażone nogi. Cazeneuve siedzi na wprost mnie w ekstazie, jak dzieciak przed swoją pierwszą babką z piasku. Jest cały zalany krwią, a w głowie uparcie dźwięczy myśl, czy to jego krew, czy czyjaś inna. (Po raz pierwszy widzę, że myśli.) Kilka metrów za Cazeneuve'em dwa ciała, splecione, a zarazem porzrucane na boki, leżą w czerwonej kałuży, straszna jatka. Wstaję z trudem. Dookoła mnie panika jak w stawie podczas odłowu. Wszystkie ryby chcą wyskoczyć z wody. Podrygują, opadają, zderzają się, zmieniają nagle kierunek, jakby chciały umknąć przed niewidzialnym czerpakiem. Najbardziej nieprawdopodobne jest to, że wszystko odbywa się w ciszy, jakby na dnie morza. Gabloty się walą, manekiny eksplodują pod nogami uciekinierów. A wszystko to bez jednego jedyne dźwięku. Jestem na samym dnie gigantycznego, oszalałego akwarium.

Z kolei budzi się ciocia Julia. Widzę, jak porusza wargami, ale nic nie słyszę. Głuchy. Ogłuchłem od eksplozji. Odruchowo podnoszę palce do uszu. Nie ma krwi. To mnie nieco uspokaja. Kucam naprzeciw cici Julii i biorę jej twarz w dłonie:

- Bardzo potłuczona?

Słyszę swój głos, jakbym sam do siebie telefonował. Dziewczyna coś odpowiada, potem chce się odwrócić, ale ją powstrzymuję. Tym razem jednak to krwawe kłębowisko nie wywołuje u mnie mdłości. Człowiek chyba do wszystkiego się przyzwyczaja. Dwa ciała sprawiają wrażenie, jakby przez ostateczne obcowanie pozamieniały się wnętrznościami. Złazy w jedno. Ani śladu po jasnozielonej torbie, która wykluła się z ich wspólnego brzucha. Dwaj ubrani na biało faceci zabierają całkiem ogłupiałego Cazeneuve'a. Ktoś klepie mnie po ramieniu. Odwracam się. Na dowód, że Historia powtarza się zawsze od najgorszej strony, do wyjaśnień przystępuje znany nam już mały strażak. Dwie różowe małże podrygują pod jego i cienkim wąsikiem. Lecz - cóż za ulga! - nie słyszę go.

Przez kilka długich godzin leżałem w szpitalu. Doznałem dziecinnej wręcz przyjemności, pozwalając sobą obracać na wszystkie strony. Jak w czasach, kiedy byłem smarkaczem i matka albo Jasmina, żona Amara, kąpały mnie. Teraz, dzięki głuchocie, jest jeszcze przyjemniej. Zawsze wiedziałem, że byłbym świetny jako głuchy, a kiepski jako ślepiec. Pozbawcie mnie świata uszu - mogę żyć. Pozbawcie mnie oczu - zginę. Ponieważ to, co najlepsze, zawsze się szybko kończy, świat przeciera sobie wreszcie drogę do moich bębenków. Słyszę dookoła siebie rozmowy pielęgniarek i lekarzy. Z początku nic nie rozumiem. Jakby rozmawiali w sąsiednim przedziale. Potem słyszę wyraźniej. Chodzi im po prostu o to, żebym sobie pobyl w szpitalu przez jakiś tydzień. Mogą wystąpić komplikacje z mózgownicą. Tydzień w tym przybytku! Już stąd widzę miny smarkaczy i Juliusza.

- Nie wchodzi w grę!

Długi biały fartuch z końską twarzą pochyła się nade mną.

- Pan coś powiedział?

- Tak. Powiedziałem nie. Nie chcę tu zostać, czuję się dobrze, nie ma sprawy, chcę wrócić do domu.

Biały fartuch zwraca się do jeszcze bielszego fartucha opiętego na okrągłym brzuchu.

- Nie możemy cię wypuścić, stary. Dopóki nie zrobimy wszystkich koniecznych zdjęć.

Leżę jeszcze na stole. Olbrzymi brzuch gada mi tuż nad nosem. Wszystkie te brzuchate pułapki... A jeżeli ten również mi wybuchnie prosto w twarz?

Mówię:

- Ale też nie możecie zatrzymać mnie wbrew mojej woli.

Na dworze już od dawna jest ciemno. Kiedy idę w stronę metra, jakaś gablota sunie wzdłuż chodnika i, zrównawszy się ze mną, trąbi. Klakson z lat pięćdziesiątych. Z tych, które robią tu-tuut. Odwracam się. Z wnętrza cytrynowożółtej blaszanki 4CV macha zapraszająco ciocia Julia.

- Pan na piechotę? Proszę siadać, podwiozę pana.

Wsiadam do tego zabytku cioci Julii.

- Kazali panu podpisać zgodę? Mnie też. Zabezpieczają się, to normalne.

Prowadzi swoją blaszankę jak statek, bez wstrząsów. Bohaterski wyczyn, jeśli wie się cokolwiek na temat tej maszyny. Płyniemy w stronę Pere-Lachaise. Ciocia Julia mówi. Mówi, a ja znowu widzę jasnozieloną torbę i stykające się z sobą brzuchy. Potem stężyły wzrok Cazeneuve'a. Nic mu nie jest, dam sobie rękę uciąć. Przeżył wstrząs, to wszystko. Ładunek wybuchł w hermetycznym gniazdku uwitym przez dwa brzuchy. Jak w środku jajka na miękko.

- Bosko im stawało!

Stawało? Komu stawało? Ciocia Julia patrzy na mnie oczami przesłoniętymi niewymowną nostalgią. Mówi:

- Sandinistom. Stawało im bosko. Pieprzyli się z radością. A orgazm mieli długi, długie, palące pchnięcia, dopóki całkiem nie ugasili mojego pożaru. Raz tego doznałam na Kubie, wkrótce po Rewolucji. Miałam czternaście lat. Dwa dni przedtem, nim wywalili mojego tatę konsula. Wróciłam tam potem, ale było po wszystkim: wzwód już realnie socjalistyczny, stosunek stachanowski...

Na chwilę milknie. Zaledwie zdążam złapać oddech. (Czy to bomba wprawiła ją w taki stan?) Czerwone światło zmienia się na zielone. Ciocia Julia startuje razem z samochodem.

- Teraz już i Nikaragua jest skończona... rozkosz konstruktywna.

Jej skrzywiona w wyrazie obrzydzenia twarz nagle się wygładza, a śliczny gardłowy głos zabarwia się radosnym przekonaniem:

- Na szczęście zawsze jeszcze zostają Maorysi, Morysi, Satarejczycy.

- Satarejczycy?

- Satarejczycy z brazylijskiej Amazonii!

Rozwija temat:

- Mają podłużne, wyraźne, dobrze zarysowane mięśnie. Ich ramiona i biodra nie uginają się pod dotknięciem. Mają członek gładki, jak z jedwabiu, nigdzie indziej takiego nie spotkałam. I kiedy w człowieka wchodzi, rozjaśniają się od środka, jak szkło Galle z lat 1900,

wspaniałym miedzianym blaskiem.

I tak dalej, podczas kiedy wzdłuż brzegów naszej pirogi przesuwa się zimowy nocny Paryż. Ciocia Julia rozbudowuje swoją oszałamiającą teorię. Według niej tylko rewolucjoniści nazajutrz po zwycięstwie i przedstawiciele cywilizacji prymitywnych kochają się zadowolająco. Jedni i drudzy są zawieszani w wieczności, pieprzą się w czasie teraźniejszym trybu oznajmującego, tak jakby to miało trwać zawsze. Wszędzie indziej na świecie ludzie robią to w czasie przeszłym lub przyszłym, dla pamięci i ku zbudowaniu, żeby przedłużyć albo pomnożyć, ale nikt nie zajmuje się sobą...

Jej głos staje się niezwykle przekonujący:

- Chodzi o to, żeby zająć się sobą, teraz, każdym z nas. W tej chwili tobą i mną.

Pełne światła na ciocię Julię. Nie odrywam od niej wzroku. Zarys jej postaci tęczo drży w miejskich światłach. A potem, nagle, w chlustającym od wystawy z lampami blasku, widzę ją całą. (Mamma mia!..)

Zaparkowaliśmy na doczepkę, pokonaliśmy moje dwa piętra, jakby nas ktoś gonił, rzuciliśmy się na moje wyrko jak w dolinę wyschniętej rzeki, zdarliśmy z siebie ubrania, jakby się paliły, dwoje piersi eksplodowało mi w twarz, jej usta zamknęły się na moich, moje natrafiły na jej pulsujący maoryjskim pożądaniem pocałunek, nasze ręce rozbiegły się wszędzie, we wszystkich kierunkach - pieszczoty, uściski, objęcia - nasze nogi się splątały, uda ciasno uwięziły policzki, brzuch i bicepsy stwardniały, sprężyny mojego łóżka wydały głos, który odbił się echem po pokoju, a potem, nagle, wspaniała lwia głowa cioci Julii wychynęła ponad kłębowskiem w aureoli swojej niewiarygodnej grzywy, a głos, tym razem ostry, zapytał:

- Co ci jest?

Odpowiedziałem:

- Nic.

Nic. Absolutnie nic. Nic, tylko beznadziejny mięczak zwinięty pomiędzy dwoma połówkami swojej muszli. Który nie chce wystawić głowy. Ze strachu przed bombami, jak sądzę. Ale wiem, że oszukuję sam siebie. Tak naprawdę pokój mój wypełniają ludzie. Dookoła łóżka stoją na baczność widzowie. I to nie byle jacy! Cały wianuszek sandinistów, Kubańczyków, Maorysów, Satarejczyków, na golasa i w mundurach, uzbrojonych w kusze i w kałasznikowy, lśniących miedzią jak posągi, spowitych w świetlisty pył chwały. Im stoi! Z dłońmi na biodrach zamykają wokół nas gęsty, wygięty w łuk szpaler honorowy. Mnie wisi.

- Nic, powtarzam. Nic mi nie jest. Przepraszam.

I ponieważ nic innego nie da się zrobić, rechocę.

- Aha. I na dodatek uważasz, że to zabawne?

Człowiek może się śmiać dlatego właśnie, że nie uważa czegoś za zabawne. Wyjaśniam jej to. Jeszcze raz przepraszam. Mówię, że jesteśmy otoczeni przez sędziowskie jury, a ja nigdy nie byłem dobry w zawodach. Ciocia Julia mówi:

- Rozumiem.

Teraz ona z kolei mi wyjaśnia. Nasze niepowodzenie posłuży zresztą jako konkluzja całej tej ankiety na temat miłości pierwotnych i ewolucyjnych, którą Julia musi przygotować do najbliższego numeru "Actuel".

- Aha! - mówię - bo ty pracujesz w "Actuel". Tak, właśnie tam pracuje.

- Widzisz, tym, co zabija miłość, jest miłosna kultura. Każdemu mężczyźnie by stało, gdyby nie był świadomy, że innym staje!

Kiedy tak nawija, dobieram się do niej, ale odsuwa moją rękę. Żadnych surogatów.

- Tak, tym, co kładzie akt twórczy, są punkty odniesienia. Gdzie jest Juliusz? Zastanawiam się, gdzie jest Juliusz. Na pewno gdzieś w okolicach kuchni Hadusza. Kurewskie to życie. Bomby wybuchają ci pod siedzeniem, indiańskie bohaterskie siły zjednoczone podcinają ci małego u samych korzeni pożądania, a twój najdroższy pies opycha się spokojnie w twojej ulubionej restauracji. Juliusz, ty świniu, koniec z nami. Wypieram się ciebie po trzykroć. Jak święty Piotr.

Oczywiście drzwi mojego pokoju tylko na ten moment czekały, żeby się otworzyć.

Juliusz. Tak! Juliusz we własnej osobie.

I Teresa we własnej osobie. Na progu stoi Teresa. Obok niej siedzi Juliusz. Potem zjawia się jeszcze jedna głowa: Luna. I jeszcze jedna: Jeremiasz, wspięty na czubkach palców. I Klara. Wszystko to przepycha się jedno przez drugie, nie przekraczając progu. Teresa mówi:

- Aha, to ty żyjesz...

Jak gdyby nigdy nic.

Pochylając głowę wskazuję na mięczaka i mówię:

- Ledwo, ledwo...

Teresa posyła najniewinniejszy grymas mojej "lokatorce", która w dalszym ciągu naga, znieruchomiała z otwartymi ustami w połowie swojej wypowiedzi.

- Ciocia Julia, jak sądzę?

Ukochana siostrzyczka. Resztką prestiżu, która mi jeszcze pozostała, właśnie dokonuje swego żywota. Ciocia Julia wie już, że nie jest pierwszą ciocią Julią w moim życiu. Jeżeli Teresa pociągnie temat, Julia dowie się wkrótce wszystkiego o moich sposobach rekrutacji. O tak, jest mi wstyd. Podrywam w Sklepie urodziwe złodziejki. Ot co. Człowiek jest podły. A jednak istnieje coś jeszcze podlejszego. Drugi człowiek. Na przykład Cazeneuve i wszystkie gliny jego pokroju, polują na złodziejki jedynie w tym celu, żeby im dać do wyboru: albo gabinet Dyrekcji, albo zamkniemy się na chwilę w przymierzalni. Ja przynajmniej nie gwałcę. Rzekłbym nawet, że za każdym razem, kiedy uwodzę jakąś ciocię Julię, ratuję ją od upodlenia. Krótko mówiąc, robię, co mogę.

Trudno powiedzieć, czy Teresę uszczęśliwiło, że widzi mnie żywym. Jej królestwo nie jest z tego świata. Głosem klinicznie wypranym z zabarwienia pyta Julię:

- Jak z takimi olbrzymimi piersiami śpi pani na brzuchu?

Julia wybałusza oczy. Aparat Klary ponad wszystkimi głowami uwiecznia za pomocą flesza ten właśnie wyraz kompletnego osłupienia.

Po czym braciszkwowie, siostrzyczki i pies wpadają do wnętrza pokoju pod ryczącym naporem bandy jakichś nieznanym. Rozrehotanej. Na wpół nagie ciała, co najmniej równie piękne jak Satarejczycy cioci Julii. Cale towarzystwo daje nurka na nasze łóżko i zaczyna nas obsypywać najbardziej niebywałymi pieszczotami. Rozmaite wykrzykniki w nie znanym mi narzeczu:

- *Vixi Maria, que moca linda!*

- *E o rapez tambem! Olha! O pelo Tao branco!*

Julia ma dziwną minę. Coś pomiędzy urzeczeniem a niedowierzaniem, jak gdyby jej sny zmaterializowały się pod wpływem niezaspokożenia.

- *Parece o menino Jesus mesmo!*

Powiedziane to jest tak zabawnym tonem, że wszyscy się śmieją, nawet ci, co nie rozumieją. Pieszczoty wybuchają ze zdwojoną siłą, aparat Klary trzaska, Juliusz próbuje przedostać się do pana, Jeremiasz ma oczy jak dwa spodki, Luna uśmiecha się jak to kobieta w ciąży, Malec klaszcze w ręce podskakując na złączonych nogach, Teresa czeka, aż to wszystko się skończy, Julia zaczyna oddawać pieszczoty, a ja śmiertelnie się boję, żeby mi tu nie wylądowała Siostra Dobra Wróżka z opieki społecznej w eskorcie granatowego Anioła

Obyczajności w kepi. Ale nie, to wkracza pomysłodawca tej przemijanej uroczystości. Teo!

Ma na sobie garnitur w kolorze zielonej łąki. Na tle górnej kieszeni widnieje pęczek sałaty z listkiem róży w środku. W albumie Malca jest zdjęcie Tea w tym ancugu na grzbiecie, a podpis głosi: *To Teo. który dokarmia w Lasku.*

Teo patrzy na mnie, ucieszony jak nie wiem co.

- Właśnie, to ja! Do kogo też drepce twoja rodzinka, kiedy się dowiaduje, że starszy brat wyleciał w powietrze? Ano do Tea. A tu pech, nie było mnie dzisiaj w domu. Więc przyszli po mnie do Lasku.

- Do Lasku?

- Bulońskiego. Akurat dziś jest dzień, kiedy noszę żarcie koleżankom z Brazylii, żeby je trochę wesprzeć, bo marzną na kość w bojowych szatkach. Kiedy w szpitalu powiedzieli mi, że jesteś cały i zdrowy, postanowiłam je przyprowadzić, żeby to uczcić. Są takie serdeczne, no nie?

(W Lasku Bulońskim... moje maluchy... Kiedyś zostaną pozbawiony praw braterskich.)

Ciąg dalszy odbywa się na dole, u dzieci, gdzie improwizujemy festyn brazylijski. Jeremiasz wyszperał u kolegi z tego samego domu płytę Neyy Matogrosso najbardziej zwariowanego ze wszystkich wielopłciowych piosenkarzy kontynentu południowoamerykańskiego. Muzyka ryczy, ciocia Julia tańczy z wcielonymi obiektami swoich marzeń. Ja, pod czułym spojrzeniem Tea i Klary, piję jedną brazylijską kawę za drugą. Jeremiasz naśladuje rytm muzyki, waląc we wszystko, z czego w domu można wydobyć jakiś dźwięk. Malec, jak wszystkie dzieci w jego wieku, śpi pośrodku tego całego zamętu. Luna naturalnie uśmiecha się, a Teresa, siedząc na brzegu łóżka, trzyma za brązową mocną rękę wielgachnego brazylijskiego transwestyty, tak samo ciemnego i połyskliwego jak kawa, która wyściela mnie od środka. Tylko wewnątrz dłoni, dzięki małej lampce przy łóżku, są jasne. Nie wiem, co on pojmuje z przepowiedni mojej siostry, ale jego pełne ekstazy oczy rzucają takie same błyski jak jej mini-spódniczka z lamy. Potem Brazylijczyk nagle odskakuje w tył. Celuje drżącym palcem w kierunku Teresy i zaczyna ryczeć:

- *Essa mofa chorava na barriga da mae.*

Nagle wszystko się kończy, muzyka, taniec i kawa.

- Co on mówi?

Teo tłumaczy:

- On mówi, że Teresa płakała już w łonie matki.

W tył zwrot o szesnaście lat wstecz i lodowaty chłód w mojej duszy. (Słyszę bardzo wyraźnie głos mamy: "Dziecko płacze." "Dziecko płacze?" "U mnie w środku, Beniaminie, słyszę, jak płacze we mnie w środku!")

Najspokojniej jak umiem, pytam:

- No i co?

Transwestyta tańczący z ciocią Julią, ten sam, który przed chwilą porównywał mnie do Dzieciątka Jezus, wyjaśnia głosem bardzo spokojnym i pozbawionym jakichkolwiek śladów obcego akcentu

- U nas, proszę pana, to oznacza, że ona ma dar jasnowidzenia.

Potem szperając w torebce ze strasu, wyciąga mały, wypełniony wodą posążek z

blękitnawego szkła. Klęka przed Teresą i podaje go jej, mruczając:

- *Para voce, mae; urn presente sagrado.*

To posążek bogini Jemanji - wyjaśnia Teo - bogini morza. Podobno wybawia ich ze wszystkich opresji.

Budzi się mój pozytywistyczny diabełek, który szepcze mi do ucha:

- To pewnie dlatego kończą karierę w Lasku.

Teresa bierze posążek bez słowa podziękowania i odkłada na półeczkę, gdzie przechowuje wszystkie bożyszczka ze swojej kolekcji.

Jak długo przebywał pan w okolicy stoiska ze swetrami

- Około dziesięciu minut.

- Co pan tam robił

- Pomagałem przyjaciółce wybrać sweter.

- Przyjaciółce od dawna?

(Cholerny Cazeneuve, wiedziałem, że nic mu się nie stało.)

- Jej dane i adres poproszę.

To nie inspektor Caregga, ale komisarz okręgowy Coudrier. W lokalu policji śledczej.

Komisarz Coudrier (Różdżkarz) jest taki, jak jego nazwisko. Urodzony, wyzbyty namiętności tropiciel. Poszukuje złodziei, morderców, dziś podkładacza bomb, ale równie dobrze mógłby dochodzić, jak rozbić atom albo wynaleźć eliksir antyrakowy. Po prostu tak się jakoś złożyło z jego studiami, że dziś stoi nade mną, a nie nad mikroskopem. Jest odznaczony Legią Honorową, ubrany w garnitur w kolorze butelkowej zieleni, bez kabury pod spodem, i widząc, że się waham, wyjaśnia spokojnie, że moje zeznania jako głównego naocznego świadka są pierwszorzędnej wagi.

- No więc, ta przyjaciółka ze swetrem?

Odpowiadam, że to raczej znajoma niż przyjaciółka, że nazywam ją "ciocią Julią" i że pracuje w gazecie "Actuel".

W tej samej chwili rozlega się trzaśnięcie drzwi, a ja podskakuję na dwa metry. Brazylijska kawa, kurza jej twarz! Przenicowała mi nerwy.

- Niech pan się tak nie przejmuje, panie Malaussene, to jedynie rutynowe pytania.

Ja się nie przejmuję, ja po prostu jestem jak nieopierzone ptaszę, które siedzi na linii wysokiego napięcia i chowa ogon między łapki, żeby nie dotknąć drutu z przeciwka. Następane pytanie odbieram całą powierzchnią mojego biednego ciała.

- Nie zauważył pan niczego szczególnego podczas dziesięciu minut?

Nic nie zauważyłem. To, co zobaczyłem, zobaczyłem dopiero w chwili, kiedy się to stało. Ale za to z hyperrealistyczną precyzją. Rożek jasnozielonej torby, stykające się brzuchy. To właśnie mówię. Pancerna maszyna zapisuje moje zeznania. Każda seria poraża mnie jak prądem. Coudrier marszczy brwi i pyta:

- Czy mógłby pan dokładnie opisać ofiary?

- Zwłaszcza mężczyznę. Co do kobiety, to widziałem tylko rękę...

Opisuję faceta jako kogoś w rodzaju rzymskiego cesarza pod koniec kariery. Klaudiusza u mety.

- A pod grzywką siwych włosów bardzo niebieskie oczy, genre Petain?

- Dokładnie.

Nagle przypomina mi się pocałunek tej pary, niewiarygodnie młodzieńczy uścisk.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie pewien. A bo co?

- Przeczyta pan w gazetach. Byli rodzeństwem.

I dodaje, jakby taki szczegół wykluczał miłość kazirodczą:

- On był inżynierem drogowym na emeryturze.

Potem, jakby do siebie:

- Zresztą to bez znaczenia, równie dobrze mogło trafić na pana.

I z przebiegłym spojrzeniem:

- Pan i ta pańska ciocia.

Milczenie. Otwierają się drzwi. Sekretarka bez słowa stawia wielką tacę na biurku obok notatnika w zielonej skórce. Komisarz okręgowy mówi: "Dziękuję, Elżbieto", i pyta:

- Kawy?

Podskakuję.

- Nigdy w życiu!

Uśmiecha się i nalewa sobie.

- Przynajmniej w tym punkcie pan kłamie, panie Malaussene.

Cienka aluzyjka. Po czym pije powoli kawę, która pachnie tak, że kręci mi się w głowie. Potem odstawia filiżankę na tacę, mówi: "Dziękuję, Elżbieto", krzyżuje dłonie przed sobą, mlaska ostatni raz ustami, żeby nic nie uronić z aromatu, i patrzy na mnie. Elżbieta zmywa się z tacą.

- Ostatnie pytanie, panie Malaussene. Na czym właściwie polega pańska funkcja w Sklepie? Z pańskiego zeznania nic wynika to całkiem jasno.

I nie bez powodu...

O dziwo, w tej właśnie chwili uświadamiam sobie charakter wnętrza, w jakim się znajduję. Biurko komisarza Coudrier reprezentuje styl empire. Poczynając od pseudorzymskich ławeczek, na których siedzimy, poprzez serwis do kawy z cesarskim monogramem N, aż po kanapę Recamier łagodnie połyskującą obok mahoniowej szafy, wszystko tonie w roślinnym świetle bijącym od tapety w kolorze szpinaku usianej małymi złotymi pszczołami. Gdybym się lepiej rozejrzał, wykryłbym na pewno mini-popiersie mini-Korsykanina, kopię jego mini-kapelusza i Pamiątniki Las Cases'a w bibliotece. Chociaż nie ma to żadnego związku z postawionym przez niego pytaniem, zastanawiam się, czy komisarz okręgowy zapłacił za ten wystrój z własnej kieszeni, czy też kredyt specjalny, zgodnie ze swymi zamiłowaniem, otrzymał od administracji. W każdym przypadku narzuca się jeden wniosek: ten facet niecodziennie wraca do domu na noc. Tutaj dobrze się czuje. Kto zaś lubi taką oprawę, lubi też taką robotę. Nasz gliniarz zasuwa przez dwadzieścia pięć godzin na dobę. Lepiej długo nie kręcić w obecności tego nowego wcielenia Fouchego. Stąd płynie moja decyzja, żeby nie kłamać.

- Jestem Kozłem Ofiarnym, panie komisarzu.

Komisarz okręgowy Coudrier patrzy na mnie spojrzeniem absolutnie pozbawionym wyrazu.

Wyjaśniam mu tedy, że funkcja nosząca nazwę Kontroli Technicznej jest całkowicie fikcyjna. Nie kontroluję zupełnie nic, gdyż nie da się nic skontrolować wśród obfitości przekupniów Świątyni. Chyba żeby dziesięciokrotnie zwiększyć liczbę kontrolerów. Toteż kiedy jakiś klient zjawia się ze skargą, jestem wzywany do działu reklamacji, gdzie dostaję absolutnie straszliwą reprimendę. Moja praca polega na tym, by poddać się temu huraganowi upokorzeń z wyrazem takiej boleści, takiego unicestwienia i tak głębokiej rozpacz, że klient z

reguły wycofuje skargę, by nie mieć na sumieniu mojego samobójstwa, i wszystko kończy się polubownie, z minimalnymi stratami dla Sklepu. Ot, za co mi płacą! Dostyc dobrze zresztą.

- Kozłem Ofiarnym...

Komisarz okręgowy Coudrier patrzy na mnie nadal wzrokiem równie nieobecny.

Pytam więc:

- Nie macie czegoś takiego w policji?

Przygląda mi się jeszcze przez chwilę i w końcu mówi:

- Dziękuję panu, Malaussene. Na razie to wszystko.

Opuściwszy biuro komisarza, odnoszę wrażenie, jakbym szedł bospo po dywanie ze szpilek. Powieki drżą, ręce dygocą, zęby szcękają. Co Jemanja pakuje do tej swojej kawy? Ledwie zdążam wstać do siebie i łyknąć trzy tabletki valium przed pójściem na zebranie międzyzwiązkowe, które ma się odbyć o osiemnastej trzydzieści w lokalu stołówki. Valium spowija moje ciało obłokami, nic nie zmieniając w stanie moich nerwów. Widziany z zewnątrz bujam w przestworzach, od środka nie przestaję skwierczeć jak cewka elektryczna podczas zwarcia.

Teo patrzy na mnie z niedowierzaniem:

- Wziąłeś za mało?

- Raczej za dużo.

Obrady w pełnym toku. Tym razem stawili się wszyscy pracownicy. Zrzeszeni czy też nie, członkowie Związku Centralnego czy "zakładowi", są tu ponownie wszyscy drodzy współpracownicy (nice) Sinclaira. Lecyfre, automatyczny dystrybutor poglądów Centrali, nie panuje nad sytuacją. Nie lepiej radzi sobie zaprogramowany delegat zakładowy Lehmann. Atak na wszystkich frontach. Na próżno wydzierają się "bardzo proszę, towarzysze!", "trochę spokoju, przyjaciele!", podnosząc rękę dla uspokojenia burzy, nic z tego. Panika jest silniejsza. Każdy wykrzykuje swój strach, wściekłość albo po prostu swoje zdanie. Kubko-nożo-szklano-betonowa akustyka stołówki nie ułatwia sprawy. Rozgardiasz jest taki, że nie słyszy się nawet najbliższego sąsiada. "A jeśli ona naprawdę się go pozbędzie?" No i bądź tu mądry: skąd w sposób tak nieoczekiwany bierze się ta myśl? A jeśli Luna przerwie ciążę? W oka mgnieniu widzę, jak miłość, która jest życiem całym, przepada, a potem, jakby w zaprzeczeniu, tę samą miłość, która zostaje zmarnowana, unicestwiona przy piersi Luny przez małego cyckożernego konkurenta.

- Masz może jakieś zdanie na ten temat, Malaussene?

Pytanie Lecyfre'a, rzucone bez uprzedzenia.

- Przecież dobrze wiesz, co to jest niezadowolona klientela?!

Krzyknął to po to tylko, żeby skierować na mnie ogólną uwagę i w ten sposób uzyskać ciszę. Sporo głów się odwróciło. Wystarczająco dużo, bym się poczuł naprawdę sam. A więc, czy sądzę, że klient niezadowolony z moich usług może podkładać nam bomby pod siedzenie? Takie jest pytanie, prawda?

- Kontroler techniczny musi mieć jakieś zdanie na ten temat, zwłaszcza gdy tak dobrze wykonuje swoją pracę!

Nic się oczywiście nie da na to odpowiedzieć. Więc nie odpowiadam. Tylko bez wielkiego przekonania wyciągam w kierunku Lecyfre'a pięść, z której wystawiam środkowy palec, uprzednio pośliniony. Lehmann śmieje się obleśnie, wtórują mu inni. Uśmiech Lecyfre'a mówi wyraźnie, że się jeszcze policzymy. Póki co, osiągnął oczekiwany spokój. Spojrzenia odwracają się ode mnie, niektóre wolniej, niektóre szybciej. Ktoś oświadcza, że nie, bomby to nie może być sprawka pojedynczych klientów. Dyskusja toczy się dalej na podstawie innych przypuszczeń. To Sklep jest obiektem, nie ma wątpliwości. Lecyfre i jego ludzie uważają, że problem może być związany wyłącznie z Dyrekcją. Na próżno Lehmann przeczy głową, teza

pączkuje. Wiele sprzedawczyń domaga się kontroli ekonomicznej. Muszą się tam, na górze, odbywać jakieś nadto lukratywne machinacje, które budzą w kimś sprzeciw. Te bomby to kukulcze jaja kukuleczki, która szuka zemsty. Chyba że - to stanowisko Lehmana - chodzi o próbę wymuszenia, byśmy się opłacali mafii. A czy do zamachu (zamachów?) przyznała się jakaś organizacja? Nie, z tego, co wiadomo. Czy Dyrekcji zaproponowano obstawę mafii? Nie? No więc? Idiotyzm z tym pomysłem o mafii. To jakiś pojedynczy facet, któremu zależy na zamknięciu Domu Towarowego. Ot co!

Tak, no więc właśnie. Oto prawdziwy temat dnia dzisiejszego zebrania. Jaką postawę ma przybrać personel Sklepu, jeśli Dyrekcja zdecyduje się na zamknięcie interesu? Protesty ze wszystkich stron, wycia, jednomyślność. Nie ma mowy o zamknięciu. Jeżeli zamkną Sklep, okupujemy go. Pracownicy nie będą płacić za błędy Dyrekcji. Tak, ale bezpieczeństwo? Ciska Wszystkie ręce opadają naraz.

- Zobaczysz, zażądają premii od ryzyka.

To żartuje sobie Teo.

- Będziemy sprzedawać slipki z worków z piaskiem. Taka zabawa w wojnę. Lehmann będzie mógł wreszcie włożyć swój prawdziwy mundur, a klientom rozdamy kamizelki kuloodporne.

Teo fantazjuje dalej na ten temat, ale ja już go nie słucham. Słucham czegoś innego, ultradźwiękowego gwizdka gdzieś w geometrycznym centrum mojego mózgu. Świs. Dźwięk, który kręci się wokół swej osi jak meksykański ogień sztuczny. Potem wysyła charakterystyczny ból w kierunku obydwu uszu. Napięcie, palący ogień i niebawem wiszę w przestrzeni na rozgrzanym do białości stalowym drucie, który przesywa mój mózg na wskroś. Ból każe mi otworzyć szeroko usta - nie wydobywa się z nich żaden dźwięk - potem łagodnieje. I znika. Teo, który patrzył na mnie jak na umierającego, uspokaja się. Mówi coś, czego nie słyszę. Jestem głuchy. Odpowiadam jednak:

- W porządku, Teo, w porządku, już przeszło, dziękuję.

Mój głos wydobywa się z mikroskopijnego skafanderka gdzieś we wnętrzu pięty. Daję Teo znak, żeby z powrotem zainteresował się trybuną, gdzie nadal toczą się obrady. Otwierają się usta, podnoszą ręce. Lecyfre i Lehmann udzielają głosu. Kompletnie nic nie słyszę, ale widzę. Widzę uważne plecy i zaniepokojone karki. I po raz pierwszy w życiu zdaję sobie sprawę z tego, że wszystkie je znam, te plecy i karki kobiet i mężczyzn. Mam nawet wrażenie, że znam je do głębi. Mogę dopasować nazwiska do większości podnoszących się rąk. Od pięciu miesięcy, od kiedy drepczę po piętrach Sklepu, wniknęły przez oczy w moją świadomość, osiedliły się we mnie. Znam je tak dobrze, jak jakieś dwadzieścia cztery tysiące obrazków z komiksów o Tintinie i dwadzieścia cztery tysiące podpisów do nich, taka jest moja homeopatyczna pamięć, która budzi okrzyki podziwu Jeremiasza i Malca.

Dostrzegam nagle wyraźnie, jak wszy na prześcieradle, czterech gliniarzy rozstawionych pośród całego tego towarzystwa. Chociaż nic ich nie wyróżnia od innych osobników płci męskiej tego zgromadzenia. Czy to gliny, czy sprzedawcy, czy urzędnicy - u wszystkich ta sama dbałość o bransoletkę zegarka i o kant spodni. Różni ich spojrzenie. Tych czterech patrzy na innych, a inni patrzą przed siebie, patetycznie, jakby ze związkowej trybuny miała paść obietnica dnia bez środków wybuchowych. Gliniarze natomiast szukają zabójcy. Mają spojrzenie psycho. Ich uszy wachlują we wszystkich kierunkach. Są jak speleologowie w

poszukiwaniu właściwej duszy. Kto w tym towarzystwie ma już tak dość, że chciałby wysadzić tę budę? To jedyne pytanie, jakie sobie zadają.

I długo je będą zadawać...

Zabójcy nie ma na sali. Ta pewność wpisuje się w moją kosmiczną ciszę ognistymi głoskami.

Przemykam się cichutko w kierunku bocznych drzwi, tak że nawet Teo nie zauważa. Idę wzdłuż korytarza obstawionego gaśnicami i usianego strzałkami kierunkowymi. Zamiast pójść za wskazówką "wyjście", zbaczam na lewo i popycham poręcz drzwi, które pod naciskiem ustępują.

Wszystkie światła są zapalone. Sklep spoczywa w złocistym pyłe. Chociaż w mojej głowie panuje cisza absolutna, wydaje mi się, że słyszę przede wszystkim jego ogromną ciszę. Schody ruchome, które się nie ruszają, to coś więcej niż bezruch. Półki pękające od towarów bez jednego sprzedawcy to coś więcej niż osamotnienie. Kasy automatyczne, które nie dzwonią, to więcej niż cisza. Wszystko widziane oczami głuchego - inny świat. Świat, gdzie bomby wybuchają, nie pozostawiając śladów.

- Szukasz, gdzie by tu podłożyć następną?

Znam dobrze ten głęboki głos, który mi uzmysławia, że odzyskałem słuch. Stoi oparty obok mnie. Spojrzenia nas obu kierują się odruchowo w stronę działu ze swetrami, na samym dole. W końcu odpowiadam:

- Jest tyle sposobów zabijania, Stożil, to mnie zniechęca...

Stożilkovic, Serb, jeśli chodzi o geny, a strażnik nocny z zawodu, w wieku, który byłby dostojny, gdyby nie jego uśmiech. Głos najniższy w świecie: Big Ben w londyńskiej noc. Opowiada mi uroczą historyjkę:

- Znałem jednego zabójcę Niemców, podczas wojny, w Zagrzebiu, miał z piętnaście, szesnaście lat, buźka jak u anioła, nazywali go Kolia, wymyślił dziesięć niezawodnych sposobów. Na przykład spacerował sobie pod rękę z koleżanką, w ciąży, która pchała wózek, posyłał oficerowi wychodzącemu z kościoła kulę w kark i chował dymiący rewolwer koło śpiącego dzieciaka. Takie pomysły. Sprzątnął osiemdziesięciu trzech. Nigdy nic uciekał. Nigdy nie dał się złapać.

- Co się z nim stało?

- Oszalał. Nie był z początku stworzony do zabijania. Pod koniec nie umiał się bez tego obejść. Coś w rodzaju morderczej obsesji, częściej u partyzantów, pasjonowała się tym po wojnie międzynarodówka psychiatryczna.

Milczenie. Mój wzrok błądzi przez chwilę po złoconej żelaznej balustradzie biegnącej wokół działu niemowlęcego tam, na wprost mnie, po drugiej stronie. Wózki jakoś straciły niewinny wygląd.

- Poprzestawiamy klocki dziś wieczorem?

"Przestawiać klocki" w języku Stożila to zaproszenie, żeby pograć w szachy. W każdy wtorek aż do północy - to jedyna zdrada, jakiej dopuszczam się wobec dzieciaków. Przestawianie klocków dziś wieczorem w świetlistym, uśpionym Sklepie, tak, właśnie ten rodzaj ukojenia jest mi potrzebny.

Uderzenie z boku. Nie zdążam złapać oddechu, a już następny atak, tym razem czołowy, posyła mnie na deski. Pozostaje tylko zwinąć się w kulkę, zebrać maksymalnie w sobie, wystawić na grad ciosów i czekać, aż to minie, wiedząc jednocześnie, że to nie minie. I nie mija. Spada na mnie ze wszystkich stron naraz. Wtedy oczami wyobraźni widzę amerykańskich marynarzy, których statek zatonął gdzieś na Pacyfiku pod koniec wojny. Ludzie w morzu skupili się, żeby utworzyć wspólny blok, i unosili na wodzie, trzymając się pod łokcie, jak wielka ludzka plama. Rekiny zaatakowały ten placek, rozpoczynając od brzegu i wgryzając się, wgryzając aż do środka.

To właśnie Stożil robi ze mną. Odparł siły otaczające mojego króla i atakuje ze wszystkich stron naraz. Taka umiejętność rozgrywania jednocześnie w pionie i po skosach jest oznaką, że mamy do czynienia ze Stożilem w wielkiej formie. Tym zresztą lepiej, bo kiedy Stożil nie ma jasności, to oszukuje! Jedyny facet na świecie, który potrafi oszukiwać w szachach. Wszystkie jego pionki pokonują galopem po dwa albo po cztery pola, przeciwnikowi mąci się w oczach, świat się chwieje, morale spada do zera, to prawdziwa śmierć wartości, wszystko staje się płynne. Dziś wieczorem to nie jest potrzebne. Ma jasności On ma jasność, a ja podziwiam. Wszystkie ataki odbywają się otwarcie. Konik skacze pod kątem, nagle wyskakuje laufer, zdecydowany i nieoczekiwany jak ostrze noża. Szarżujący ponownie konik zatapia zęby w swojej części łupu. Kiedy ochraniam nogę, pożera mi się rękę, kiedy chowam głowę w ramiona, ginę zaduszony. Nie da się zaprzeczyć, oto Stożil w swoim najlepszym wydaniu. A ja, jak kret, mrużę oczy pod spojrzeniem Puszczyka. Moja mózgowiczka, która desperacko szukała wyjścia, uspokaja się wreszcie, zahipnotyzowana przegraną.

- Jest siedmiu.

Nie spuścił oka z szachownicy. Tylko ten pomruk odległej basetli, którą ma zamiast głosu.

- Siedmiu? Jakich siedmiu? Co za siedmiu?

- Jest sześciu gliniarzy w Sklepie, plus nasz, to razem siedmiu.

Nasz, wysoki, pryszczaty, z mokrymi ustami, który pełnym podziwu kiwnięciem głowy kwituje każdy cios mojego przeciwnika, niedostrzegalnie sztywnieje.

- Jeden u Sinclaira buszuje po rachunkach, po jednym udającym cień na każdym piętrze, no i ten nasz, który finguje, że umie grać w szachy. Mokre Usta tak zatkało, że nawet się nie wścieka.

- Skąd pan wie? Przecież pan nie widział, jak wchodzili! Stożil nie odpowiada. Włącza mikrofon panny Hamilton, ten, który po dziesięć razy na dzień wzywa mnie do sali tortur, i grzmi z głębi trzewiów:

- Drugie piętro, dział płytowy, proszę zgasić papierosa.

Sądzę, że na dźwięk tego niebiańskiego kontrabas gliniarzowi patrolującemu drugie piętro musi się wydawać, że złapał kontakt z Samym Bogiem Ojcem.

Znam mojego Stożila: fakt, że obstawili go siedmioma agentami, rani go dotkliwie. A poza tym społeczeństwo, które zaczyna pilnować pilnujących, to nie wróży nic dobrego, on już to widział...

Jednak wraca do szachów, przeprowadza laufra przez linię środkową i oznajmia:

- Mat w trzech ruchach.

Bez wątplenia. Aż zapiera dech. Śmierć przez uduszenie. Brawo, Stożil. Zwycięzca podnosi się i ciągnie stare kości pod okienko operatorskie, skąd panna Hamilton może sobie zawsze fundnąć panoramiczny widok na Sklep w całej krasie. Nieśmiało Mokre Usta ponawia atak:

- Hę? Skąd pan wiedział, że jest nas siedmiu?

Spojrzenie Stożila błdzi przez chwilę po migotliwej przestrzeni.

- Ile masz lat, mały?

- Dwadzieścia osiem, proszę pana.

Gdyby sądzić po niepewnym głosie, Mokre Usta mógłby mieć osiemnaście. Ale ze względu na zasuszony ptasi mózdzek - z osiemdziesiąt osiem.

- Co twój ojciec robił w czasie wojny?

Podczas gdy spojrzenia obu szybują jak eskadra po rozległej świetlistej ciszy, prowadzony jest ten dialog.

- Był żandarmem, proszę pana, w Paryżu.

Oczy Stożila nurkują teraz w samą głąb Sklepu i nagle zawracają, wznosząc się zakolami i omiatając piętro po piętrze, po czym wracają na swoje miejsce, jak gdyby miały zdać raport.

- Czuć tu niemytymi kopytami, nie uważasz?

Synowi żandarma płoną uszy. Ale nocny strażnik kładzie mu na ramieniu ojcowską dłoń.

- Nie tłumacz się. Moimi.

I dodaje.

- Każdy wartownik tak zalatuje.

I wtedy łagodnie, z namysłem, Stożilković zaczyna opowiadać małemu glinie swoje życie, od samych początków w seminarium, kiedy to, jako wartownik duszy, wznosił wokół dogmatu podwójny mur z *Ave* i *Pater*, potem o swoim kryzysie duchowym, zruceniu sutanny, zapisaniu się do Partii, o swojej wojnie, Niemcach sunących dnem dolin, opowiada o armii Własowa (milion ludzi załatwionych białą bronią pod koniec działań wojennych) przejeżdżającej konno, tam w dole, pod nieruchomym spojrzeniem wartownika Stożilkovica ("strażnika bałkańskich wrót Europy", mój mały!), i o tych, którzy przyszli wkrótce po niej, o hordach wyzwolicieli, ostrożeńbich Tatarach, czerkieskich jeźdźcach kolekcjonerach uszu, białych Rosjanach kolekcjonerach zegarków, którzy także pragnęli przekroczyć te bałkańskie wrota, ale udałoby im się to tylko wtedy, gdyby wartownik Stożilković, który stał tam w oparach swoich odnożnych wyziewów, stracił czujność.

- Wartownik nigdy nie patrzy pod nogi, dziecko, nigdy!

Coś pięknego. Sklep przybiera nagle postać Wielkiego Kanionu, ze Stożilem stojącym na straży całego świata.

- Ani jednego nie przepuściłem! I dobrze się stało, bo gdybym przepuścił choć jednego, twoje kasy łykałyby teraz rubelki. I to bez wydawania reszty.

Słowo daję, widziany z profilu, Stożil wygląda teraz niczym prawdziwy orzeł. Może nie pierwszej świetności. ale to jednak coś w porównaniu z żółtodziobym gliniarzem, który nas

pożera oczami!

- Więc sam rozumiesz, kiedy mi się daje do pilnowania taką bombonierkę, potrafię jeszcze wyłowić w niej osiem karaluchów.

- Siedem - tłumaczy się Mokre Usta - jest nas tylko siedmiu.

- Ośmiu. Ósmy wszedł pięć minut temu, a żaden z was go nie zauważył.

- Ktoś wszedł do Sklepu?

- Na piątym piętrze, drzwiami od korytarza stołówki. Zamek tam jest zepsuty. Napisałem już trzy raporty.

Mokre Usta nie czeka na ciąg dalszy, tylko rzuca się do mikrofonu i wiadomość eksploduje w ciszy Wielkiego Kanionu. Po czym bezceremonialnie się ulatnia i pędzi w kierunku rzeczonych drzwi. Sześciu pozostałych gliniarzy wyskakuje zza kontuarów i robi to samo. Podziwiamy scenę przez kilka sekund, po czym, obejmując mnie ramieniem, Stożil prowadzi mnie z powrotem ku szachownicy.

- Trzeba wyjść z figurami i pilnować środka, Ben, inaczej zawsze cię zdławię. Popatrz, nawet nie ruszyłeś z miejsca swojego czarnego konia ani białego laufra.

- Jeżeli wyjdę za szybko, zmusisz mnie do wymiany i w końcu dasz mi radę samymi pionkami, po serbsku.

- Powinieneś się też nauczyć grać pionkami, w końcu to one przesądzą o wyniku.

W tym momencie wykładu o strategii otwierają się drzwi kabiny i wkracza Juliusz we własnej osobie, Juliusz cały w podskokach, rozbawiony, uradowany ze spotkania ze swym panem, jak co wtorek o tej samej nocnej godzinie. Nigdy nie odmówiłem mu tej przyjemności. Radość ze spotkania trwa, kiedy nagle drzwi otwierają się jeszcze raz:

- Panie dozorco, nie miałby pan...

Gliniarz, który na widok Juliusza przerywa, to kolos, ma potężną klatę i czuprynę, która wyrasta tuż nad bardzo gęstymi, bardzo czarnymi brwiami: czysty produkt rodem z rysunków Mack Sennetta.

- Na miłość boską, co ten kundel tu robi?

- To mój pies - mówię.

Ale przedstawiciel Prawa nie pozwala nam zbyt długo cieszyć się, że go zaskoczyliśmy. Jego metoda polega raczej na zastraszeniu - przewraca oczami i zgrzyta zębami.

- Co się tu dzieje, psiamać: strażnicy ucinają sobie partyjkę i każdy jeden może się włączyć z jakimś kundlem?

Improwizuję mowę wyjaśniającą, która ma być obroną honoru szlachetnej gry, jaką są szachy, oraz naszych starych przyzwyczajęń, ale on ucina jak nożem:

- Czego pan tu szuka?

Oświadczam, że zostałem upoważniony przez Mokre Usta.

- Zmywaj się pan.

No tak. Po prostu autorytet. A ponieważ i tak mieliśmy to zrobić, Juliusz i ja zwijamy żagle. Szczęśliwożny powrót w kierunku Pere-Lachaise.

- Którędy wychodzicie?

Komunikuję: przez felerne drzwi na korytarz.

- A gównu! Służbowymi, jak wszyscy!

Zmiana namiarów. Schodzimy z Juliuszem schodami ruchomymi, które w trymiga

wypluwają nas w dziale zabawek. Za moimi plecami słyszę wrzask naszego humanisty:

- Pasquier! Odprowadzić tego wesołka i jego śmierdziela! I jeszcze:

- Ten kundel cuchnie!

Pasquier, który już mi depcze po piętach, mówi konspiracyjnym szeptem:

- Naprawdę mi przykro...

Rozpoznaję dziecienny głosik Mokrych Ust.

- Rozumiem, stary, zależność służbowa.

Przedemną Juliusz zsuwa się ostrożnie po stopniach ruchomych schodów, nienawykły do ich wysokości. Gruby tyłek kołysze się w tym tunelu. Niejeden pastuch by się rozmarzył. Gdy, zachwycony, znajduje się z powrotem na płaskim terenie parteru, odwraca się i, podskakując na czterech łapach, wykonuje na moją intencję swój mały taniec radości. To prawda, że cuchnie. Będę go musiał wykapać.

To wydarza się w chwili, kiedy docieramy do działu zabawek. I pozostanie, jak na razie, najgorszym wspomnieniem mojego życia. Pies, który już powrócił do swego senatorskiego kroku, nagle nieruchomieje. Mokra Usta i ja mało nie łamiemy karku. Uderzony przez nas Juliusz słania się i przewraca na bok, sztywny, jakby był z drewna. Oczy ma wywrócone. Z czarnych warg, pod kurczonych w apokaliptycznym grymasie, cieknie ślina. Język uwiązał mu w gardle tak głęboko, że jakiegokolwiek oddychanie jest niemożliwe. Mój biedny Juliusz puchnie tak, jakby miał zaraz, pęknąć. Niczym koński trup po bitwie. Rzucam się do niego, wkładam rękę w rozdziawioną mordę i ciągnę za ten jęzor, jakbym chciał go wyrwać. Ustępuje nareszcie, odwija się z trzaskiem i nagle oczy mojego psa wracają na swoje miejsce. Ale ich wyraz jest taki, że odskakuję w tył. Wtedy właśnie zaczyna wyć wyciem odległej syreny, które się wzmacnia, a narastając wypełnia całą przestrzeń Sklepu trwogą, że umarłego by zbudziło. Cała trwoga świata w jednym, nieskończonym wyciu oszalałego psa.

- Uczście go, na Boga!

Teraz z kolei coś jest nie w porządku z Mokrymi Ustami. Nie od razu rozumiem, o co chodzi, kiedy odpina guzik marynarki, odczepia pasek kabury, chwytając za broń i mierzy prosto w głowę mojego psa.

Moja stopa podrywa się sama, uderza gliniarza w nadgarstek i nagan ląduje gdzieś w otchłani Sklepu. Tamten stoi z wyciągniętą w powietrzu ręką, jakby go jeszcze nadal trzymał w dłoni. Dłoni, która wreszcie bezwładnie opada. Korzystam z tego i porywam w ramiona mojego psa.

Jest lekki!

Lekki, jakby był pusty!

Ale dalej wyje z tym oszalałym spojrzeniem i grymasem, jakby chciał zeżreć cały świat.

- Epileptyk, na dodatek!

Tuż obok mnie głos niegodziwca, który właśnie zbiegł ze schodów i świetnie się bawi.

Następnego dnia Dom Towarowy zapełnia się jak gdyby szybciej. Mimo że gliny urzędujące przy wszystkich wejściach skrupulatnie wykonują swoją pracę. Wszystkie torby zostają sprawdzone, wszystkie głębsze kieszenie, wszystkie podejrzane wypukłości. Odbywa się nawet obmacywanie co poniektórych, pierś, krok, obrót w tył, plecy, tylna kieszeń, z powrotem przodem i wreszcie:

- Proszę przechodzić.

Wygląda na to, że klientom to się podoba. Lekkie pozory niebezpieczeństwa przydają uroku konsumpcyjnemu amokowi. A poza tym warto zobaczyć, jak może wyglądać sklep, w którym wybuchają bomby. Dział swetrów zostaje zdobyty szturmem. Próżno jednak ludzie omiatają wszystko spojrzeniami, nigdzie nic, ani śladu krwi, ani kępkę włosów między motkami wełny. Nic nie zaszło. Zupełnie nic. Ci sami co zawsze klienci, złapani na lep tej samej co zawsze słodkawej aranżacji Deszczowej piosenki, snują się po tych samych co zawsze działach. Potem cztery nutki, które przypominają mi Westminster mojego dzieciństwa, i obłok panny Hamilton:

- Pan Malaussene jest proszony do działu reklamacji.

Zaczyna się mój dzień.

Tę dziewczynę o kojącym głosie spotkałem na samym początku mojej sławetnej kariery. W kawiarni dla personelu. Nieduża, okrągła, różowa. Jedyne, co sobie umiałem wyobrazić, to jej pośladki jak u lalki. W dodatku jak lalka wprawiała powieki w ruch wahadłowy tak, że oczy przymykały się za każdym razem, kiedy odchyłała do tyłu swoją śliczną główkę. Pociągała przez słomkę jakieś różowe mleko, zapewne sekretną przyczynę tej przezroczyściej jak różany płatek cery. Wszystko między nami zaczynało się dobrze. Nie powinno było tak znowu źle się skończyć. Niestety zapytała, jak się nazywam.

- Beniamin - odpowiedziałem.

- To ładne imię.

Może to i dziwne, ale miała taki sam głos przez mikrofon: eteryczny niczym mgielka, i, gdy się człowiek nad tym zastanowił, taką samą jak głos cerę. Uśmiechnęła się ładnie:

— A na nazwisko?

Lecyfre, który przechodził obok, rzucił w nasz stoliczek moim nazwiskiem: Malaussene.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy:

- A! To pan?

Tak, już wtedy to byłem ja.

- Przepraszam, muszę wracać do mikrofonu.

Nawet swojego mleczka nie skończyła.

Już wtedy ten zapach kozła...

W wieżyczce Lehmana będzie właśnie mowa o sprawach zawodowych. Oczekuje mnie Sinclair we własnej osobie. Siedzi za biurkiem mojego bezpośredniego przełożonego, który stoi obok: pięty pod kątem prostym, tors wyprężony, ręce założone na plecy, szczerze spojrzenie. Żadnego klienta. Dla mnie nie ma krzesła. Niegościnnie. I łagodne spojrzenie

Sinclaira, szefa nas wszystkich.

- Panie Malaussene, przypadek zrządził, że u wspólnych przyjaciół spotkałem komisarza Coudrier, i wie pan, czego się dowiedziałem?

Zauważam "przypadek", "wspólnych przyjaciół", myślę: kłamiesz, po prostu do ciebie dzwonił, i mówię:

- O, do licha, nie dostałem zaproszenia.

- A jednak był pan ośrodkiem naszego zainteresowania, panie Malaussene.

- A! To teraz wszystko jasne - powiadam.

- Co mianowicie?

- Mój sen dziś w nocy. Odbijało mi się luksusowym szampanem.

- Dziś w nocy nic się panu nie śniło, panie Malaussene, pan zakłócał prawidłowe funkcjonowanie instytucji, uniemożliwiając policji i strażnikowi nocnemu wykonywanie obowiązków.

(Wiadomości rozchodzą się jak zapachy.)

Lehmann marszczy brwi. Sinclair przybiera wygląd szczerze zmartwionego.

- Pańska sytuacja nie jest dobra, panie Malaussene. (Jest jednak lepsza niż sytuacja psa. Dyżurujący w nocy weterynarz złamał trzy igły, zanim mu się udało go ukłuć. Podobno pies epileptyk to się zdarza, i dziś wieczorem ma być lepiej. Rano w dalszym ciągu pokazywał język całemu światu, chcąc go pożreć oczami. Dalej tak samo sztywny. Dalej tak samo martwy.)

- Co panu przyszło do głowy, żeby opowiadać policji historię o Koźle Ofiarnym?

Masz ci los. To w tej sprawie telefonował Coudrier.

- Odpowiadałem jedynie na pytania. Biurko przed Sinclairem jest absolutnie gładkie. Wierzchem małego palca ściera z niego istniejący kurz.

- A przecież umawialiśmy się co do ceny za pańską dyskrecję, panie Malaussene.

Ten styl mnie wkurza. Mówię mu to. Mówię także, że warunki uległy szczególnej zmianie. W Sklepie pełno bomb. Policja szuka winowajcy. Każdy powód niezadowolenia pracowników jest brany pod lupę. A kto ma najgorszą prasę? Ja. Bo jestem opierniczany od rana do wieczora. Nie wydaje mi się więc takie straszne, że wyjaśniłem swoją sytuację naczelnemu gliniarzowi, by sobie nie pomyślał, że spędzam nocę na zaminowywaniu interesu, szukając zemsty za to, co jestem zmuszony ścierpieć w ciągu dnia. (Mówię "co jestem zmuszony ścierpieć", styl Sinclaira.)

- A jednak taki właśnie pomysł zaszczerpił mu pan w głowie, panie Malaussene.

Żadnej satysfakcji w głosie Sinclaira. Wygląda na szczerze zmartwionego. Wyjaśnia:

- Nawet nie musiałem zaprzeczać, komisarz Coudrier nie uwierzył w ani jedno słowo z tego, co mu pan naopowiadał. Jakżeby miał uwierzyć? Funkcja kontrolera technicznego istnieje we wszystkich podobnych do naszego przedsiębiorstwach. I, biorąc pod uwagę jej charakter, jest rzeczą całkowicie normalną, że przekazuje mu się reklamacje klienteli.

Słucham go i wydaje mi się, że śnię. Ta funkcja u nas jest kompletnie dęta, on o tym wie i ja mu mówię, że wie.

- Oczywiście, panie Malaussene! Zważywszy na ilość artykułów, które opuszczają dom towarowy w ciągu jednego dnia, jak to możliwe, żeby kontroler techniczny cokolwiek skontrolował? Nawet jeśli zwiększy się liczbę kontrolerów, co czynią w większości takich wielkich domów, procent reklamacji nie ulega żadnej zmianie. Wydawało mi się więc, że

będzie bardziej opłacalne, gdy nadamy tej funkcji charakter, jakby tu powiedzieć, public relations, z której to roli, muszę przyznać, wywiązuje się pan bardzo dobrze, a ma ona tę podwójną zaletę, że pozwala ograniczyć liczbę miejsc pracy i załatwić większość spraw polubownie.

Rzeczywiście ma taką swoją wielką teorię. Przedstawił mi ją od wszystkich stron w dniu, w którym przyjmował mnie do pracy. Czemuż poszedłem na ten układ? Dla śmiechu? (bardzo śmieszne...) Ponieważ moja matka stale nawiewa z domu, a opiekunowi licznej rodziny nie przystoi bezrobocie? (ciepło, ciepło...) Tajemnica mojej głębokiej natury? (no...) W każdym razie zgodziłem się załatwiać kozłem, a ten zapach drażni.

Sinclair musi widocznie czytać w moich myślach, gdyż właśnie na tym etapie mego milczenia zadaje mi zagadkę:

- Panie Malaussene, czy pan wie, co Clemenceau mawiał o swoim szefie gabinetu? (Mam to gdzieś.)

- Mawiał: "Kiedy ja puszczam baka, on śmierdzi."

Brzuch Lehmana podskakuje konwulsyjnie. A Sinclair dodaje:

- Jest mnóstwo wspaniałych ludzi, którzy są szefami gabinetu, panie Malaussene, ludzie wręcz się o to zabijają!

No, nie podejmuję się opisać Sinclaira. Jest przystojny, pełen finezji. Łagodny, udał się Panu Bogu, rzecz można filozof w nowym stylu, romantyk w nowym stylu, płyn po goleniu w nowym stylu, jest w nowym stylu, a jednak lekko zabarwiony tradycją. Nudzi mnie.

- Niech pan nie robi z siebie paranoika w oczach policji, panie Malaussene. Proszę sobie wyobrazić, że weryfikują tę historię o kozle ofiarnym, rozpytując wśród pańskich kolegów. Co też odkryje komisarz Coudrier? Kontrolera technicznego, który nie kontroluje, wniosek z tego, nie wykonuje swojej pracy. A więc jest nieustannie wzywany do działu reklamacji. Oto konkluzje, do jakich doszedłby niezawodnie komisarz Coudrier. A to już byłby szczyt, przyzna pan? Bo pan przecież swoją pracę wykonuje bardzo dobrze.

W tym miejscu (zastrzegam sobie oryginalność wyrażenia) mnie zatyka. Dzięki czemu Sinclair może mówić dalej.

- Miałem niesłychane trudności z przekonaniem komisarza Coudrier, że pan żartował. A oto moja rada, Malaussene, nie igrzajcie z ogniem.

Odnotowuję pominięcie formy "panie", a potem, nie wiedząc czemu, myślę o Malcu i o jego gwiazdkowych potworach, o ponownej samotności Luny, o biegu-ucieczce mojej matki, o moim nagle zeszywniałym psie, ogarnia mnie chandra, cierpię, coś się dzieje z moim sercem, i odpowiadam:

- Już z niczym nie będę u pana igrał, Sinclair, zwijam manatki. Pochyla głowę ze smutkiem.

- Policja i o tym pomyślała, niech pan sobie wyobrazi. Aż do zakończenia śledztwa żadne przesunięcia personelu nie są możliwe, ani zwalnianie, ani zatrudnianie. Przykro mi. Z chęcią przyjąłbym pańską dymisję.

- Będzie panu jeszcze bardziej przykro, kiedy nasikam w gacie na oczach całej klienteli, kiedy będę się tarzał po ziemi z pianą na ustach i kiedy skoczę do gardła tej obwieszonej medalami kukle, żeby jej osobiście wyrwać zębami migdałki.

Sinclair odruchowo powstrzymuje Lehmana, któremu odeszła ochota do śmiechu.

- To byłby niezły pomysł, Malaussene. Ostatnimi czasy w Sklepie naprawdę przydałby się winowajca. Jeśli pan życzy sobie wystąpić w roli oszalałego podkładacza dynamitu, proszę się nie krępować.

Rozmowa jest skończona. Doskonały ten Sinclair. Młody, skuteczny, stary jak świat. Wychodzę przed nim. Z ręką na klamce odwracam się, żeby zadać moją własną zagadkę:

- Niech mi pan powie, Sinclair, w którym tomie Przygód Tintina jedna z postaci wychodzi z pokoju, oświadczając a propos innej: "Drogo mi za to zapłaci ten stary zgred"?

Sinclair odpowiada z pięknym dziecięcym uśmiechem:

- Profesor Miller w *Krainie czarnego złota*.

Oduczę go ja tego uśmiechu.

W domu zastaję Klarę u wezłowia Juliusza. Urządziła sobie wagary, żeby przy nim czuwać cały dzień.

- Będziesz musiał napisać mi usprawiedliwienie.

Juliusz jest wielkości własnej, leży na boku, łapy wyprostowane, sztywny jak kij. Ale serce bije, odgłos echa w pustej klatce. Przeszczep z Edgara Poe.

- Dałaś mu pić?

- Wszystko zwraca.

Głaszczę mojego psa. Sierść jest szorstka. Jakby przeszedł przez ręce jakiegoś oszalałego wypychacza zwierząt.

- Ben?

Klara bierze mnie za rękę, obraca mną delikatnie wokół osi i kładzie głowę na mojej piersi.

- Ben, w południe Teresa przyszła go zobaczyć. Dostała istnego ataku nerwowego. Tarzała się po ziemi i krzyczała, że pies ma w oczach piekło. Musiałam wezwać Laurentego. Zrobił jej zastrzyk. Jest teraz na dole. Odpoczywa.

Moja Klara... ładny program, jak na wagary...

- A malcy go widzieli?

Nie. Kazała dzieciom zjeść w stołówce i tam odrabiać lekcje.

Przytula się do mnie trochę mocniej. Odsuwam delikatnie włosy z jej ucha, czując przez dłuższą chwilę ich ciepło na dłoni, Pytam:

- A ty, przestraszyłaś się?

- Tak, z początku. Więc pstryknęłam zdjęcie.

Moja kochana, czujna Klara, z migawki zrobiła lekarstwo na znieczulenie przestרחu. Trzymam ją teraz na odległość wyciągniętych ramion. Nigdy nie widziałem równie spokojnego spojrzenia.

- Kiedyś zaczniesz sprzedawać te swoje zdjęcia i wtedy ty będziesz mogła zacząć się troszczyć o wspólną miskę.

Teraz ona patrzy na mnie naprawdę uważnie.

- Ben, jeżeli masz dosyć tej swojej pracy, to nie myśl, że musisz tam siedzieć.

(Boże mój, kobiety...)

Na dole Teresa leży na plecach ze wzrokiem utkwionym w suficie. Siadam u wezłowia. Zawsze miałem trudności z pogłaskaniem Teresy. Od najmniejszej pieszczoty podskakiwała jak rażona prądem. Więc zaczynam ostrożnie. Składam pocałunek na jej lodowatym czole i mówię głosem najłagodniejszym, na jaki mnie stać:

- Nie wymyślaj nie wiadomo co, Teresa, epilepsja jest chorobą częstą, niegroźną i dopada różnych porządnych ludzi, weź Dostojewskiego...

W ogóle nic. Dalej zaciska dłoń na pośliskłym od zaschniętego potu prześcieradle. Odrywam ją, całuję jeden po drugim rozluźniające się palce i, z braku lepszego tematu, kontynuuję:

- Książę Myszkina, człowiek nadzwyczajnej dobroci, epileptyk! Podobno w chwili ataku doznaje się uczucia niezwykłego ukojenia. Juliusz pies, też wyjątkowo dobry, Tereso, no i lubi rozkosze żywota...

Mówić jej o rozkoszach nie jest może zbyt stosowne, ale w każdym razie odnosi skutek. Jej głowa opada wreszcie na moją stronę:

- Ben?

- Tak, moje śliczności?

- Tych dwoje ze Sklepu, co zginęli...

(O, cholera...)

- Musieli tak zginąć, Ben.

(O rety.)

- Bliźniaki urodzone dwudziestego piątego kwietnia osiemnastego roku. Tak było w gazecie.

- Teresa...

- Posłuchaj, nawet jeżeli mi nie wierzysz. Tego dnia Saturn był w koniunkcji z Neptunem i obie planety znalazły się w kwadraturze ze Słońcem.

- Teresa, mój aniele, nie chodzi o to, że ci nie wierzę, ale się na tym nie znam, błagam cię, mam za sobą ciężki dzień pracy.

Nie ma rady.

- Ta koniunkcja wskazuje na dusze z gruntu złe, skłonne do sprzecznych z prawem, podejrzanych praktyk. ("Sprzeczne z prawem, podejrzane praktyki" to nie styl Sinclaira, tym razem to styl Teresy.)

- Tak, Teresa, tak...

- Wpływ Słońca oznacza uleganie jednostki siłom zła.

Na szczęście nie ma Jeremiasza!

- A obecność Słońca w ósmym domu wskazuje na nagłą śmierć.

Siedzi teraz na krawędzi łóżka. Jej ton jest całkowicie pozbawiony egzaltacji. Pełen erudycji spokój, jak wykład w College de France.

- Teresa, muszę iść po zakupy.

- Już kończę: śmierć przychodzi, kiedy niszczycielski Uran dostaje się pod wpływ Słońca.

- No i co z tego? (Wymknęło mi się jeremiaszowym tonem.)

- No więc właśnie taka była sytuacja drugiego lutego, w dniu kiedy zginęli od bomby w Sklepie.

C.B.D.O. No tak, już się zupełnie dobrze czuje. Atak nerwowy? Nigdy w życiu. Wstaje, robi porządek w byłym składzie, którego nikt nie sprzątał od rana. W chwili, kiedy zabiera się do łóżek maluchów, nachodzi mnie nagła myśl.

- Teresa?

- Tak, Beniaminie?

Pod jej dłońmi jaśki nabierają z powrotem miłego kształtu, który nęci do snu.

- Lepiej, żeby dzieci nie dowiedziały się o Juliuszu. Wygląda zbyt okropnie. Więc niech będzie, że go auto potrafiło, kiedy szedł po mnie wieczorem, i został odwieziony do kliniki dla psów. "Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo." Dobrze?

- Dobrze.
- I ty też więcej nie chodź na górę.
- Dobrze, Ben, dobrze.

Kiedy łączę po Belleville, niezależnie od pory dnia zawsze mam wrażenie, że zabłądziłem do któregoś z albumów Klary. Sfotografowała tę cholerną dzielnicę pod wszystkimi możliwymi kątami. Stare fasady, stosy daktyli i papryki, młodocianych dealerów - uwieczniła wszystko. To tak, jakbym już przechadzał się wśród wspomnień. (Ile opuszczonych lekcji może oznaczać taki wyczyn?) Nawet nagrała głos muezzina naprzeciwko knajpki Amara. Dziś wieczór, podczas kiedy rzeczony muezzin snuje surę długą jak calutki Nil, pod drzwiami restauracji banda Arabów i Senegalczyków gra zaciekle. Gości postukują, uniesione w garści na wysokość głowy, a potem skaczą po odwróconym dnem kartonowym pudle. Atmosfera zdaje mi się nieco bardziej napięta niż zwykle. I rzeczywiście, ledwo zdążyłem to sobie uświadomić, a już z wyciągniętej pięści wytryska ostrze, podczas gdy druga ręka zgarnia stawkę. Nóż drży, przyłożony do brzucha postawnego Murzyna, który robi się szary jak na książkowym obrazku. Ale Hadusz (żuł niedbale kawałek lukrecji, opierając się o ścianę restauracji), Hadusz jednym susem jest już przy nich. Kant jego dłoni spada na nadgarstek Araba, który wyjąc puszcza nóż. Jeżeli nie złamał mu kości, to znaczy, że była ze stali. Hadusz zanurza rękę w kieszeni Araba i wyciąga stamtąd przedmiot sporu, monetę pięciofrankową, którą podaje Senegalczykowi. Ponieważ podszedłem bliżej, mówi do mnie:

- Pomyśl tylko, Ben, obrabiać wielkiego Murzyna dla jednego kieliszka wódki, to już szczyt!

I odwracając się do człowieka z nożem:

- Wracasz jutro do kraju.
- Nie, Hadusz!

Prawdziwy okrzyk rozpacz. Bardziej gwałtowny niż ból nadgarstka.

- Jutro. Spakuj rzeczy.

Kiedy już odpowiedziałem na pytania Amara dotyczące wszystkich w domu aż do siódmego pokolenia i takimiz się odwzajemniłem, opuszczam restaurację, unosząc w torbie pięć porcji kuskusu i pięć szaszłyków.

- Jaka jest ta klinika?

Malcy, czyściutcy, jakby się dopiero urodzili, w świeżutkich pizamach, ruszyli do ataku w sprawie szczegółów. A starsze dzieciaki, w pachnących koszulach, słuchają mnie tak, jakby i one chciały uwierzyć w tę historię z kliniką.

- Świetna. Właśnie taka jak trzeba dla luksusowego psa. Telewizja w każdym pokoju, z programem dobranym według upodobań.

- Co ty...
- Przysięgam.
- A Juliusz jaki ma program?
- Texa Avery.

Jeremiasz aż spada z łóżka.

- Pójdziemy do niego jutro, co?

- Niemożliwe. Dzieciakom wstęp wzbroniony.

- Dlaczego?

- Mogłyby czymś pozarażać psy.

No i wieczór mija. Wracamy oczywiście do krwawego odcinkowca o Sklepie, w którym spółkują radośnie fikcja i rzeczywistość. Po stronie fikcji Dżib Hiena i Pat Bako prowadzą śledztwo w podziemiach Paryża (ukłony, mój stary Eugeniuszu Sue), na wypadek gdyby miały wyjście gdzieś w środku Sklepu (ukłony, Gastonie Leroux). Po drodze spotykają pytona, neurastenika, którego natychmiast przygarniają, chcąc jakoś wypełnić swoją człowieczo-urbanistyczną samotność (ukłony, Ajar). W tym miejscu zamysłony głos Jeremiasza:

- Słuchaj, Ben, ze Stożila rzeczywiście jest taki łebski strażnik?

- Jasne, że tak.

- Więc nie można wnieść bomby do tej budy ani w dzień, ani w nocy, prawda?

- Wydaje mi się, że trudno.

- Nawet od podziemi?

- Nawet.

Klara wstała, żeby położyć Malca, który usnął siedząc wyprostowany na swoim grubym pupsku, w okularach na nosie. Teresa stenografuje jak na posiedzeniu parlamentu.

- Ja to bym wiedział, jak się do tego zabrać - mówi Jeremiasz.

- A jak?

- Zobaczysz.

Lekki niepokój...

W nocy wstawałem pięć albo sześć razy, żeby posłuchać, czy Juliusz oddycha. Oddycha, jeśli to można nazwać oddechem. Mam raczej wrażenie, że powietrze dostaje się do jego środka i wydostaje odruchowo, bez udziału woli. Oddech sam za niego oddycha. Że już nie wspomnę o zapachu, który wydobywa się z jego mordy, rozdziawionej jak u zahipnotyzowanego straszdyła.

Znaczy, że żyje!

W ramach walki z rozpaczą wpadło mi do głowy kilka draczych pomysłów. Pomyślałem, na przykład, że mógłbym skorzystać z okazji i porządnie go wykąpać bez obawy, że się wyrwie, roznosząc po całym domu kłębuszki piany. To mnie wcale nie rozbawiło. Postarałem się więc ponownie usnąć. Chyba mi się udało, skoro obudziłem się rano. W pieskim humorze, chociaż był to mój wolny od pracy dzień.

Natychmiast zadzwoniłem do Luni.

- To ty, Ben?

- Ja. Poproś Laurentego.

Łkanie po drugiej stronie słuchawki. Jej Laurenty nie wrócił na noc.

- Och! On już nie wróci, Ben, czuję, że już nic wróci!

Histeria. Wiem dobrze, że jeżeli Laurenty nie jest przy niej, to jest w szpitalu. Nie ma co tracić głowy. Nigdy nie potrafił jej opuścić dla nikogo, chyba że dla swoich chorych.

- Daj mi numer szpitala.

- Och, Ben, proszę cię, bądź dla niego miły, on jest taki nieszczęśliwy!

- Ależ ja jestem *miły*. Zawsze byłem *miły*! Dla kogo nie byłem miły, do jasnej cholery?

Po drugiej stronie słuchawki ten sam wątek. Jak tylko połączyli mnie ze szpitalem, doktor Laurenty Bourdin (wyłączna namiętność mojej siostrzyczki od lat siedmiu) zaczyna obszerny wywód na temat swoich obaw w kwestii ojcostwa.

- Czekałem na twój telefon, Ben, wiedziałem, że zadzwonisz, ale wybacz, to nic nie zmieni, nie powinna była wywinąć mi takiego numeru, żeby tak po cichu pozbyć się sprężynki, nigdy nie chciałem dziecka i nie będę chciał, ona wiedziała, a nawet gdybym chciał, to wydaje mi się, wolałbym ją, samą, na całe życie, rozumiesz, co chcę powiedzieć, a poza tym, żeby robić dzieci, trzeba lubić siebie samego, a ja siebie nie lubię, nigdy nie mogłem siebie ścierpieć, pewnie dlatego jestem lekarzem. Ben, zrozum mnie, niech mnie kocha, ale niech mnie nie powieła, rozumiesz to, prawda? Słuchaj, Ben, w każdym razie nie myśl, że chciałem obrazić waszą rodzinę...

(“Obrazić Rodzinę”, rany boskie, przemawia do mnie, jakbym był Ojcem Chrzestnym!)

- ... ale czy ona zdecyduje się na zabieg, czy nie, teraz między nami już i tak wszystko skończone...

Czekam, aż się zadyszy, żeby mu zadać pytanie:

- Laurenty, ile może potrwać atak epilepsji?

Siedzący w nim profesjonalista natychmiast łapie wiatr w żagle.

- Myślisz o Juliuszu? Kilka godzin...

- To już cały dzień i dwie noce.

Milczenie. To startuje maszynka do diagnozowania.

- Może być teżec. Robiliście przy nim jakiś hałas?

- Nie, poza atakiem Teresy żadnych hałasów.

- Idź, trzaśnij drzwiami od pokoju, jeżeli to teżec, podskoczy do sufitu.

(Oględne postępowanie rozpoznawcze.) Trzaskam drzwiami. Nic. Juliusz leży jak kłoda.

- No to nie wiem - konkluduje doktor Bourdin.

(“Nie wiem”... uczciwy lekarz.)

- Laurenty, ile czasu organizm wytrzyma bez jedzenia i picia?

- To zależy od choroby, ale tak czy inaczej po kilku dniach mnóstwo tkanek jest poważnie uszkodzonych.

Teraz ja z kolei się zastanawiam. To, co mam do powiedzenia, jest tak proste jak rozpacz.

- Chcę, żebyś uratował psa.

- Zrobię wszystko, co się da, Ben.

Szykuję sobie kawę. Po wypiciu wyobrażam sobie, że fusy ściekają po wewnętrznych ściankach mojej czaszki i z meandrów tej brunatnej cieczy staram się odczytać los Juliusza. Ale ja to nie Teresa, gwiazdy to nie mój rewir, a te fusy mogą posłużyć co najwyżej jako pożywka dla czarnego geranium mojego przygnębienia. Które to przygnębienie przypomina mi ponownie o promiennym uśmiechu Sinclaire'a i mojej obietnicy, że go odczę tej jego białozębnej pewności siebie.

Tak. W tej sprawie trzeba coś zrobić. Pod tym względem jestem podobny do Juliusza: z wielu miejsc w życiu byłem wypędzany, ale nikt nigdy mnie nie zmusił do zostania tam, gdzie być nie chciałem. A więc zająć się Sinclairem. Zmusić go, żeby mnie wyrzucił ze Sklepu! Właśnie tak, zmusić go, żeby mnie przepędził. (Oto ktoś, dla kogo nie będę “miły”.) To mi pozwoli nie myśleć o innych sprawach. Załazek pomysłu zaczyna we mnie kiełkować w chwili, kiedy wsuwam nogę w pierwszą nogawkę, i w ciągu sekundy przybiera jasny kształt. A gdy zapinam koszulę, jest to już nieledwie pomysł stulecia. Kiedy zaś dochodzę do momentu sznurowania, radość moja staje się pełna, że buty same by chętnie ruszyły beze mnie, by zrealizować ten genialny projekt. Niczym wir z reklamy proszku do prania zbiegam po kręconych schodach, przelatuję jak trąba powietrzna przez pokój malców, skąd pożyczam kilka zrobionych przez Klarę zdjęć, wychodzę i daję nura w metro. Jest luty, zimowy jak tylko się da, klientela jak tylko to możliwe ponura. Chomeini wysłała noworodki do kostuchy. Armia Czerwona broni afgańskich braci aż do ostatniego, w Polsce nowy pogrom, Pinochet morduje (pinocherduje), Reagan amortyzuje, prawica mówi, że to lewica, lewica mówi, że to kryzys, pewien pijaczyna mówi, że to wszystko gówno, służąc dowodami, Karolina nie chce się przyznać, że jest w ciąży, sekretarz generalny partii komunistycznej dmucha w balon publicznej opinii, a wychodzi mu alkoholopinia, ale ja, ja. Król Ubu, “żywa twierdza”, bawię się tak, że nawet nie zauważam stacji, które mnie dzielą od “Actuel” - “Na Czasie” - pisma na nasz czas.

Pomimo to, gdy stoję pod drzwiami redakcji, moja gorączka twórcza spada do zera. Albowiem nie znam niestety nazwiska ciotki Julii. Jeżeli zacznę ją opisywać, może się zdarzyć,

że mały stanie całemu zespołowi. "Nieśmiały ze mnie gość", myślę, obchodząc budynek dookoła i szukając przy krawężniku pewnego przedmiotu, który, jak sędzę, rozpoznam z miejsca. Rozpoznaję. Żółtocytrynowa blaszanka ciotki Julii stoi na parkingu zastrzeżonym dla samochodów dostawczych, z dwoma zaproszeniami na policję przyklejonymi do przedniej stylowo-epokowej szyby. Jeden dostawca, arabożerca, zupełnie małego wzrostu, grozi, że wezwie gliny. Podsuwam mu myśl, żeby raczej zadzwonił do złotych młodzieńców z "Actuel" i, puszczając obłeśnie oko, daję mu do zrozumienia, że nie pożałuje, jak zobaczy nadwozie właścicielki (sic!). Po czym otwieram drzwi, wsiadam, czekam. Niedługo. W następnej minucie nadciąga ciocia Julia. Pomimo zimna moje ciało całe pulsuje. Nieduży dostawca, który już zaczął otwierać jadalnię, łapie się swoich skrzynek, a przekleństwa zamarzają mu w gardle. Ciotka Julia z impetem siada za kierownicą i nawet nie patrząc w moją stronę, mówi:

- Spadaj.

- Dopiero co przyszedłem.

Rusza wściekle, oświadczając, że niewąski ze mnie łajdak, że gliniarze złożyli jej wizytę w gazecie, że zadali jej kilka idiotycznych pytań na temat zamachu i ciekawi byli, czy jej nie wstyd zwijać sweterki w kraju, który liczy dwa miliony bezrobotnych, podczas gdy ona sama ma gdzie pracować i siedzi na pewno na złocie aż po jaja ("że się tak wyrażę", dodał podobno inspektor.) Wszyscy jej koledzy byli purpurowi ze śmiechu, a ona z furią i zdeterminowana, żeby na za pomocą gilotyny do krojenia papieru obciąć moje.

Nagle, na samym środku bulwaru Makaroniarzy przystaje wśród orkiestry klaksonów i odwraca się do mnie:

- Słowo daję, Malaussene (ona bowiem zna moje nazwisko), co z ciebie za facet? Ratujesz mnie, gdy wpadam w ręce sklepowego kapusia, każesz mi lecieć na swoje piętro, po czym mnie nie przelatujesz, a wreszcie sprzedajesz mnie glinom. Co z ciebie za typ?

(Myślę o moim przyjacielu Cazeneuve, ale zachowuję to dla siebie.)

- Jestem jeszcze gorszy, ciociu Julio.

- Przestań nazywać mnie ciotką Julią i wysiadaj z mojego samochodu.

- Nie, dopóki ci nie złożę pewnej propozycji.

- Nic z tego, mam cię dość!

- Wymyśliłem dla ciebie temat.

- Jeszcze jeden szmatławiec o bombie w Sklepie? Z pięćdziesięciu facetów dziennie zwała się do redakcji, żeby nam prehandlować ten sekret. Bieriecie nas za "Paris Match" czy co?

Klaksony urywają się ze wszystkich stron. Julia naciska sprzęgło i śmiga sprzed nosa gliniarza z gębą w kolorze czerwonego wina, który, oblizując sine wargi, zapisuje numery.

- To nie ma nic wspólnego z bombami. Posłuchaj mnie przez pięć minut, a jeżeli cię to nie zainteresuje, nie usłyszysz o mnie więcej do końca swojego burzliwego życia.

- Dwie minuty!

Zgoda na dwie minuty. Nie trzeba mi więcej, żeby jej wyjaśnić, jaką rolę pełnię w Sklepie, i sprawić, żeby pojęła, jaki by z tego wyszedł piękny reportaż ze zdjęciami dla szacownego miesięcznika, w którym pracuje. W miarę jak mówię, zwalnia i wreszcie wjeżdża na szeroki pas przejścia dla pieszych, gdzie całkowicie wbrew przepisom parkujemy.

Potem obraca się powoli w moją stronę.

- Kozioł Ofiarny, co?

Jej głos znowu brzmi jak pomruk tygrysa wśród sawanny, od czego cały rozkwitam.

- To moja praca, tak.

- Ależ to nie jest praca, Maluś. (Nigdy nie znośłem, jak mnie nazywali Maluś.) To mit! Mit, który leży u podstaw całej cywilizacji! Wiesz o tym?

(Dobra nasza, teraz to coś innego, ciocia Julia się rozgrzewa.)

- Choćby w wypadku judaizmu, na przykład, i jego porządniutkiego braciszka, chrześcijaństwa. Maluś, czy ty się kiedyś zastanawiałeś, w jaki sposób Jahwe, ten Wzniosły Paranoik, sprawował rządy nad nieprzebranymi rzeszami swojego stworzenia? Wskazując palcem Kozła Ofiarnego na każdej stronie swojego cholernego Testamentu, najdroższy!

(Teraz to jestem "najdroższy". Jak myślisz, Sinclair, takie zaangażowanie, wyjdzie z tego niezły artykuł, co?)

- A katolicy? A protestanci? Co oni robili, żeby przetrwać i napchać sobie kabzę? Wystawiali Kozła, zawsze i wszędzie.

(Słowo daję, ta dziewczyna ma kosmiczną teorię na każdą najmniejszą okoliczność życiową.)

- A stalinowcy po drugiej stronie, ze swoimi procesami dla przykładu? A my, którzy myślimy, że nie trzeba w nic wierzyć, niby co robimy, żeby nie sądzić o sobie jak najgorzej? Też rozglądamy się za Kozłem u sąsiadów, Maluś (znowu Maluś), a gdyby go miało nie być u sąsiadów, stworzylibyśmy na gwałt własnego, podręcznego, żeby śmierdział zamiast nas!

Z podziwu dla jej entuzjazmu chętnie przechodzę do porządku nad faktem, że zowie mnie Malusiem. Oto prawdziwa ciocia Julia, ta sama co w wieczór, kiedyśmy się spotkali. Płomień w oku i w grzywie. Ale, biorąc pod uwagę zaszłości, powstrzymuję się. Pytam tylko:

- No więc chcesz ten reportaż czy nie?

- Czy go chcę? W najśmielszych oczekiwaniach nie mogłabym wymarzyć nic lepszego! Handel i Kozioł Ofiarny! No jasne, że chcę!

(Słyszysz, Sinclair?)

Dobra nasza, chce tego. Teraz trzeba rozegrać rzecz subtelnie. Toteż subtelnie szepczę:

- Pod jednym warunkiem.

Z miejsca się cofa.

- Temat tak, warunki nie. W przeciwnym razie pracowałabym dla "Figaro".

- Chcę wybrać sam fotografa.

- Jakiego fotografa?

- Kobietę. Tę, która zrobiła to zdjęcie.

Pokazuję zdjęcie, które Klara zrobiła nam obojgu w wieczór moich wyczynów. Na twarzy Julii widać wyraźnie pełną zdumienia wściekłość po uwadze Teresy na temat kalibru jej piersi. Jeśli o mnie chodzi, reprezentuję istotę skurczoną w stanie czystym.

Uważa zdjęcie za niezłe. Dostaje je razem z premią w postaci negatywu. Potem przychodzi kolej na fotografie z Lasku: Teo serwujący *vatapa* brazylijskim transwestytom, migotliwa nagość ciał w środku nocy oglądanych przez obłoczki pary unoszącej się nad talerzami. Radość na twarzach o wyraźnie zarysowanych szczękach, zawsze o pół szczębla doskonalsza od ukontentowania płci odmiennej.

- Jak jej się udało dorwać tych trawesów przy robocie? - pyta Julia - oni są prawie w podziemi.

- Jej obiekty darzą ją miłością. Ona jest niczym anioł.

Teraz jedziemy przez Paryż spokojnie, jakbyśmy byli w samym sercu Beauce. Julia chce, żebym jej opowiedział o wszystkim, o sobie, o Domu Towarowym, o mojej rodzinie, no i, Bóg świadkiem, opowiadam. Opowiadam jeszcze w restauracji, za którą płaci na koszt redakcji. Mówię o mojej matce i jej pogoni za wszystkim, co jest gdzieś indziej, o Teresie z jej dystansem do wszystkiego, o Malcu i jego potworach gwiazdkowych, o całkiem przyziemnym Jeremiaszu, o całym tym światku, który karmię i żywię, przyjmując na swe barki grzech pierworodny kupczącego społeczeństwa. Kiedy zaś przychodzi kolej na Lunę, która zastanawia się, czy utrzyma, czy nie owoc swojej jedynej miłości, ciocia Julia ujmuje moją rękę ciemną smukłą dłonią:

- A propos pozbycia się czy nie, chcesz ze mną gdzieś pójść dziś po południu? Mam zrobić na ten temat reportaż.

Sala konferencyjna, do której wchodzimy dzięki prasowej legitymacji cioci Julii, ma, pod względem proporcji, coś z Pałacu Elizejskiego i coś z restauracji na Dworcu Liońskim pod względem złotawobrazowej tonacji. Brzydota ponadczasowa i dewizochłonna. Tłoczno. Słysząc świeży szelest wytwornej bielizny. Przemykamy się do bocznych ławek zarezerwowanych dla prasy po obu stronach trybuny, co nadaje całości wygląd sądu przysięgłych. Zresztą właśnie odbywa się coś na kształt procesu. Procesu Tej, Która Przerzywa Ciężę. Przynajmniej sądząc z tego, co mówi ogolony łeb, który właśnie wypowiada się, stojąc za obszernym stołem nakrytym czerwonym aksamitem. Naprzeciwko niego sala słucha, obok niego inni kompetentni słuchają i ciocia Julia, która wyciągnęła mały notesik, też słucha. Ja sam zastanawiam się, gdzie już widziałem tę szeroką gębę bez jednego włoska, te spiczaste uszy, ten wzrok Mussoliniego, tę niezniszczalną sześćdziesiątkę. Jedno jest pewne - głosu nigdy nie słyszałem. Co więcej, moich bębenków nigdy nie dosięgną! równie zimnometaliczny dźwięk. Za to Julia zna i tego faceta, i ten głos. Właśnie napisała w swoim zeszytiku - pismem zadziwiająco równym jak na tak wulkaniczną istotę - "Profesor Leonard wielkości naturalnej". Sumiennie, jak uczennica, stawia myślnik, by dodać "tak samo chujowaty jak zawsze", co sprawia, że i ja zaczynam słuchać.

Jeśli dobrze rozumiem, wyżej wymieniony Leonard (profesor od czego?) okazuje się być prezesem niejakiej Ligi *prenatalnej* i *pro-młodzieżowej* na tyle znaczącej w kraju, że posiadającej pewien ciężar wyborczy. To właśnie ekscytuje Leonarda.

- W pełni świadomie i w przekonaniu, że nie chodzi tu o uprawianie polityki i że ograniczamy się jedynie do informowania społeczeństwa (czy ja tego już gdzieś nie

słyszałem?), trzeba postawić pytanie, jak my, chrześcijanie, pronataliści, Francuzi wreszcie, użyjemy naszych głosów w najbliższych wyborach.

(Aha, więc o to chodzi...)

- Czy przyczynią się one do pomnożenia szeregów tych, którzy, w pogardzie dla naszych najświętszych wartości, ZALEGALIZOWALI PRZERYWANIE CIĄŻY?

Pytanie zadane z takim ogniem w oku, że podmuch rodem z piekieł literalnie zwęgła zgromadzenie.

- Nie, nie sądzę - szepcze Leonard, który zna się na tłumie - nie sądzę...

(Słowo daję, ja też nie.) Rzucam krótkie spojrzenie ponad ramieniem cioci Julii, która znowu nic nie zapisała. Kiedy podłączam uszy ponownie, Łeb Armatnia Kula jest przy rozważaniach o imigracji, której wielkość już dawno przekroczyła dopuszczalny próg, i przy wymienianiu wszystkich problemów, jakie wiążą się z tą plagą "zarówno ze względów gospodarczych, jak i ze względu na szkolnictwo, już nie mówiąc o bezpieczeństwie w ogóle, a naszych córek w szczególności..."

Na dwoje babka wróżyła, albo ten typ nie lubi Arabów, albo nie ma zaufania do swojej córki. W obydwu przypadkach taki Hadusz połamałby mu wszystkie kości. Pozwalam sobie oderwać od niego uwagę, by swobodnie rozejrzeć się po tłumie. Same czyścioszki. Pogodzone ze swoim bogactwem dzięki wielowiekowej praktyce zawierania korzystnych małżeństw. Głównie kobiety. Mężczyźni zostali pilnować interesu. I, nie wiedzieć czemu, zaczynam myśleć o Laurentym, o Lunie, o tym, jak się spotkali. Ona miała dziewiętnaście lat i właśnie wchodziła po schodach metra, on dwadzieścia trzy, i właśnie po nich schodził. Ją dopiero co puścił kantem jakiś mięczak, który wolał abstrakcje, on właśnie szedł zdawać internę. On zobaczył ją, ona jego. Paryż znieruchomiał. On nie poszedł na egzamin i przez rok nie wystawili nosa z pokoju. Przynosiłem im koszyk z żarciem i książki (bo jednak jedli. Nawet mieli niezgorszy apetyt.) A pomiędzy tymi międzygwiazdowymi podróżami jedno drugiemu czytało, czasem nawet w trakcie (widać to nie jest nie do pogodzenia). Powiedzcie mi teraz, moje panie, który z waszych pięćdziesięciokaratowych małżonków poświęcił dla was ważny egzamin, cały jeden rok studiów, rok manka do nadrobienia, tak sobie, dla Miłości, dla Romansu, co? Który?

Rozpraszasz się, Malaussene, zarejestrowałbyś lepiej zmianę aktorów. Albowiem Leonard Łysy usiadł, by oddać głos jakiemuś innemu profesorowi (same tuzy na trybunie, jak widać), który, wstając, wprawia mnie w stan istnego szoku. Przeciwiństwo poprzednika! O ile Leonard jest zwarty, połyskliwy, zdecydowany, niebezpieczny, o tyle ten, który oznajmia, że jest profesorem Fraenklem, ginekologiem (istotnie, słyszałem już to nazwisko w tym kontekście), o tyle ten, jak mówię, jest lękliwy, zbolaty, kruchy. Sękaty kościec obleczony w gigantyczną chudość, włosy we wszystkich kierunkach, spojrzenie dziecka zadziwionego swą dorosłością, postać jakby nie wykończona i o wiele za dobra - produkt mózgowicy jakiegoś Frankensteina na haju - porzucona i bezbronna w świecie, który może jej przysporzyć jedynie kłopotów.

- Nie będę mówił o polityce - stwierdza także (ale jemu, o dziwo, wierzę) - ograniczę się do Pisma oraz tego, o czym pouczają Ojcowie Kościoła...

Wszystko to ujęte w jednym zdaniu zajmującym mu jednak dobry kwadrans, w czasie którego audytorium zasypia: "Pozwólcie, niech przyjdą do mnie dzieci, bogacze, wielbłąd i

ucho igielne, szczęśliwi ubodzy, a kto nie zgrzeszył, niech pierwszy rzuci kamieniem." Kończy zaś zdaniem wyjętym ze świętego Tomasza albo kogoś innego: *Lepiej urodzić się chorym i zdeformowanym, niż nie urodzić się wcale.*

Tu następuje incydent.

Jak napisałyby gazety.

W drugim rzędzie opatulona w ogromne futro wysoka blondynka, której nie zauważyłem, podnosi się niczym jakaś zjawia, zanurza rękę w swoją torebkę od "Hermesa", wyciąga z niej coś nieokreślonego i krwawego, czym ciska z całej siły w mówcę, i ostrym głosem wyrzaskuje, nie bawiąc się w niuanse:

- Masz tu coś zdeformowanego, kretynie!

To coś przelatuje nad głowami z chlupiącym poświstem i rozpląszcza się na piersi Fraenkla, obryzgując skisła krwią całe szacowne gremium. Fraenkhl nie jest nawet obrazem bólu, jest Bólem samym, we własnej osobie. Wtedy Leonard, ze skrzekiem i szybkością dzikiego kota, startuje razem ze swoją sześćdziesiątką ponad stołem wykładowym i z pazurami rzuca się na dziewczynę. Chwila szybowania w powietrzu, podczas której dziewczyna wskakuje na krzesło, rozchyła szeroko futro i krzyczy:

- Stój, Leonard, jestem załadowana!

Leonard zostaje zatrzymany w locie. Cała oficjalna trybuna wydaje jeden wielki okrzyk oburzenia. Dziewczyna odsloniła ciężarne ciało okazałe tak, jak tylko natalista może sobie wymarzyć. Nagie od stóp po głowę, rozkwitłe i napięte niczym jakiś boski balon do latania, płodność w całej swej planetarnej obfitości.

Ciocia Julia notuje swoim szkolnym pismem, że profesor Leonard właśnie zapoznał się z dialektyką.

Później, w samochodzie, kiedy myślę o krwawej przygodzie Fraenkla, wyrażam pogląd, że dziewczyna pomyliła cel. Powinna była rzucić te swoje cielące płucka raczej w profesora Leonarda, to on uosabia tego prawdziwego Czarnego Luda. Julia śmieje się cicho.

- Myślałam najpierw, Malaussene, że jesteś masochistą, bo przyjąłeś tę pomyłkę robotę Kozła Ofiarnego, ale nie, tak naprawdę, to jesteś swego rodzaju świętym.

Ano pewnie tak.

Święty pozwala się podwieźć pod drzwi Domu Towarowego i zaczyna krążyć po parterze. W poszukiwaniu kogoś. Kogoś dokładnie określonego. Kogo absolutnie muszę znaleźć. Pilnie. Jest siódma wieczorem. Mam nadzieję, że się jeszcze nie zabrał. Słodki Jezu, spraw, żeby jeszcze był. No, zdobądź się na gest, nigdy cię o nic nie proszę. Panie. Jest nawet całkiem prawdopodobne, że nigdy o mnie nie słyszałeś. Wysłuchaj mej prośby, do cholery! Dziękuję! Jest. Widzę go. Idzie pokręcić się koło swetrów. Ani cienia klienta w tym dziale. W dechę. Przyspieszam kroku. Spotykamy się.

- Cześć, Cazeneuve!

Posyłam mu haka w wątrobę, porządnego, impetem całego ciała. (Nauczyłem się tego z książki.) Zgina się wpół. Mam zaledwie tyle czasu, żeby uskoczyć w tył, tak że haftuje na swoje buty, nie na moje. (Ze świętym jest taki problem, że nie można nim być całą dobę na okrągło.)

Co uczyniwszy, schodzę na poziom majsterkowiczów, gdzie znajduję Tea zajętego sprawdzaniem kieszeni staruszków, jak co wieczór. Czekają grzecznie, ustawieni gęsiego. Żaden nie protestuje, kiedy Teo wyciąga spod szarych bluz buchnięte w ciągu dnia przedmioty.

- Cześć, Ben, zasuwasz już i w wolne dni? Sinclair będzie zadowolony!

Daruję mu zdjęcia zrobione przez Klarę w Lasku i pomagam poodkładać podwędzone towary.

- Dasz wiarę? Jeden nosił się przez cały dzień z pięcioma kilogramami środków chwastobójczych w kieszeniach!

W następnym tygodniu ciocia Julia i Klara zaczynają szykować swój reportaż o Koźle. Ze swej strony dają z siebie wszystko. Szczyty płaszczenia się, skamlanie, samobójcza szmata. Ani jeden klient nie podtrzymuje skargi. Prawie że wypisują mi czeki. Przychodzą napompowani jak cholera uzasadnionym oburzeniem, a odchodzą przekonani, bez względu na to, co przeżyli, przeżywają czy przeżyją, że tego dnia widzieli najgorsze: nieszczęście czyni człowiekiem, jak w baśni Hoffmanna przerobionej na dzisiejszą modłę. Na każdym zaś etapie ich drogi wchodzenia w arkana Sklepu krzyżują się z obiektywem Klary. Klary, która uchwyci ich wściekłość, kiedy pędzą do biura Lehmana, Klary, która utrwali wszystkie fazy ich przemiany wewnętrznej w wyżej wymienionym biurze, Klary, która uwieczni wyraz autentycznego ludzkiego odczuwania w chwili, kiedy opuszczają biuro, Klary, która fotografuje, jak z Lehmannem po świńsku zanosimy się śmiechem, odegrawszy naszą komedię, Klary wreszcie, której *aparatus jest zawsze niewidoczny*.

Ciocia Julia wpięć spędziła kilka dni na obserwacji, jak wykonuję swoje obowiązki, ale teraz pracuje już tylko na podstawie zdjęć mojej siostrzyczki. Stanowią dla niej rzeczywistość wymowniejszą niż rzeczywistość sama. Bazgrze tony notatek, w miarę jak napływają klisze. Do Klary zwraca się wyłącznie z osobliwym połączeniem macierzyńskiego wzruszenia i profesjonalnego podziwu. Przysposobiła ją sobie jak duchową córkę zrodzoną z jej najgłębszych ambicji.

Odtąd wieczorami we dwie robią notatki, kiedy ja serwuję dzieciom ich porcję literatury. Teresa nad maszyną do przyszpilania słów i ciocia Julia nad szkolnym kajecikiem. Zdjęcia, które Klara robi w domu, są teraz odrobinę gorsze.

- Bo o czym innym myślę, ciociu Julio, słucham opowieści Bena.

Przez ten czas ciało Juliusza obrasta w rurki. Niektóre wchodzą do środka, niektóre wystają: woda, plazma, witaminy i bycza krew z jednej strony, z drugiej - mocz i kał. Zgodnie z obietnicą Laurenty robi, co może. Juliusz ma to gdzieś. Nadal, z metafizycznym uporem podkurczywszy wargi nad śmiercionośnymi kłami, pokazuje światu wywalony ozór. Czasami, nocą, mam wrażenie, że dzielę pokój z jakimś pajakiem z Apokalipsy. Zwłaszcza wtedy, kiedy jest pełnia i kiedy białe światło wydłuża załamane cienie jego wychudłych łap.

- Myślisz, że ile czasu może tak wytrzymać?

- Nie mam pojęcia - odpowiada Laurenty - wygląda na to, że postanowił pobić wszelkie rekordy.

A potem, nagle, ta bezwładna kupa sierści zaczyna od czasu do czasu podrygiwać, tak że pojemniki dźwięczą, wprawiając cienie w ruch falisty, który przebiega po ścianach pokoju. Sprawiliśmy mu bowiem materac impulsowy, ma zapobiegać tworzeniu się odleżyn.

Dzieciom, które niepokoją się, że Juliusz nie wraca, opowiadam, że wyzdrowiał, tylko dyrektor kliniki poprosił, by jeszcze trochę u niego został i nauczył jego psa różnych życiowych psych sztuczek: otwierania i zamykania drzwi, spoufalania się z dobrymi i nieufnego traktowania złych, chodzenia po dzieci do szkoły i wracania z nimi metrem, kiedy pada deszcz.

Luna, mieszkająca z nami od czasu, kiedy odszedł Laurenty, słucha mojego błagania z wyrazem jakiejś zachwyconej naiwności, który dobrze znam, bo go widywałem na twarzy

naszej wspólnej mamy: właściwie to nie ona słucha, tylko mały lokator, który sobie w niej rośnie.

Jeśli chodzi o pracę, Sinclair, który znowu mnie wezwał, ale tym razem do swojego biura ("whisky?", "cygaro?"), wina sobie (niczyje powinszowania nie dorównują własnym), że przejawiam tyle świeżego zapału w pracy. Na podstawie danych liczbowych informuje, ile Sklep zaoszczędził dzięki mnie tylko w dwa tygodnie. Suma godna uwagi.

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju, panie Malaussene. Czy ma pan jakiś sekret pozwalający tak znakomicie wywiązywać się z równie niewdzięcznego zadania? Jakąś własną filozofię?

- Pensję, szefie, filozofię wysokiej pensji.

Pensję, którą z wielce dystyngowanym uśmiechem, natychmiast mi podwaja. (No czekaj tylko, drogi dobroczyńco.)

Jeśli chodzi o Lehmana, to mój całkiem nowy duch współpracy budzi jego najżywsze zdumienie. Po raz pierwszy Lehmann łapie kontakt. Z trudem przychodzi mi odrzucać wszystkie jego propozycje pójścia razem na obiad, i inne. "Znam knajpę, no nie masz pojęcia, z taką masą dziuń, że w życiu nie widziałeś!" Jesteśmy teraz kumple, po prostu. Pyta mnie o Klarę - widział nas rozmawiających w wolnych chwilach.

- To moja siostra, chce być sprzedawczynią, uczyć ją zawodu.

- Miałem córkę podobną do niej. Umarła.

Coś w nim zadrgało. Odwraca głowę. (Cholera, jeżeli nawet drań nie może być doskonały...)

Teo to nie Sinclair ani Lahmann, więc z początku nie mówi nic, a później, nie wytrzymawszy, powiada:

- Co to za gorliwość, Ben? Co za numer szykujesz?

- Czy ja się ciebie pytam, po co się fotoautomatyzujesz?

- Nie, bo ja ci mówię po co!

Cazeneuve, gdy tylko mnie spostrzeże, udaje, że jestem przezroczystry. I im bardziej pograżam się w aferę, tym bardziej go podejrzewam, że wreszcie wykonuje swoją robotę sumiennie.

Zdaniem Lecyfre'a coś, o czym od dawna się po cichu mówiło, stało się dziś całkowicie jasne:

- Jesteś wtyka pracodawców, Malaussene, zawsze tak myślałem, a dziś jestem o tym przeświadczony, nosem to czuję.

Jest to węch, który doprawdy uzasadnia ostatnie sukcesy jego partii w wyborach do rad miejskich (przegrana w sześćdziesięciu miastach). Co nie przeszkadza mu przygotowywać z zapalem naszą tutejszą sklepową manifestację związkową (rytuał obchodzony dwa razy w ciągu roku, bowiem jego partia zna się na celebrowaniu nabożeństw) w sprawie przestrzegania umów zbiorowych. - I nie próbuj rzucać nam kłód pod nogi, Malaussene!

Cóż jeszcze? Aha, moje ataki głuchoty. Jeszcze dwa razy paląca igła patroszy moje uszy jak dwa pospolite ślimaki. Zawsze wtedy powtarza się to samo zjawisko; widzę Sklep z podwójną ostrością: nieme uśmiechy sprzedawczyń sprzedających tu swoje życie, zmęczone nogi, zacinające się kasy, dyskretne ataki nerwowe, klientelę w potrzebie wymyślającą sobie

zachcianki, radość wobec obfitości rzeczy, płacenie, płacenie, płacenie, podkradaczy wszelkiej maści, bogatych, biednych, młodych, starych, mężczyzn, kobiety, że nie wspomnę o staruszkach Tea, krzątających się wszędzie jak automatyczne mrówki. Nie do wiary, co oni potrafią pomieścić w głębiach swoich kieszeni! I co budują-majsterkują, jakby nigdy nic, pod zblazowanym spojrzeniem sprzedawców! Katedrę ze śrub i nakrętek. Mówię poważnie, wypatrzyłam jednego, który wznosi całą katedrę ze śrub i nakrętek! Chyba Chartres. Może nie naturalnej wielkości, ale prawie. Kiedy mu brakuje właściwego gwintu, udaje się wolnym krokiem pod odpowiednią półkę, kradnie część i wraca tym samym niespiesznym krokiem. Zjawisko Chevala: zainstalował swój neośredniowieczny warsztat u samego podnóża schodów. Wchodzący klienci, zbyt zaabsorbowani tym, co chcą kupić, nie dostrzegają go. Ci, którzy wychodzą, spieszą wypróbować swój nowy nabytek i też go nie dostrzegają. On sam nie dostrzega ani jednych, ani drugich. Taka łagodna postać autyzmu majsterkowicza, dzięki której mężczyźni żyją nastawieni bardziej pokojowo, a kobiety mogą rozporządzać swoim wolnym czasem.

Jeden z tych napadów głuchoty chwyta mnie w nocy, w samym środku rozgrywania partii szachów ze Stożilem. (Pisemne upoważnienie Sinclaira, proszę państwa!) Gdy prowadzi już na wszystkich frontach, radykalnie odwracam sytuację i niszczę go w dwóch ruchach. Na próżno próbuje zamieszać, wszystko na nic, zostaje zmiażdżony. Dziko i z brutalnością, jakiej w tej subtelnej grze nabiera niepodważalne zwycięstwo.

Siedemnastego marca, dzień przez duże D copółrocznej manifestacji na rzecz przestrzegania umów zbiorowych. Teo jest ubrany w perłowy garnitur z alpaki. Do butonierki włożył błękitny, żółto nakrapiany irys. Ale Teo nie wystroił się tak dla Lecyfre'a i jego orszaku...

Wyplakując krokodyle łzy u Lehmana (nieszczęlna kuchenka, która o mało co nie przeniosła do wieczności całej licznej rodziny), widzę, jak mój Teo podskakuje pod drzwiami fotoautomatu, jakby stał pod wygodką.

Wychodząc z biura Lehmana, para zrobiona przeze mnie w konia, mija staruszka w szarej bluzie, który właśnie klepie Tea po ramieniu. Wzgardliwym ruchem podbródka Lehmann zwraca moją uwagę na tę scenę. Staruszek pokazuje Teo jakąś konstrukcję miedzianą dosyć złożonej budowy. Teo odpędza go oschle. Stary, pochlipując, znika w pobliskim dziale książek. Lehmann miałby ochotę zadrwić, ale telefon anonsuje mu, że za chwilę nastąpi przemarsz demonstracji intra muros przez jego piętro. Tłumi przekleństwo.

Wychodzę.

Dostrzegłszy mnie Teo krzyczy:

- Możesz mi powiedzieć, jak długo jeszcze ten facet, który tam siedzi już od pięciu minut, będzie się onanizował? Co on tam robi?

Wystarczająco głośno, żeby "onanista" w automacie usłyszał to zza zasłony.

- To samo co ty, Teo. Robi się na bóstwo.

- Mógł się wyszykować wcześniej, na Boga, jeżeli w ogóle ma coś do wyszykowania!

To prawda, Teo jest zawsze gotowy wcześniej. Podniósł kwestię fotoautomatu do rangi sztuki. Tym gorzej znosi wyczekiwanie w kolejce za innymi użytkownikami, dla których aparat ten jest tylko pospolitą maszyną do powielania.

Staruszek ponawia atak. Spojrzenie budzące prawdziwą litość. Strasznie zatłuszczona, proszalnie wyciągnięta dłoń z zamiarem dotknięcia ręki Tea.

- Na miłość boską, Ben, weź ode mnie tę kupę smaru! Ciągnę starego łagodnie w stronę księgan. Pokazuje mi tam przedmiot swojego niepokoju stojący na luksusowym albumie ze zdjęciami starej broni. Jest to zestaw czterech miedzianych kranów, połączonych z podstawą za pomocą złośliwego gruzła z nakrętek.

- Zatarło się, panie Malaussene.

Te krany mają w sobie coś lirycznego. Ale jak to u starego człowieka, drżą mu ręce i musiał przekręcić którąś śrubę. Stąd nadmiar smaru, żeby poluzowało. Na okładce pięknej książki widnieją okrągłe brunatne plamy (po prostu należało wyczyścić tę broń przed sfotografowaniem). Wieczorem Teo dyskretnie pozbędzie się obu trupów - książki i kranów. Na razie jest zajęty. Co też wyjaśniam dziecinnialemu staruszkowi najłagodniej, jak umiem, po czym zanurzam się w labiryncie szaf bibliotecznych w poszukiwaniu pana Risson, księgarza. Pan Risson też jest bardzo wiekowy. W wieku literatury, co najmniej. To wysoki, chłodnego obejścia facet, który mnie lubi niby dlatego, że umiem czytać. Taki dziadek, o którym czasami marzyłem, kiedy dzieciństwo zaczynało mi się dłużyć. A oto i pan Risson. Z

zamkniętymi oczami trafia do tego, o co proszę: w serii kieszonkowej nowe wydanie starego, dobrego Gaddy: *Straszny absynt z ulicy Merles*. Nie mając na razie widoków na nic ciekawszego, pogrążam się w rozkoszach lektury pierwszej strony, którą znam na pamięć.

Oszalamiająco wszędobylski, wszechobecny wszędzie tam, gdzie dzieje się coś podejrzanego. Nazywany teraz przez wszystkich don Ciccio, rzeczywistego nazwiska Francesco Ingravallo, oddelegowany z „porządkowej”, jeden z najmłodszych funkcjonariuszy biura śledczego i, Bóg wie czemu, jeden z najbardziej prześladowanych zazdrością kolegów...

Ale jakiś hałas wyrywa mnie z błogostanu.

Lecyfre - zbierał manifestantów poczynając od podziemia - przechodzi przez nasze piętro i zgarnia, przed udaniem się na wyżyny, kolejne żniwo sprzedawczyń. Organizatorzy starają się, by śmiechy i pogawędki pasowały rytmem do rytmu jedynie słusznych haseł. Wygląda to dziecinnie, harcerzykowato i rytualnie. Tym razem tłum idzie nie od Bastylii przez Republikę do Pere-Lachaise, ale defiluje od sanitariatów na dole do perskich dywanów na górze przed nosem Lehmana, który, w zaciszu swojej szklanej klatki, marzy o masowej eksterminacji. Tym razem Cazeneuve zadziwia mnie, dołącza bowiem do maszerującej kolumny. Zazwyczaj ogranicza się do postawy wolnomyślnego szyderstwa. Dziś jednak bierze udział. A nawet, przechodząc przede mną (który, jak głupi, podnoszę oczy znad książki, wybacz mi, Gaddo), rzuca mi ciężko pogardliwe spojrzenie zaangażowanego aktywisty. Patrzy na mnie po raz pierwszy od wielu tygodni. Lecyfre ze śmiechem pyta, czemu się nie przyłączam, a towarzyszące mu młode kobiety też się śmieją. Szczególne śmieszki, pod karcącymi spojrzeniami. Czy to sprzeciw? Potrzeba odcięcia się? Pałace ostrze znowu przeszywa mi czaszkę i nie słyszę już nic. Ale wszystko widzę: oskarżycielskie spojrzenia, nieme uśmiechy, Tea, który drepcze kawałek dalej, poprawiając irys w butonierce, staruszka, który obmacuje swoje krany, Lecyfre'a, który właśnie zgarnął jeszcze jedną kasjerkę, brzuchatą od siedzenia przez całe życie, Cazeneuve'a wdzięcznie pochylonego nad dekoltem sąsiadki, ostrożnie usuwających się klientów oraz kabinę fotoautomatu, która eksploduje.

Eksplozja odytka mi uszy. Blachy pozrywane w jednym ułamku sekundy, fontanny dymu ze szczelin, zasłona z materiału smagająca powietrze, krwawy wytrysk przez te na chwilę otwarte drzwi, potem wszystko wraca na swoje miejsce i kabina stoi tam znowu, niema, nieruchoma i dymiąca, z wystającą spod zasłony połową nogi zakończoną stopą, która podskakuje, drga ostatni raz i zamiera. Płuca piętra wypełniają się niesłychanie ostrym zapachem. Demonstracja zmienia się w prawdziwą demonstrację, zupełnie dziką i chaotyczną. Teo, który przez chwilę stał przed kabiną, wskakuje do środka. Zasłona skrywa połowę jego ciała, po czym Teo wychodzi wprost na mnie, a ja rzucam się w jego kierunku. Cały alpakowy garnitur, twarz, ręce są usiane drobnymi plamkami krwi. Jest ich tyle i są tak blisko siebie, że wygląda, jakby był nagi, okryty potwornie czerwoną skórą. Nim zdążę zadać pytanie, powstrzymuje mnie gestem:

- Nie wchodź tam, Ben, to wygląda dość nieestetycznie.

(Piękne dzięki, nie mam ochoty fundować sobie widoku trzeciego trupa.)

- Ale ty, Teo, co z tobą?

- Ze mną raczej lepiej niż z nim.

Kropla krwi zawisa nad jego górną wargą, drży i spada w sam środek błękitnego irysa żółto nakrapianego.

- Zawsze uważałem, że irysy mają mięsożerne skłonności.

Najdziwniejsze jest to, co dzieje się potem. Demonstracja, na chwilę rozproszona, jakby zdmuchnięta impetem wybuchu, odżyła na nowo piętro wyżej, uzupełniając temat Umów Zbiorowych o temat Bezpieczeństwa Pracy. Czy dlatego, że tym razem wałnęło ciszej niż poprzednie dwa razy? Czy dlatego, że człowiek się przyzwyczaja? Spanikowany na początku tłum klientów nie pozwolił bardziej ponieść się nerwom. Sklep nie zamyka podwoi. Tylko jedno piętro zostaje na cały dzień wyłączone.

Pogotowie zabrało Tea. Pójdę do niego wieczorem sprawdzić, czy ma wszystko na swoim miejscu.

Mówi się o wybuchu.

Potem mówi się mniej.

Tylko ten zapach w powietrzu, który sprawia, że liczba klientów ulega podwojeniu.

Po południu jestem jeszcze dwa albo trzy razy wzywany do Lehmana, przeprowadził się do boks po miss Hamilton, która to miss, sądząc po wyrazie jej uśmiecho-spojrzenia, pojęła wreszcie, jaki naprawdę charakter ma moje zajęcie i ile w nie wkładam heroizmu. Wie także, jakim szacunkiem obdarza mnie Sinclair, oraz że moje dochody są dwa razy wyższe.

Za późno, moja ty śliczna. Trzeba mnie było kochać, kiedy jeszcze byłem szeregowym pracownikiem. Zresztą może, przy okazji, jeżeli bym zechciał...

Potem telefon z miasta. Zamykam się w odpowiedniej kabinie (czy w tych czasach to ostrożnie zamykać się w kabinach?) i mówię:

- Halo?

- Ben?

(Klara! Klaro, to ty mój Klarnećku! Czemuż tak lubię twój głos, lubię opatulać się w twój spokojny głosik, taki zawsze gładki, w to miękkie sukno bilardowe, po którym precyzyjnie toczą się twoje słowa... No dobra, Beniamin, daj spokój kazirodczym myślom! A poza tym, opatulać się w sukno bilardowe?...)

- Nie niepokój się, kochanie, nic mi nie jest, tym razem był to tylko malutki wybuch, no i miałem zbroję, nigdy się bez niej nie ruszam, zdejmuję tylko, kiedy wracam do domu, żeby was uściskać. Malutki wybuch, zupełnie nic, naprawdę!

- Jaki wybuch?

Cisza. (To nie chodzi o wybuch? Aha!)

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, Ben.

- Mama dzwoniła?

- Nie, mama już się pewnie przyzwyczaiła do bomb.

- Skończyłyście artykuł cioci Julii?

- O nie, potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

- Jeremiasz nic nie przeszkrobał w tym tygodniu?

- I owszem, odsiedzi cztery godziny w sobotę, przeszkadzał na muzyce.

- Teresa przeszła na racjonalizm?

- Właśnie postawiła mi karty.
 - Karty mówią, że zdasz maturę?
 - Karty mówią, że jestem zakochana w moim starszym bracie, ale że powinnam się wystrzegać rywalki, dziennikarki z "Actuel".
 - Malcowi przestały się śnić potwory?
 - Znalazł w mojej encyklopedii reprodukcję Goi: Saturn pożerający dzieci, bardzo mu się podobała.
 - Cięża Luni okazała się urojona?
 - Właśnie zrobiła USG.
 - Chłopiec czy dziewczynka?
 - Bliźniaki.
- Milczenie.
- Klara, to jest ta twoja dobra wiadomość'?
 - Ben, Juliusz wyzdrowiał.
- Juliusz wyzdrowiał? Juliusz wyzdrowiał! Nie? Juliusz wyzdrowiał? Wyzdrowiał! Juliusz! Tak, Juliusz wyzdrowiał. A nawet, dziś rano, wzbudził w naszym domu pewną sensację schodząc z piątego piętra: ciągnął za sobą baterię pojemników, które kolejno rozłukiwały się o stopnie, pękające worki na odchody siały wkoło tym, co zawierały w środku, i nadawały mu, ponasadzone na zakończeniach rurek, wygląd oszalałego dzika próbującego uciec przed atakiem meduz. Panika w domowych pieleszach. Wszyscy lokatorzy pozamykali się na podwójne zamki. A wszystkie Juliuszowe smrody radośnie rozeszły się od góry do dom.
- Chętnie bym go wykąpała, ale to może trochę za wcześnie, prawda?
 - Później, Klara, kąpiel później, opowiedz, co było dalej!
 - Nic nie było dalej, wyzdrowiał, i tyle. Napił się i zjadł jak po dłuższym spacerze, i położył się na łóżku Malca, jak zawsze o tej porze.
- Wezwałaś Laurentego?
 - Tak.
 - Co powiedział?
 - Że Juliusz wyzdrowiał.
 - Żadnych powikłań?
 - Żadnych. Aha, tak, jeden drobiazg mimo wszystko.
 - Jaki?
 - Dalej ma wywalony ózór.

I jeszcze raz. Uderzenie z boku. Nie zdążam złapać oddechu, a już następny atak, tym razem czołowy, posyła mnie na deski. Pozostaje tylko zwinąć się w kulkę, zebrać maksymalnie w sobie, wystawić na grad ciosów i czekać, aż to minie, wiedząc jednocześnie, że to nie minie. I nie mija. I nie chodzi tu o partię szachów.

NIE CHODZI O SZACHY, CHOLERA!

Ten niemy ryk stawia mnie na nogi, wylatuję jak z katapulty. Okrzyk zaskoczenia ze strony kogoś, kto przytrzymał mnie przy ziemi, a teraz zwija się na chodniku, potem pojawia się wyraźny obraz stojącego przede mną Cazeneuve'a, który szykuje się, żeby nogą przyładować mi w żebra. Tymczasem moja własna stopa trafia między jego rozstawione nogi i rozlega się ryk dzikiego dingo, który mógłby zbudzić całą półkulę południową. Cazeneuve znika, ale kolejny cios w kark rzuca mnie z rozłożonymi rękami do przodu, gdzie zbawczo wpadam na inne ciało, które chwieje się pod wpływem uderzenia. Znowu ląduję na ziemi, ale uderzenie jest tym razem złagodzone przez tę drugą osobę pode mną, osobę, którą okładam na oślep po twarzy, żebrach, żołądku i która wrzeszczy: pomocy, cholera, ten głos, cholera cholera, to kobieta! Zaskoczony, podnoszę głowę na tyle, żeby dojrzeć łuk zarysowany przez stopę: strzela mnie prosto w usta i posyła do samego piekła. Diabeł jest tej nocy uzbrojony w solidną pałkę, co najpierw spada na moje ramię, a za drugim razem chybia, bo kręcę się wokół własnej osi wymachując nogami, jak nożycami, żeby sięgnąć jak najdalej dookoła.

Trzask goleni, miękki dźwięk ciężkiego upadku, kwiki różnej maści i znowu pałka, która tym razem nie chybia, eksplozja mojej biednej czaszki. Żegnaj, życie, żegnaj, dniu, żegnaj, nocy, nawet dzisiejsza gówniana nocy, żegnaj...

Oszalamiająco wszędobylski, wszechobecny wszędzie tam, gdzie dzieje się coś podejrzanego...

Jeżeli raj albo jeżeli piekło, albo jeżeli nicość oznacza spotkanie z Carlo Emilio Gaddą, niech żyją nicość, raj i piekło!

- Elżbieto, poproszę o trochę kawy.

Tak, inspektor Ingravallo (ale czemu u diabła nazywano go don Ciccio?), wypełniający obowiązki służbowe na chodniku ulicy Merles, naprawdę potrzebuje małej kawy.

- Zdaje mi się, że powoli wraca do przytomności. Och! Powoli, bardzo proszę powolutku wracać, najwolniej jak można, właśnie zawarłem znajomość z Bólem. Carlo, nie opuszczaj mnie, nie pozwól mi wypłynąć na powierzchnię. Carlo Emilio, nie chcę się z tobą rozstawać!

- Co on mówi?

- Mówi, że nie chce się rozstawać z jakimś Carlo Emilio Gaddą, i, szczerze mówiąc, ja mu się nie dziwię.

- To Włoch?

- Najbardziej włoski ze wszystkich Włochów. Elżbieto, ostrożnie z tą kawą, bo go pani udusi.

Pióro inspektora Ingravallo było maczane w cappuccino, stąd spokojna energia jego języka...

- Tak język jest u niego mieszaniną różnych dialektów. Szkoda, że nie mamy odpowiednika w naszej literaturze.

Będę musiał przeczytać go dzieciakom, nawet jeżeliby miały nic nie zrozumieć, muszę też przygotować Klarę do matury, nie do życia - to robi sama - do matury.

- Teraz chyba dochodzi do siebie, proszę mi pomóc, posadźmy go

Jak tu posadzić całą harmonię obolałości? Juliusz jak wykuty z jednego bloku, a ja w stu tysiącach kawałków! Jak posadzić sto tysięcy kawałków?

Powoli, Elżbieto, proszę mi podać jeszcze jedną poduszkę...

Ale Juliusz wyzdrowiał? JULIUSZ WYZDROWIAŁ!

- Kto to jest ten Juliusz, panie Malaussene? Gadda to wiem, ale Juliusz...

Pytanie komisarza Coudrier, nawet zadane z uśmiechem, domaga się odpowiedzi, a ta znajdzie się w aktach.

- To mój pies, właśnie wyzdrowiał.

Rekamiera w charakterze noszy, nie najwygodniejsza rzecz.

- Proszę, niech pan wypije jeszcze trochę kawy. Nie znam się w ogóle na medycynie, ale mam absolutne zaufanie do kawy pani Elżbiety. Elżbieto, niech mu pani pomoże, bardzo proszę.

Tak, niech mi pani pomoże, Elżbieto, czuję każdą kosteczkę w siedzeniu.

- O tak.

(Taak, taak, taak...)

- Czemu rekamiery są takie twarde?

- Ponieważ zwycięzcy tracą imperia, wysypiając się na sofach, panie Malaussene.

- Tak czy tak je tracą. Na sofie czasu.

- Wygląda na to, że ma się pan lepiej.

Odwracam głowę do komisarza Coudrier siedzącego u mego wezglowia, podnoszę głowę w kierunku pani Elżbiety pochylonej nade mną z filiżanką kawy w ręku (filiżaneczka ze złotym brzeżkiem i cesarskim N), opuszczam głowę w stronę moich odległych stóp. Moja głowa podnosi się i opada, jest mi lepiej.

- Będziemy mogli pomówić.

Pomówmy.

- Czy znajduje pan jakieś wyjaśnienie tego, co się panu przydarzyło?

- Sklep runął mi na głowę.

- A z jakiego, według pana, powodu?

Z jakiego powodu? Nieuzasadniona niechęć Cazeneuve'a? Nie był sam. I była co najmniej jedna kobieta. (Kobieta, której przyłożyłem, słodki Jezu!) Dlaczego? Bo nie chodzę na demonstracje? Nie. Nie jesteśmy w Stanach ani w Sowieciech. Zresztą właśnie dlatego nie sądzę, bym musiał demonstrować. Z jakiego powodu na mnie napadli?

- Nie wiem.

- A ja wiem.

Komisarz Coudrier podnosi się w zielonkawej poświacie swego biura.

- Dziękuję, Elżbieto.

Pani Elżbiecie podziękowano. Drzwi zamykają się. Kawy już nie będzie. Stojąc przed biblioteką komisarz Coudrier recytuje:

- *Oszalamiająco wszędobylski, wszechobecny wszędzie tam, gdzie dzieje się coś podejrzanego...*

- Gadda.

- Gadda i pan, panie Malaussene. Był pan obecny w miejscu pierwszego wybuchu, drugiego i trzeciego. Nic więcej nie trzeba, żeby wzbudzić pewne domysły.

Prawda. Ale, o ile dobrze pamiętam, Cazeneuve też był wszystkie te trzy razy obecny. Powiedzieć to czy nie powiedzieć? Mniejsza o Cazeneuve'a, mówię.

- W istocie, ale on nie był na odczycie profesora Leonarda.

Armatnia Kula? Co on ma z tym wspólnego, Armatnia Kula?

- Jest dzisiejszą ofiarą. Aha...

- Co pan robił na tym odczycie?

Umoczyć Cazeneuve'a, zgoda, ale nie ciocię Julię (choć, jeśli mnie widzieli, to widzieli mnie z nią).

- Mam siostrę w ciąży, która się zastanawia, czy...

- Rozumiem.

Co nie oznacza, że pochwała. Ani że moja odpowiedź zaspokoi jego ciekawość. Chcąc sprawdzić, jak funkcjonuję, próbuję pozycji siedzącej. O rety! Sztywny jak Juliusz, kiedy był sztywny. (Juliusz wyzdrowiał!)

- Ma pan dwa żebra pęknięte. Zabandażowali pana.

- A czaszka?

- Tylko guzy.

(Tylko.)

Obchodzi biuro wkoło, siada, zapala lampę. Ponieważ krzywię się, oślepiony, zmniejsza natężenie światła. Z tego, co wiem, oprócz telefonu ta lampa ze światłostatem jest jedynym w tym biurze ustępstwem na rzecz nowoczesności. Coudrier lekko skrobie się w tylną część ucha, potem w nozdrze, wreszcie splata palce przed sobą i mówi:

- Wykonuje pan ciekawy zawód, Malaussene, który, prędzej czy później, musi prowokować agresję.

(No proszę, w przeciwieństwie do tego, co twierdził Sinclair, inspektor uwierzył w moją historię o Koźle!)

Pada najbardziej obezwładniające pytanie, jakie kiedykolwiek podejrzanym, przyjmującym, że jestem podejrzanym, usłyszał z ust gliniarza.

- Czy to pańska robota te wybuchy, panie Malaussene?

- Nie.

- Wie pan czyja?

- Nie.

Ponowne skrobnięcie w nos, ponowne zaplecenie palców i kolejna okazja do zaskoczenia:

- Wprawdzie nie mam obowiązku informować pana o moich osobistych wnioskach, ale niech pan wie, że panu wierzę.

(Jak dla mnie to lepiej.)

- Ale w pańskim miejscu pracy sporo kolegów myśli, że to pan.

- Łącznie z tymi, którzy dziś na mnie napadli?

- Między innymi.

Poruszeniem brwi daje mi znać, że postara się, abym go dobrze zrozumiał.

- Widzi pan. Kozioł Ofiarny nie jest tylko kimś, kto w danym konkretnym wypadku płaci za innych. Dostarcza nade wszystko, i przede wszystkim, *wyjaśnienia*, panie Malaussene.

(Ja dostarczam "wyjaśnienia"?)

- Jest tajemniczą, lecz *niewątpliwą* przyczyną każdego niejasnego zdarzenia.

(A do tego otom "niewątpliwą przyczyną"!)

- To tłumaczy na przykład pogromy żydowskie podczas epidemii dżumy w średniowieczu.

(Ale już nie jesteśmy w średniowieczu, prawda?)

- Dla niektórych pańskich kolegów pan, jako Kozioł Ofiarny, jest tym podkładaczem bomb tylko dlatego, że oni *potrzebują* przyczyny, to ich uspokaja.

(Nie mnie.)

- Nie są im potrzebne żadne dowody. Samo przekonanie im wystarczy. I to się będzie powtarzało, jeżeli nie zrobię z tym porządku.

(Zrób pan z tym porządek!)

- Dobrze, pomówmy o czymś innym.

Mówiliśmy o czym innym. O mnie. Z każdego punktu widzenia. Dlaczego nie odebrałem, jak przystoi, mojego dyplomu wydziału prawa? (To jedna z nielicznych w świecie osób, które wiedzą, że jestem szacownym właścicielem tego świstka.) Dlaczego? Ano nie wiem dokładnie dlaczego. Prawdopodobnie młodzieńczy opór przed urządzeniem się, przed "zostaniem częścią systemu", jak to się wówczas mówiło, chociaż ja nigdy specjalnie się w takie rzeczy nie mieszałem. Ot, banalna sprawa.

- Czy działał pan kiedyś w jakiejś organizacji? Ani w jakiejś w ogóle, ani w jakiejś szczególnie. W czasach, kiedy miałem przyjaciół, robili to za mnie, przyjaźń zastępując solidarnością, grę w flippersy drukarką, upojne wieczory dyżurami, światło księżycy połyskiem kamieni bruku, Gaddę - Gramscim. Pytanie, kto z nas miał rację, przerasta możliwości wszystkich, którzy starają się na nie odpowiedzieć. A poza tym miałem matkę w permanentnym odwrocie, dzieciaki w domu, Lunę i jej pierwszą miłość, Teresę, której śniły się koszmary mogące postawić na nogi całe Belleville, i Klarę, która zużywała dwie godziny na powrót z przedszkola oddalonego o trzysta metrów. ("Patzę, Ben, bawię się w patsenie." Już wtedy.)

- Pański ojciec?

Jeden z facetów mojej matki. Pierwszy. Miała czternaście lat. Nie znam - płacz, komisarzu. Nie płacze, porządkuje, klasyfikuje. Wszystko zapamięta.

Następnie pada drażliwe pytanie o ciocię Julię i o to, kim ona "jest" dla mnie. Rzeczywiście, kim "jest"? Pomijając ów seans totalnej samokrytyki seksualnej. I artykuł, który przygotowuje, ale to go nic nie powinno obchodzić.

- Trochę za wcześnie odpowiadać na to pytanie.

- Albo trochę za późno.

W tym miejscu wzmacnia o stopień natężenie lampy, żeby mógł prawidłowo ocenić całą powagę, jaką przywołuje na twarz.

- Ostrożnie z tą panią, panie Malaussene, niech pan się nie da wciągnąć w jakąś... (zastanowienie)... w jakąś współpracę, której mógłby pan pożałować.

(Lepiej powiedzieć za mało niż za dużo.)

- Dziennikarze mają obsesję spontaniczności i nie troszczą się o skutki. My natomiast wiemy, że spontaniczności trzeba się uczyć.

- My? Dlaczego *my*?

Nie zastanawiałem się nad tym.

- Jest pan głową rodziny, prawda? A więc nauczycielem? Ja też, na swój sposób.

Po czym po raz wtóry prezentuje mi swoje wnioski. No więc nie sądzi, że bym to ja podkładał te bomby. Pozostaje jednak faktem, że bomby wybuchają wszędzie tam, gdzie się pojawia. A więc ktoś chce rzucić na mnie podejrzenie. Kto? Zagadka. To zresztą jedynie przypuszczenie. Przypuszczenie, które przy okazji okaże się słuszne lub niesłuszne.

- Przy jakiej okazji?

- Przy wybuchu następnej bomby, panie Malaussene!

Brawo. A jeżeli od następnej wyleci wszystko? Naiwne pytanie. Które zadaje.

- Nasze laboratorium sądzi, że nie. Ja zresztą też.

Na koniec przesłuchania kilka rad komisarza okręgowego Coudrier. Które są poleceniami: mam wziąć dwa do trzech dni urlopu, żeby się wzmocnić, potem powrót do Sklepu. Nic nie zmieniać w nawykach ani marszrutach. Dwóch specjalistów od obserwacji nie będzie ze mnie spuszczać wzroku od rana do wieczora. Każdy, kto się do mnie zbliży, zostanie na zawsze uwieczniony przez te żywe kamery. Dwaj gliniarze będą jakby muszką, a ja celem. Czy się zgadzam? Nie wiedzieć czemu, zgadzam się.

- Dobrze. Ktoś pana odprowadzi do domu.

Naciska mały guzik (jeszcze jedno ustępstwo na rzecz nowoczesności) i prosi panią Elżbietę, żeby wezwała inspektora Careggę. (O, kawa po turecku!)

- Ostatnia sprawa, panie Malaussene, sprawa pańskich napastników. Byliby pana zabili, gdyby nie zjawił się jeden z moich ludzi. Czy chce pan wnieść skargę? Tutaj jest lista.

Wyjmuje z teczki papier i podaje mi. Wściekła ochota, żeby przeczytać. Oblędna chęć, żeby pograć tę zgrają prostaków. Ale "vade retro Satanas", jasny anioł we mnie odpowiada "nie", mówiąc sobie równocześnie, że anioły to nieźli idioci.

- Jak pan sobie życzy. W każdym razie będą musieli odpowiadać za hałasy po nocy i stawić się przed Dyrekcją Sklepu, która została powiadomiona.

No, od tego moje zebra się nie zrosną.

Paryż drzemie, a inspektor Caregga prowadzi tak, jak wszystkie gliny piszą na maszynie: dwoma palcami. I jest, jak zawsze, przyodziały w swoją kurtkę z futrzanym kołnierzem. Pytam, czy może zahaczyć o mieszkanie Tea. Może.

Chciałbym wbiec do przyjaciela po cztery schody, ale zamiast tego wchodzę po jednej czwartej. Na każdym półpiętrze reanimacja. Docieram wreszcie pod jego drzwi po to, żeby znaleźć przypięty do nich niewielki wizerunek Tea ubranego w fartuch kuchenny zdobny w cztery stokrotki. Rozumiem. Nie ma go w domu. Jest u mnie. Zaniepokojone dzieci musiały do niego zadzwonić i poszedł zabawić się w niańkę.

Kiedy wracam do samochodu, inspektor Caregga doczekał już prawie emerytury. Żeby mu wynagrodzić to krótkie oczekiwanie, wysiadam przy skrzyżowaniu Roquette i Folie-Regnault, pięćdziesiąt metrów ode mnie. Nie będzie musiał objeżdżać bulwaru. Dziękuje bardzo, ma dziś dyżur w nocy i dosyć mu się spieszy. Wydobywam swoje kości i wlokę je do dzieciaków. Dzieci... moje dzieci. Mały skurcz w sercu, który, dziwna rzecz, przypomina mi o profesorze Leonardzie. Tak więc Leo Pronatalista dał się sprzątnąć w moim miejscu pracy! A przecież nie wyglądał na kogoś, kto krąży po domach towarowych. A tym bardziej na kogoś, kto zabawia się w fotoautomacie. Był we wszystkim szyty na miarę, ten cały profesor Leonard. W ciuchach wartości co najmniej dwóch do trzech kawałków, kiedy go widziałem na odczycie. Jego prawy but wyglądał, jakby go robił jeden rzemieślnik, a lewy - inny, każdy był bowiem istnym dziełem całego życia. Nie, facet tego pokroju nie chadza do domów towarowych. Jeśli kiedykolwiek zstąpi do metra, może to być tylko pod wpływem silnych przeżyć. Albo dlatego, że wylosował taką karę w grze w fanty na imieninach córeczki.

(Dobry Boże, więc pięćdziesiąt metrów to aż tak daleko?)

Leonard... profesor Leonard... Całkiem z innej gliny niż Sinclair. Ten nie potrzebował uczyć się, co to Tradycja. Urodził się w pałacu. Wyssał uświęcone wartości z piersi najprawdziwszej mamki - czystego produktu wiejskiego z gwarancją. Prawdopodobnie stoi za nim z tuzin pokoleń dyplomowanych lekarzy. Kiedyś lekarz królewski, dziś, być może, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej. Same szczyty medycznej socjety od czasów Diafoirusa. I taki człowiek miałby umrzeć jako ofiara przypadku, w miejscu publicznym, w towarzystwie jakiegoś mechanika z Courbevoie i jakiegoś inżyniera drogowego zadurzonego w swojej siostrze bliźniaczce! Zniżyć się do tego stopnia... hańba dla rodziny! Pogrzebią go ukradkiem w bezkسیężycową noc.

(Naprawdę to tylko pięćdziesiąt metrów?)

Powoli, Malaussene. Jesteś tylko gównianym pętakiem, który nie wie co to Wyżyny. Wyrokujesz i lewicujesz. "Dopasować się", oto ich jedyna recepta. "Dopasować się" to cała tajemnica ich władzy. Oni się dopasowują. Dochodzą do Prezesury nucąc coś na ludowo, z przytupem i z przyśpiewką. Nie zniżają się do metra, albowiem zwyczajnie, z królewską prostotą, chodzą sobie po Polach Elizejskich pieszo.

W zielonym tweedzie na wierzchu, w markowej bieliźnie pod spodem. Dopasowanie...

Teo rzeczywiście jest u mnie w domu. I Klara. I Teresa. I Jeremiasz. I Malec. I Luna. I jej

brzuch. I Juliusz. Który wyciąga do mnie jęzor. Moi. Moi swoi.

- Ben!

Taki okrzyk. A potem nic więcej. Okrzyk bólu wydany na mój widok przez jedną z siostrzyczek. Którą? Luna przyłożyła obie dłonie płasko do ust. Teresa, za swoim biurkiem, patrzy na mnie, jakbym był duchem. (Jestem.) A Klara tylko stoi, jej oczy powoli wypełniają się łzami. Potem ręką szuka czegoś po omacku za sobą, znajduje Leicę, którą podnosi do prawego oka: Błysk! Oto ujęcie grozy, mój pysk z gwarancją, że już nie osiągnie rozmiarów człowieka-słonia.

W końcu dzięki Jeremiaszowi rzeczy powracają do swego naturalnego biegu:

- Słuchaj no, Ben, mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego ten cholerny imiesłów czasu przeszłego uzgadnia się z tym idiotycznym dopełnieniem bliższym, kiedy stoi przed tym pieprzonym czasownikiem posiłkowym "być"?

- "Mieć", Jeremiasz, przed czasownikiem posiłkowym "mieć".

- Jak sobie chcesz, Teo nie ma pojęcia, jak to wytłumaczyć.

- Ja i odmiany - rzuca Teo z wymijającym gestem. Więc tłumaczę, tłumaczę pocziwą starą regułę, składając ojcowski pocałunek na każdym czole. Otóż, widzicie, niegdyś imiesłów uzgadniał się bez względu na to, czy stał przed czasownikiem mieć, czy po nim. Ale ludzie tak często mylili się, kiedy stał po czasowniku, że gramatyczny prawodawca przekształcił ten błąd w regułę. Ot. Tak to jest. Rozwój języków schlebia lenistwu. Tak, tak, "pożałowania godne".

- To się stało na dole pod moim domem, Ben. Musieli się domyślić, że przyjdiesz się dowiedzieć, co ze mną, i napadli na ciebie pod drzwiami mojego domu.

Leżę na swoim łóżku. Na moim brzuchu spoczywa głowa siedzącego na podłodze Juliusza. Dobre trzy centymetry miękkiego, ciepłego (żywego!) języka spoczywają na mojej piźmiej. Teo chodzi tam i z powrotem.

- Kiedy przyszedłem do szpitala, było po wszystkim. Gliniarz, kawał chłopca, odstawiony jak lotnik do lądowania w Normandii, pakował cię do swojego samochodu.

(Dzięki, inspektorze Caregga.)

- Moim zdaniem, jechał za tobą. Kiedy zobaczył, że wszedłeś, skorzystał i poszedł kupić papierosy a kiedy wrócił, tamci już od dobrej chwili cię obrabiali.

- Widziałeś, kto to był?

- Nie. Karetka zabierała właśnie tych z napastników, których lotnik zamrocył. Moim zdaniem, porządnie im dołożył.

(Jeszcze raz dzięki, panie inspektorze.)

- A ty, Teo, nic nie masz złamane?

- Nie, tylko jeden garnitur z głowy.

Przystaje nagle i odwraca się w moją stronę:

- Mogę cię o coś zapytać, Ben?

- Pytaj.

- Masz coś wspólnego z tymi bombami?

To jednak robi na mnie pewne wrażenie.

- Nie.

- Szkoda.

No, trzeba powiedzieć, że nie szczędzi mi się dziś niespodzianek!

- Bo gdyby tak było, mógłbym uznać cię za bohatera narodowego!

Chwileczkę, co go napadło? Nie będzie mi tu przecież nawijał o zgniłym społeczeństwie konsumpcyjnym, nie on, nie wobec mnie, nie w naszym wieku i przy naszej pracy!

- Znieś wreszcie to jajo, Teo. Z czym się tam nosisz?

Zbliża się, siada obok łba Juliusza, który kieruje na niego swe oko (Juliusz żywy!), i przybiera wygląd powiernika ze sztuki Szekspira.

- Facet, którego rozerwało w automacie...

Szept...

- Tak, Teo?

- Był draniem najgorszego gatunku! Nie przesadzajmy, gatunek jest dość rozpowszechniony, a draństwo wybaczone, gdyż przebrane w szatę obowiązku.

- Znałeś go?

- Nie, ale wiem, czym się zajmował w wolnych chwilach.

- Onanizował się w kabinach fotograficznych?

Tutaj błysk w oku Tea.

- Właśnie, Ben.

Nie rozumiem, co w tym takiego potwornego (ani przyjemnego).

- Odgrzewał przy tym pewne wspomnienia.

Nagle jego głos zadrgał. Zadrgał gniewem, z jakim się jeszcze nigdy u niego nie spotkałem.

- No, Teo, wydobądź to z siebie!

Wstaje, zdejmując fartuch w stokrotki, wyciąga z kieszeni marynarki portfel, wyjmując coś, co na moje oko jest starą fotografią, i podaje mi.

- Zobacz to.

Jest to rzeczywiście stara fotografia, przycięta na powojenną modłę, biało-czarna. Naprawdę czarna! Widać na niej atletyczne ciało profesora Leonarda sprzed dwudziestu albo trzydziestu lat, nagie od stóp po czubek spiczastej głowy, z płonącym okiem, z gębą wykrzywioną w demonicznym grymasie, wyciągniętymi rękami, przytrzymujące na stole inne ciało...

- O nie...

Podnoszę oczy. Twarz Tea ocieka łzami.

- Ono nie żyje, Ben.

Patrzę znowu na zdjęcie. Jaki instynkt podpowiada nam, że zegarek stanął, nawet jeżeli godzina jest właściwa? Dziecko, które profesor Leonard przytrzymuje płasko na stole, bez wątplenia nie żyje.

- Gdzie to znalazłeś?

- W kabinie. Miał to jeszcze w ręku.

Długa cisza, w czasie której oglądam zdjęcie z bliska. Jest na nim nagi mężczyzna o napiętych mięśniach połyskujących jak naoliwione (odbicia lampy błyskowej od potu, jak sądzę). Na czymś, co może być stołem, biały kształt dziecka ze zwisającymi nóżkami. A u podnóża stołu...

- Co widzisz u podnóża stołu?

Teo przybliży zdjęcie do mojej nocnej lampki i ociera policzki wierzchem dłoni.

- Nie wiem, może ubranie, stosik ubrania.

Tak, stosik czegoś, co roztapia się w tle coraz głębszych cieni, aż po rozedrganą ciemność, z której wybija się biała zjawia zabitego dziecka.

- Czemu nie dałeś tego policji?

- Żeby złapali faceta, który zabił to ścierwo? Mowy nie ma!

- Ale to był przypadek, Teo, to mogłeś być równie dobrze ty.

Ledwie wymówiłem to zdanie, a już w nie do końca nie wierzę.

- Przypuśćmy, że nie chcę, żeby przypadek szedł do więzienia, Ben.

- Zostaw to zdjęcie tutaj, nie noś go przy sobie. Po wyjściu Tea chowam zdjęcie do szuflady nocnego stolika i zasypiam. Jak kamień, który spada. Spadając niżej natykam się na coś w rodzaju goryla z pyskiem jak krematorium, pichci potrawkę z małych dzieci, które skwierczą w piecu. I potem wkraczają gwiazdkowe potwory. Gwiazdkowe potwory...

TWARZĄ W TWARZ ZE ŚMIERCIA!, krzyczą nazajutrz tytuły na pierwszych stronach gazet. Pod nimi cztery powiększenia fotografii z automatu, które pochłaniają całą stronę. (Rety, ten aparat naprawdę funkcjonował!) Cztery ostatnie ujęcia z bliska profesora Leonarda.

Jest wręcz bardziej niż łysy, z ogoloną głową i wyskubanymi brwiami. Ma wysokie, gładkie czoło, wystające łuki brwiowe, spiczaste uszy, mocną szczękę pod mięsistymi polikami, bladą cerę, ale może to sprawa światła. (Znowu wrażenie, że już przedtem gdzieś tę twarz widziałem.) Na pierwszym zdjęciu głowa jest lekko odchylona do tyłu, a wąskie usta bez warg sprawiają wrażenie blizny. Pod ciężkimi powiekami spojrzenie jest ponure, zimne, całkowicie pozbawione wyrazu, niepokojąco głębokie. Całość nieruchoma, nie na skutek braku naturalnej ekspresji, ale na skutek świadomej decyzji, żeby nic nie wyrażać. Na drugim zdjęciu całe to potężne gmaszysko złożone z mięśni i tłuszczu wydaje się poddawać ogólnym drganiom, powieki unoszą się, ukazując tęczęwkę przeszytą absolutną czernią źrenicy, nieodparcie przyciągającą wzrok. Usta rysują się w grymas, grymas żłobi dwa wgłębienia, w które zapada się masa polików. Na trzecim zdjęciu twarz rozsypuje się. Łuki brwiowe się łamią, czoło i czaszka gwałtownie falują, tęczęwki wchłaniają źrenice, twarz dzieli po przekątnej pęknięta dziura ust, policzki są jakby wessane, coś na kształt sztucznej szczęki wyskakuje do przodu, wszystko jest płynne. Ostatnia fotografia przedstawia go nieżywego. A przynajmniej to, co z niego zostało. Musiał po wybuchu zwalić się na kręcony taboret. Widać tylko lewy oczodół, pusty i krwawy. Część skóry z głowy jest zdarta.

Moja własna głowa nie miewa się lepiej w dłoniach Klary, która mnie pielęgnuje.

- Ostrożnie z tymi kompresami, czuję się jak karczoch gotowany na parze.

- Są ledwie letnie, Beniaminie.

Kiedy moja siostrzyczka nazywa mnie Beniaminem, to znaczy, że jest poruszona. Jakby wydłużała imię, żeby pohamować zalew czułości.

- Urządzili ci łepetynę na cacy, wiesz!

- Gdybyś dopiero zobaczyła w środku... Co myślisz o tych czterech zdjęciach?

Klara pochyła się nad gazetą i podaje swoją odpowiedź, techniczną, precyzyjną, odpowiedź podyktowaną przez jej oko:

- Myślę, że dziennikarze brednie wypisują. Ten człowiek nie patrzy w twarz swojej śmierci (zresztą bomba nigdy nie zabija na cztery takty) tylko na coś innego, coś, co trzyma na końcu wyciągniętej ręki, tuż poniżej obiektywu.

(Ano tak, Klameciku, tak, tak...)

- Wygląda, jakby dekompozycja twarzy dokonana się przed wybuchem, Ben.

(Tak, tak, tak.)

- Co do wyrazu, to nie jest to wyraz bólu, ale rozkoszy.

W tym momencie przyglądam się mojej siostrzyczce dłużej. Potem piję maluśki łycalek kawy, który powoli się we mnie rozplywa, zanim spytam:

- Powiedz mi, gdybyś zobaczyła straszne zdjęcie, przerażające, coś, na co naprawdę nie można patrzeć, co byś zrobiła?

Wstaje, wkłada do torby gruby podręcznik literatury Lagarda i Micharda, bierze kask od motorynki, całuje mnie ostrożnie i, na progu, przed samym wyjściem, odpowiada:

- Nie wiem, chyba bym je sfotografowała.

O piątej po południu, wraz z nadejściem Teresy, pojmuję, co mi przypominało uroczo zjadliwe oblicze profesora Leonarda, to uczucie déjà vu...

- To on, Ben, to on, on!

Teresa stoi przede mną i Juliuszem, z gazetą w ręku, cała drżąca. Jej głos wibruje przerażonym podnieceniem. Co zawsze zapowiada wybuch. Najłagodniej jak umiem, pytam:

- Jaki on?

- On - krzyczy podając mi książkę, którą wyciągnęła ze swojej biblioteki:

- Alister Crowley!

(Aha, Alister Crowley, sławny angielski mag, dobry kumpel Belzebuba: Leamington 1875 - Hastings 1947, znam...)

Książkę otworzyła na fotografii, która jest kropka w kropkę podobna do pierwszego z czterech ujęć Leonarda. A w każdym razie bardzo podobna. Pod zdjęciem następujący podpis: Bestia, 666, Alister Crowley.

A na stronie obok tekst spowity wyziewami siarki:

Jedynym prawem: czyń, co zechcesz. Albowiem każdy człowiek jest gwiazdą. Ale większość o tym nie wie. Nawet najzatatardzialszy ateusz jest bękartami chrześcijaństwa. Jedyny, który ośmielił się powiedzieć: "Jestem Bogiem", umarł w szaleństwie, kołysany przez swoją mamusię, uzbrojoną w krucyfik. Nazywał się Fryderyk Nietzsche. Inni człekokształtni naszego XX wieku zastąpili sobie Chrystusa Mamonom, a święta - wojnami światowymi. Są całkiem dumni z tego, że upadli niżej niż ich poprzednicy. Po karłach wzniosłych oto karły odrażające. Po rządach ludzi nadto ludzkich - dyktatura podludzi...

- On nie umarł, Ben, on nie umarł, on się ponownie wcielił!

Gotowe. Wystartowaliśmy.

- Uspokój się, malutka. Jest dokumentnie nieżywy. Załatwiony w fotoautomacie.

- Nie, jeszcze raz wykorzystał pozory śmierci, żeby tym sprytniej wypłynąć gdzie indziej i kontynuować swe dzieło.

(Przebiega mi przez głowę myśl o zdjęciu z przebłyskami martwego ciała: "Dzieło!" Czuję, że zaraz się naprawdę zdenerwuję.)

- Ben, popatrz, kazał na siebie mówić "Leonard".

Tu jej krew, jej głos odpływają pod wpływem bladego strachu. Gazeta wypada jej z rąk, jak w jakimś filmie, i Teresa powtarza:

- Leonard...

Juliusz wywała ózór.

- Tak, nazywał się Leonard, no i co z tego?

Stało się, nerwy mam jak postronki.

- No i to z tego, że tym imieniem nazywano na sabatach Diabła. Diabła, Ben! Mamona! Lucyfera!

Stało się, jestem wściekły.

Podnoszę się spokojnie z książką Crowleya w rękę, zielonym tomem oprawnym w skórę, z wytłoczonym złotym znakiem, rodzaj opowieści "z tej ziemi" (pozwoliłem, żeby Teresa zgromadziła tego całe stopy - "pouczające", niech to szlag!), rozrywam ją bez słowa i posyłam precz w dwa końce mieszkania. Po czym łapię moją biedną siostrę Teresę za ramiona, potrząsam nią najpierw łagodnie, a potem coraz gwałtowniej, tłumaczę z początku spokojnie, a później coraz bardziej histerycznie, że wchłonąłem już wystarczającą porcję jej astro-wróżbiarskich idiotyzmów i jej tanich satanizmów, że nie chcę nigdy więcej nic o tym słyszeć, że to jest "pożałowania godny" przykład dla Malca ("pożałowania godny", tak powiedziałem, "pożałowania godny"), że sprawię jej najpotężniejsze baty, jakie w życiu dostała, jeżeli jeszcze raz znowu zacznie, jeszcze choć jeden *raz*, rozumiesz, cholerna palantko!

I jakby tego nie było dosyć, rzucam się na jej bibliotekę, zmiatając z niej obydwoma rękami całą zawartość: książki, amulety i posążki wszelkiej maści przelatują nad Juliuszem ze świstem i roztrzaskują się o ściany na kawałki polichromowanego gipsu, aż w końcu sama Jemanja transwestytów frunie, by wyzionąć swego brazylijskiego ducha u stóp skamieniałej Teresy.

Potem łąduję z moim psem na dworze. Na ulicy. Zasuwam jak opętany w kierunku szkoły Malca. Bezsensowne pragnienie, żeby wziąć go w ramiona, razem z jego różowymi okularami, opowiedzieć mu najpiękniejszą bajkę świata (żadnych nieszczęśliwych przygód ani z początku, ani pod koniec), i namyślam się nad tym idąc (niech będzie tylko łagodność, bez żadnych napięć), i nic nie znajduję, gówniana literatura jej mać, realizm od góry do dołu, tylko śmierć, potwory, jakieś przeklęte wróżki! Przechodnie odwracają się za szurniętym facetem z guzowatą głową w towarzystwie psa z wywalonym ozorem. Ale oni także nie znają żadnych idealistycznych bajek, ci przechodnie! I mają to gdzieś! I śmieją się tym swoim krwiożerczym śmiechem ignorantów, tysiąc-zębny śmiechem stada baranów!

Aż nagle wściekłość we mnie wygasa. Albowiem coś małego, okrągłego, zezującego zza różowych okularów rzuca się w moje ramiona.

- Ben! Ben! Pani nauczyła nas ślicznego wierszyka!

(Nareszcie! Trochę świeżego powietrza! Niech żyje pani!)

- Zadeklamujesz mi?

Malec obejmuje obiema rękami moją szyję i deklamuje mi śliczny wierszyk tak, jak deklamują wszyscy malcy na całym świecie, to znaczy jak poławiacz pereł, na jednym wdechu.

Był sobie raz mały statek,
Nań Ugolin, straszny tata,
Zabrał gromadkę swych dziątek
Ponoć w podróż dookoła świata.

Lecz gdy się zapasy skończyły,
Wampir znalazł odpowiedź łatwą,
By się dzieci nie niepokoiły:
Ani myślę wzgardzić swą dziatwą!
Zarządzono szybkie losowanie,
Które było czczą formalnością,

Miał drań bowiem jedno wymaganie:
Wciąż dogadzać swoim wnętrznościom.

I tak, ze stoickim spokojem,
Zjadł Ugolin dziatki swoje.
Myśleć o tym to udręka.
Serce mi pęka.

JULES LAFORGUE

Dobra. W porządku. Zrozumiałem. Na dziś dosyć. Do wyrka.
A mały, cały zachwycony, uśmiecha się zza swoich różowych okularów.
Uśmiecha się.
Zza różowych okularów.
Cały zachwycony.
Dzieci to głupki. Z aniołami podobnie.
Kładę się do łóżka - czterdzieści stopni jak nic. Totalny black-out. Całkowity zakaz wchodzenia dla wszystkich. Nawet dla Juliusza. Wobec uporu Klary doradzam jej sucho, żeby poszła raczej pocieszyć Teresę.

- Teresę? A co jej jest? Miewa się świetnie!

(Otóż to. Nigdy nie wyolbrzymiać przykrości wyrządzonej innym. Im zostawić tę przyjemność.)

- Klara! Powiedz swojej siostrze, że nie chcę więcej słyszeć o tej jej magii. Chyba że posłuży się nią, żeby mi podać wyniki najbliższych zakładów. W kolejności!

I tak nadchodzi godzina gorączkowej samokrytyki. Co z tobą, koleś? Pozwalasz, żeby młodszy brat kompletował szczegółowy katalog homoseksualnego podziemia, drugi zaniedbuje naukę i klnie jak szewc, a ty masz to gdzieś, nakłaniasz swoją anielską siostrzyczkę, żeby fotografowała jakieś najpotworniejsze potworności wtedy, kiedy powinna uczyć się do matury, druga ma od lat konszachty z gwiazdami za twoim cichym przyzwoleniem, nie jesteś zdatny nawet do tego, żeby coś poradzić Lunie, a fundujesz sobie nagle wielki moralny kryzys stulecia, minę inkwizytora, deptanie bogów i ekskomunikę całej ludzkości! Co jest? Co się dzieje?

Wiem, co jest. Wiem, co się dzieje. W moje życie wkroczyło pewne zdjęcie. Zła baśń stała się częścią rzeczywistości.

Gwiazdkowe Potwory...

Właśnie w chwili, kiedy czynię to ważne odkrycie, drzwi mojego pokoju otwierają się.
- Hm?

W progu stoi ciocia Julia. Na jej ustach błąka się uśmiech. Mogę w nieskończoność opisywać, jak się ubiera. Tym razem jest to wełniana kremowa sukienka z jednego kawałka, krzyżująca się na obfitości jej piersi. Ciężar materiału i ciężar ciała. Ciepło materiału przy ciepłe ciała. I ta elastyczna jędrność...

- Mogę?

I już siedzi u wezglowia łóżka, zanim zdążyłem wyrazić zdanie.

- Brawo. Ładnie cię urządzili koleżkowie!

Wyczuwam za tą wizytą Klarę ("może idź na górę zobaczyć, czy Beniamin nie umiera"),

- Coś złamane?

Dłoń, którą Julia przesuwa po moim czole, jest chłodna. Parzy ją, ale ręki nie cofa.

Pytam:

- Julia, co myślisz o potworach?

- Z jakiego punktu widzenia? Mitologicznie? Antropologicznie? Psychoanalitycznie?

Jako tematyka baśni? Czy pomieszać wszystko razem?

Nie mam ochoty na żarty.

- Przestań się wygłupiać, Julia, daj spokój z teoriami i powiedz mi co ty myślisz o potworach.

Jej błyszczące oczy zastanawiają się przez chwilę, potem szeroki uśmiech odsłania panoramę zębów. Pochyliła się nagle i tuż przy moim uchu szepce:

- Po hiszpańsku kochać mówi się "comer". Od gwałtownego ruchu jedna pierś wyskakuje z sukienki. A, dalibóg, skoro po hiszpańsku kochać to jeść...

Panie Malaussene, zależało mi, żeby z panem pomówić w obecności pańskich kolegów.

Sinclair wskazuje na Lecyfre'a i Lehmana, którzy stoją wyprostowani jak struna po obu stronach stołu.

- Aby pańska i nasza pozycja były całkowicie jasne.

Cisza. (Ciocia Julia i ja spędziliśmy właśnie trzy dni w łóżku. Dla mnie pozycja to rzecz całkowicie jasna.)

- To, że ktoś nie stoi po tej samej stronie, nie oznacza, że należy w ten sposób rozwiązywać problemy.

Lecyfre wypowiada to stanowisko z całą sympatią, do jakiej jest zdolna jego antypatia. (Na mojej skórze czuję jeszcze palce i włosy Julii.)

- Co nie znaczy, że jak dorwę kogoś z tych drani...

Teraz mściwie odzywa się Lehmann. (Kiedy ja odyskiwałem moc, ona popadała w rozkoszną niemoc.)

- Taka napaść to skandal, panie Malaussene, całe szczęście, że nie złożył pan skargi, bowiem w przeciwnym wypadku...

(Jaka jesteś piękna! Jaka piękna! O mój zachwycający aniele! Moje pożądanie skakało jak wóz Haminababa.)

- Na szczęście widzę, że pan już całkowicie wrócił do siebie. Naturalnie, są jeszcze ślady na twarzy...

(Trzy dni. Zaraz, trzy dni pomnożone przez dwanaście to daje trzydzieści sześć. Tak. Co najmniej trzydzieści sześć razy.)

- Dzięki temu będzie pan wiarygodniejszy w oczach klientów!

Ta ostatnia uwaga Sinclaira wywołuje śmiech pozostałych. Budzę się i dołączam. Na wszelki wypadek.

A więc powrót do pracy po czterech dniach zwolnienia chorobowego. Powrót do pracy pod okiem ludzi-kamer Coudriera. Gdziekolwiek się ruszę w tym cholernym Domu Towarowym, czuję na sobie ich oczy. A ja ich nie widzę. Bardzo przyjemne. Cały czas rzucam we wszystkich kierunkach ukradkowe spojrzenia, nic. Ci dwaj znają się na swojej robocie. Dziesięć razy na dzień oglądając się za siebie, wpadam na klientów. Ludzie gderają, a ja zbieram rozsypane paczki. Potem "pan Malaussene jest proszony do działu reklamacji". Pan Malaussene idzie. Pan Malaussene wykonuje swoją pracę, oczekując z pewną niecierpliwością dnia, kiedy zostanie zwolniony: publikacja cioci Julii spóźnia się. Schodząc od Lehmana wstępuję do księgi, gdzie wyszukuję egzemplarz Alistera Crowleya, identyczny z tym, który podarłem. Stary Risson sprzedaje mi go po długim, pełnym dezaprobaty kazaniu. Całkowicie się z nim zgadzam, moja biedna Tereso, to nie jest literatura, ale nic, mimo wszystko naprawię szkodę, poproszę także Tea, żeby mi przyniósł nową Jemanję.

(Słyszę śmiech Julii: "Nigdy nie będziesz miał nic na własność, Beniaminie Malaussene, nawet swoich wybuchów gniewu." Potem, trochę później w nocy: "No i w końcu

ja też ciebie chcę. Jako lotniskowca. Będziesz moim lotniskowcem? Wyląduję od czasu do czasu uzupełnić zapasy rozsądku." Ląduj, moja miła, i wzlatuj, jak często zechcesz. Pływam teraz po twoich wodach.)

Nie tylko niewidzialne kamery komisarza Coudrier na mnie patrzą, ale cały Dom Towarowy gapi się na moją gębę w kolorach tęczy. To czyni razem nawet sporą ekipę gapiów. Nie widzę Cazeneuve'a. Dłuższy urlop zdrowotny? Poczęstowałem go tym buciorem! Sperma musiała mu trysnąć uszami. Żałuję, Cazeneuve, szczerze żałuję. (W mojej głowie znowu śmiech Julii: "Od dziś będę cię nazywała «nadstaw drugi policzek».") Ale gdzie, u licha, podziewa się tych dwóch gliniarzy? "Pan Malaussene jest proszony do działu reklamacji..." Idę już, idę.

A następnie złożę wizytę pannie Hamilton, żeby sprawdzić, jak działa mój generator pożądanego, od kiedy naprawę poznałem ciocię Julię.

U Lehmana klientka wrzeszczy. Dezodorant z rozpylaczem eksplodował niczym granat w jej delikatnej dłoni, która przybrała rozmiary rękawicy bokserskiej. Piękny występ Lehmana na temat' moich "zbrodniczych zaniedbań". Ale klientka nie wycofuje skargi, a nawet, gdyby tylko mogła wbić mi obcasy w żalony kalafior, który mam zamiast twarzy... (Takie jest życie, Lehmann, mój stary, nie można za każdym razem wygrywać.)

Więc po pyskówce wpadam na małe dzień dobry do panny Hamilton. Sprawdzić, czy jej okrągłości działają na mnie pod kątem prostym, czy też Julia już definitywnie zajęła swoje miejsce w moim ogrodzie biblijnej żywotności. Wspinam się po schodach i "a kuku, panieczek!" Miss Hamilton siedzi do mnie plecami, pochłonięta malowaniem paznokci lakierem przezrystym jak jej głos. Jej uniesiona pod światło dłoń ukazuje paznokcie jak obłoczki. Ale wszystkie lakiery pachną tak samo i jedno spojrzenie na tę sztuczną piękność wystarcza, żeby mnie upewnić, że to nie to co Julia. Odchrząkuję jednak. Miss Hamilton się odwraca. Boże na niebiosach! Boże Jedyny! Wygląda identycznie jak ja! Mimo makijażu, który nie zdaje się na nic, dwa upiorne kotyliony zasłaniają oczy do połowy. Górna warga jest pęknięta i spuchnięta tak, że prawie zatyka nos. Słodki Jezu, kto ją tak urządził? Odpowiedź dźwięczy w mojej głowie równie wyraźnie jak rzucona na talerzyk moneta, z coraz większą oczywistością, na którą nic nie można poradzić. To ty, imbecyłu, ty, łajdaczyno, ty ją tak urządziłeś, kobiece ciało na chodniku należało do niej!

Trzeba mi dobrej chwili, żeby się otrząsnąć. Kto też nakładł jej do głowy: Malaussene "przyczyna sprawcza", Malaussene "wyjaśnienie", Malaussene Kozioł Bombardier? Kto? Cazeneuve? Lecyfre? I czemu im uwierzyła? A ja myślałem, że mnie autentycznie lubi! Brawo za przenikliwość, Malaussene. Brawo! Prawdziwy jednooki król w królestwie ślepych. To twoja wina! Twoja i tej brudnej roboty! Twoja, koźli smrodzie!

Patrzymy na siebie z miss Hamilton przez dobrą chwilę, niezdolni wykrztusić ani słowa, potem dwie małe łzy spływają po rumowisku jej twarzy, a ja uciekam jak zdrajca po rzezi bezbronnych ofiar.

Mam potąd! Mam potąd, potąd, potąd, potąd! (Mam mniej więcej potąd...)

Stoził! W tym stanie ducha potrzebny mi jest Stoził. Albowiem w kwestii rozczarowań Stożilković jest kimś, kto poznał je wszystkie. Wszystkie. Najpierw Pan Bóg, w którego wierzył bez zastrzeżeń i który wyslizgnął się z jego duszy jak po mydle, pozostawiając ją na

oścież otwartą na wiatr Historii. Następnie wojenne bohaterstwo i jego absurdałna symetryczność. Potem, po rewolucji, świętoszkowaci, otyli Towarzysze. Wreszcie trędownata samotność wykluczenia. W ciągu jego długiego życia wszystko nawaliło. Co pozostało? Szachy, a i tu mu się trafi, że przegra. Więc? Poczucie humoru. Poczucie humoru, ten elementarny przejaw etyki.

Spędzam tedy część nocy ze starym Stożilem. Ale nie ma mowy o przestawianiu klocków, nie wchodzi w grę. Znadto potrzebuję, żeby do mnie pogadał.

- Zgoda, mały, jak chcesz.

Z ręką na moim ramieniu wyrusza w obchód po Domu Towarowym. Prowadzi mnie od piętra do piętra i swoim pięknym, dudniącym podziemnie głosem opowiada mi o najdrobniejszych przedmiotach (szybkowarach, puszkach z potrawką, koszulkach nocnych, schodach, książkach, oświetleniu, sztucznych kwiatach, perskich dywanach) na modłę historyczno-mistyczną, jak gdyby chodziło o wielki pomnik skondensowanej cywilizacji, zwiedzany przez dwóch Marsjan obezwładnionych widokiem tyłu mądrości.

Po czym ustawiamy pionki na szachownicy. Jednak się nie oparł. Ale to będzie taka partia do śmiechu, gadana, podczas której Stożił dalej sobie pomonologuje swoim odległym natchnionym basem. Aż dojdziemy (Bóg wie jaką drogą) do Kolii, tego młodego zabójcy Niemców, który oszalał pod koniec wojny.

- Jak ci już mówiłem, opracował tysiące sposobów zabijania. Był oczywiście ten numer z towarzyszką w ciąży i z wózkiem, ale potrafił także wślizgnąć się niektórym oficerom do łóżka. (U hitlerowców nie tylko w SA byli tacy, co lubili anielskie bużki.) Albo aranżował niespodziewany wypadek, rusztowanie się zawalało, odpadało koło w samochodzie i różne takie. Najczęściej śmierć, której był sprawcą, przybierała charakter przypadkowy, przez niefart, jak to się u was mówi. Dwóch oficerów, z którymi jawnie sypiał (taki bałkański Lorenzaccio, jak widzisz), umarło na atak serca. Nie wykryto żadnych śladów trucizny, żadnych śladów przemocy. Z miejsca inni oficerowie jęli go bronić przed dociekaniem gestapo. Wszyscy mieli na niego ochotę, i tym sposobem torowali drogę własnej śmierci. Musieli niejasno zdawać sobie z tego sprawę, gdyż przezywali go ze śmiechem: LEIDEN SCHAFTSGEFAHR.

- To znaczy?

- "Niebezpieczeństwa namiętności", bardzo w niemieckim stylu, jak widzisz, w stylu Heidelbergu. I tak stopniowo stał się anielskim wcieleniem śmierci. Nawet dla naszych, którzy z trudem wytrzymywali jego spojrzenie. Przypuszczam, że to także przyczyniło się, że dostał obłądu.

Wcielenie śmierci. Przez moją głowę przelatuje jak błyskawica małe zdjęcie, napięte mięśnie Leonarda, spiczasta, połyskliwa czaszka, nóżki martwego dziecka, więc pytam:

- Nigdy nie używał środków wybuchowych?

- Czasami bomb, tak. Piękna tradycja maksymalistów.

- Więc zabijał niewinnych? Przechodniów?

- Nigdy. To była jego obsesja. Wymyślił system bomb kierunkowych, później udoskonaliły go służby rosyjskie i amerykańskie.

- Bomb kierunkowych?

- Zasada jest prosta. Robisz maksimum hałasu przy minimum zniszczenia. Bardzo

głośny wybuch po to, żeby posłać pocisk ukierunkowany precyzyjnie na cel.

- Co to daje?

- Wygląda na ślepy zamach, podczas gdy ofiara jest dokładnie wybrana. W razie dochodzenia pierwsza rzecz: mówi się o przypadku. Równie dobrze mógłbyś to uczynić ty albo ja, albo, zważywszy na hałas, jakieś dziesięć osób. Na ogół Kolia eliminował w ten sposób kolaborantów, Jugosłowian, których zabijał wśród tłumu.

Na jakiś czas Stożil wraca do szachów. Potem, z typowym dla gracza zastanowieniem:

- I jeżeli cię interesuje moje zdanie, facet, który działa teraz w Sklepie, postępuje tak samo.

Przypuśćmy. Przypuśćmy, że nasz podkładacz bomb nie zabija przypadkowo. Ofiary są wybrane. Zmylona policja sądzi, że zabójca to szaleniec. W jej mniemaniu tylko hit szczęścia chroni klientelę od masakry. Zresztą raz zamiast jednej zginęły dwie osoby. Założmy więc, że gliny się pogubiły i idą śladem wariata zabijającego na oślep. Chociaż ich laboratoria na pewno dobrze te bomby zbadały. Ale w porządku, przyjmijmy, że nie doszli do żadnego zadowalającego wniosku. Pytania: Jeżeli zabójca zna swoje ofiary i sprząta je, jedną po drugiej,, to: 1) Dlaczego wyłącznie na terenie Sklepu? Zastrzeżenie: może także zabija gdzie indziej, bez twojej wiedzy. Zgodna, ale to mało prawdopodobne. Cztery ofiary w jednym miejscu bardzo taką hipotezę osłabiają. 2) Jeżeli zabójca zna swoje ofiary i kolejno je likwiduje, to znaczy, że one go nie znają? Prawdopodobne. 3) Jeśli jednak te potencjalne truposze znają się między sobą, to czemu uparcie przychodzą robić zakupy w tym właśnie Domu Towarowym? Zdaje mi się, że gdyby trzech moich kumpli dało się tu wysadzić w powietrze, raczej bym tej prochni unikał. Wniosek: ofiary nie znają się między sobą, lecz zabójca zna każdą z osobna. (Szykowny facet, który potrafi zdobywać przyjaciół we wszystkich środowiskach.) Niech będzie. Od razu powrót do pierwszego pytania: dlaczego rozwała je wyłącznie w obrębie tego Domu Towarowego? Czemu nie w wyrku, nie na czerwonych światłach albo u stałego fryzjera? Na razie brak odpowiedzi na to pytanie. Przechodzimy zatem wprost do pytania numer 4. Jak sobie radzi z wniesieniem petard do Sklepu, gdzie gliny obmacują wszystkich w dzień i nieustannie krążą w nocy?! Że już nie wspomnę o stróżu Stożilkoviću. Jest odpowiedź? Nie ma odpowiedzi. Dobrze, pytanie numer 5: CO MNIE DO TEGO? No bo fakt, za każdym razem kiedy coś odpala, ja jestem na miejscu. I za każdym razem wychodzę cało. Nagle zimny pot, eliminacja pytań numer 1,2,3 i powrót do roboczej hipotezy komisarza Coudrier. Zabójca nie zna żadnej ze swoich ofiar. Ma coś do mnie i tylko do mnie. Chce mnie umoczyć po dziurki w nosie. Śledzi mnie więc ustawicznie, a kiedy tylko trafia się okazja, buum! wysadza w powietrze kogoś, kto znajduje się obok. Jeżeli jednak ma do mnie tak straszną pretensję, że mnie pakuje w tak potworną kabałę, to czemu nie podłoży prochu właśnie pode mnie? To byłoby bardziej skuteczne, nie? A zresztą, w takim wypadku, kto by to miał być, ten facet? Tutaj czarna otchłań w pamięci. Nic nie widzę. I znowu powrót do pytania number One: dlaczego zabójca dybie na mnie tylko wewnątrz Sklepu? Czemu ludzie nie padają, mijając mnie na ulicy, czemu nie wylatują w powietrze, siadając naprzeciwko mnie w metrze? Nie, to jest związane ze Sklepem. Jeżeli jednak wszystko wiąże się z moją obecnością w Sklepie, to wystarczy mi go opuścić, a cała ta zabawa w rzeź się skończy, nieprawdaż? Stąd pytanie numer 6: Czemu komisarz Coudrier zgadza się, bym nadal przebywał w tej zatrutej atmosferze? Dla samej satysfakcji dorwania przestępcy, który jest tak samo szczywany jak on? Całkiem możliwe. Zawzięty na spokojnie, ten Coudrier. Ktoś mu rzuca wyzwanie, no to on podejmuje wyzwanie. Zwłaszcza że nie o jego skórę chodzi. Dobry i zły rozgrywają partyjkę na najwyższym poziomie. Na razie zły prowadzi cztery do zera.

Tego to rodzaju pytania zadaje sobie Benjamin Marlowe alias Sherlock Malaussene,

czyli ja, jednocześnie w zamyśleniu pozwalając by spodnie zsunęły mu się do kostek. Pomimo zapachu Juliusza-Wisi- Jęzora w moim pokoju czuje się jeszcze perfumy cioci Julii ("Jesteś naprawdę przesiąknięty rodzinnymi uczuciami, Beniaminie. Jesteś zakochany w twojej siostrze Klarze od jej urodzin, ale ponieważ moralność zabrania ci kazirodztwa, kochasz się z inną, którą przeżywasz ciotką.") Zapach perfum wisi w powietrzu, a ja się uśmiecham. ("Czym byłby świat, gdybyś przestała go objaśniać, ciociu Julio?") Oko Juliusza śledzi kolejne etapy mojego samotnego striptizu. Leży w nogach łóżka. Teraz już nigdy nie wita mnie, rzucając się mi na piersi. Nie podskakuje na propozycję wspólnego spaceru. Obwąchuje zupę, zanim ją wychłepce. Spogląda na wszystko okiem pełnym mądrości. W swojej podróży w Epilepsję spotkał się z Dostojewskim, a Fiodor Michajłowicz wszystko mu wytłumaczył. Teraz nasz stary Juliusz zgrywa dojrzałego. Dziwne wrażenie. Tym bardziej że zwisający język nadaje mu wygląd kogoś, kto już na zawsze pozostanie dzieckiem. Tylko ten smród. Mógłbym może wykorzystać jego świeżo nabytą mądrość i nauczyć go myć się samemu... hej, Juliusz, co o tym myślisz?

Podnosi ku mnie znudzone oko, w którym czytam, że najwyższa psia mądrość polega na tym, żeby nigdy się nie myć.

- Jak chcesz...

Lulu. Męczący dzień w końcu. Który jednak, zanim osunę się w bety, ma dla mnie w zanadru jeszcze jedną niespodziankę. Odkrywając narzutę, znajduję kartkę listowego papieru wsuniętą pod Jasiek. Trzymajmy się. Jaki też charakter mieć będzie ta niespodzianka? Wyznanie miłosne czy wyzwanie wojenne? Biorę to między kciuk i palec wskazujący, przybliżam do lampy i widzę pismo Teresy, która od sławetnej burzy nie odezwała się do mnie ani słowem. Pismo jak u sierżanta, doskonale wykończone, całkowicie bezosobowe, można by przysiąc, że to dzieło nauczyciela kaligrafii z czasów Trzeciej Republiki. Niepokój. Potem uśmiech. Teresa przysłała mi znak pojednania. Z poczuciem humoru, które mnie u niej dziwi, podaje mi typy na najbliższą gonitwę. A więc Klara potraktowała to, co mówiłem, dosłownie.

Mój drogi Ben, to będzie 28,3,11 albo 7, z bardzo dużym prawdopodobieństwem na 28. Całuję Cię, Teresa, Twoja kochająca siostra.

OK, Teresa. Zaraz jutro postawię na te trzy numery. Jeżeli Klara sprzeda w końcu swoje zdjęcia, a Teresa raz na rok podrzuci nam wynik zakładów, będę mógł prowadzić cudowne życie rencisty... (W gruncie rzeczy mam tylko jedno pragnienie: Uczynić rodzinę dochodową. Ja się nie poświęcam. Ja inwestuję.)

Ot co. Zасыpiam. Po to, żeby się natychmiast obudzić. Podstępny łańcuch pytań, początkowo pozornie niegroźnych, potem coraz bardziej precyzyjnych, zapala w moim umyśle alarmowe światełka. Całkowicie jasna świadomość. Myślę o fotografii spoczywającej w szufladzie mojego nocnego stolika. Nie w aspekcie zgrozy tym razem. Nie, myślę o niej jak o poszlace. Jedynej poszlace. Którą Teo chce ukryć przed policją. Nie chciałbym zawieść Tea, ale trzeba mu będzie wytłumaczyć, że gramy to niebezpieczną grę. Ile to się dostaje za ukrywanie poszlak? Utrudnianie śledztwa, może współdział? Teo, Teo, trzeba dać glinom to zdjęcie, jeżeli nie chcesz nas pograżyć. Dwutlenek węgla i pełzające opary ołowiu tego poczciwego miasta są mi drogie, nie chcę zostać ich pozbawiony. W takim jednak razie czemu ja sam schowałem to zdjęcie? Żeby on nie miał kłopotów, kiedy wróci do domu? Nie tylko. Wziąłem je, żeby się bliżej przypatrzeć. Coś wyczułem. Z właściwą mi intuicją. Moją słynną

intuicją: tą, która podyktowała mi rozpoznanie namiętności w miss Hamilton. (Mamma mia...)
Wyciągam tedy zdjęcie z szuflady i przyglądam mu się z bardzo bliska. Nie zauważyłem, że prawa nóżka dziecka jest obcięta i tkwi w lewym ręku Leonarda! A poza tym, co też to naprawdę może być, ten stosik u podnóża stołu? Stos ubrań? Nie zgadzam się, Teo, to jest coś innego. Ale co? Nie mam pojęcia. Teraz cień w głębi. Widoczny tu i ówdzie, przetykany głębszymi cieniami! Boże mój, cała ta ciemność... i ten przebłysk okaleczonego ciała!

Z dłońmi zaciśniętymi na karabinach funkcjonariusze Lotnej Brygady wskoczyli do swych pancernych ciężarówek. Dało się słyszeć trzaskanie drzwiami, potem przeciągły, ostry gwizd i wyjące sygnalizatory wypadły z czeluści garaży. Motocykliści już byli na czele, wyprostowani w strzemionach, wypięci do tyłu jak huzarzy w szarży. Paryż uciekał im spod nóg. Oszalone samochody wspinały się na chodniki, przechodnie wskakiwali na ławki. Trzy remizy spuściły z uwięzi swoje czerwone straszdyła, których chromowania były bardziej krzykliwe niż dźwięk syren.

Odezwało się też przeciągłe białe wycie karetek i szum śmigieł helikopterów tnących gęste powietrze stolicy. Z kolei okrągły gmach Telewizji wypuścił swoje sfory - radiowozy i samochody zbrojne w anteny - wkrótce zdublowane przez kolegów z prasy w służbowych samochodach i frajerów ze stacji niezależnych na prywatnych motorynkach. Wszystko to zmierzało koncentrycznie na południe, pod wpływem jak najbardziej zawodowego podniecenia. Na placu Włoskim furgonetka wyskakująca z bulwaru Szpitalnego palnęła w wóz strażacki pędzący od bulwaru Gobelinów. Ani błękitni, ani czerwoni nie byli górą, za to mieli po tyle samo kasków rozsypanych po asfalcie. Karetka zrobiła porządki i wróciła, skąd przyjechała.

Autostrada południowa: wyjący konwój tworzył coś w rodzaju leja, wsysając za sobą całą armię ciekawskich, ogromny tłum świetnie się mających amatorów krwi, którzy też zaczęli wygrywać na klaksonach, jakby jechali na wesele. Pozostało do przebycia siedemnaście kilometrów, pokonanych na jednym wdechu, w mgnieniu oka. Zanim się człowiek zastanowił, już był na miejscu, takie wisiało napięcie w powietrzu. SAYIGNY-SUR-ORGE. Tam się to działo. Dokładniej mówiąc, w ślicznym domku całym w różach nad brzegiem Yvette. Zamknięte okiennice, dookoła zupełna pustka, zapach śmierci. Cisza oczekiwania. Cisza, w którą wkradają się cienie strzelców wyborowych, ukrytych za samochodami albo na starym dachu, albo za plandeką ciężarówki. Każdy połączony z dowódcą nitką walkie-talkie, palce na spuście strzelby z lunetą, nie całkiem człowiek, raczej tylko spojrzenie i kula. Komentator telewizyjny, który do tej pory nadawał w rytmie sprawozdania z meczu piłki nożnej, mówi teraz szeptem, na jednym oddechu, że właśnie tutaj, wewnątrz tego ślicznego domu z ukwieconymi balkonikami, zabarykadował się zabójca z Domu Towarowego najprawdopodobniej ze swym starym ojcem jako zakładnikiem - dom nafaszerowany środkami wybuchowymi w ilości wystarczającej, żeby wysadzić całą miejscowość, toteż opróżniono teren w promieniu trzystu metrów.

W Domu Towarowym obraz ślicznego domku był podłączony pod kolorową wibrację ponad stu ekranów. Cisza. Wszyscy pracownicy i klienci, stojący bez słowa, z nieruchomym wzrokiem, zgromadzili się w sali odbiorników telewizyjnych. Cztery ściany, wytapetowane przez ten sam obraz, obiecywały epilog godny ich oczekiwań. Dwudziesta dwanaście. Wszystko zaczęło się o dwudziestą zero zero. Policja postanowiła pokazać operację bezpośrednio, w godzinie dziennika, na wszystkich programach, poinformowano je o tym jeszcze przed rozpoczęciem działań. Albowiem podejrzany był od dawna podejrzewany. Czemu wcześniej go nie zatrzymano, zapytywał szept komentatora. Odpowiadał sam-sobie:

trzeba gromadzić poszlaki aż do chwili, gdy ich wiązka wystarczy, by sformułować domniemanie winy, co pozwoli na atak. Teraz opór podejrzanego był najbardziej jednoznacznym świadectwem przyznania się do winy. Winy, którą zresztą przed zabarykadowaniem się wykrzyczał całemu światu w twarz. Groził, że wysadzi dom przy najmniejszej próbie zajęcia go. Czekano zatem. Oczekiwanie. Oczekiwał zwłaszcza jeden człowiek, człowiek, na którym spoczywała odpowiedzialność za całą operację. Kamera odwróciła się na moment od ukwieconej fasady domku i prześlizgnęła po pasie ziemi niczyjej, by spocząć na nim, Człowieku, Który Czekał. Był to niski mężczyzna odziany w ciemną zieleń. W marynarkę, cokolwiek może za dużą, tak że wyglądała raczej jak surdut. Nosił Legię Honorową, a okrągły brzusek wypychał jedwabną kamizelkę w złote pszczoły. Jedna z dłoni, wsunięta między dwa guziki kamizelki, spoczywała na wysokości żołądka, podrażnionego zapewne owrzodzeniem odpowiedzialności. Drugą chował za plecami, chcąc być może ukryć skurcz palców.

Jego współpracownicy stali w pełnej uszanowania odległości. Nie był to przełożony, którego medytację można było bezkarnie przerywać. Z głową pochyloną jakby pod ciężarem rozważań siał spod brwi mroczne spojrzenia, koncentrujące się, jak łatwo było zgadnąć, na domku w kwiatkach. Ciężki czarny kosmyk w formie przecinka dzielił jego szerokie białe czoło.

Na co też czekał z rozkazem ostatecznego uderzenia komisarz okręgowy Coudrier? Po prostu czekał. Wiedząc z doświadczenia, że bitwy przegrywa się przez pośpiech. Wiedząc także, że dotychczas swoje sukcesy, swoją karierę, by nie wspomnieć o sławie, zawdzięczał wrodzonemu wyczuciu sprzyjających okoliczności. Uchwycić właściwy moment. Dokładnie ten moment. To jego jedyny sekret. Czekał więc. Pod okiem kamer, wśród uważnego milczenia współpracowników, twarzą do ukwieconego domku, czekał. Podano mu megafon, odmówił gestem. Nie był człowiekiem negocjacji. Lecz Oczekiwania. I Błyskawicznego Ruchu. Nagle za plecami Samotnego Człowieka poruszenie. Nie odwrócił się. Peugeot 504, kabriolet, 6 cylindrów w V, różowy i pokryty wybrzuszeniami, groźny jak żbik, rozcinał tłum dziennikarzy i policjantów. Na wysokości Samotnego Człowieka znieruchomiał. Dwu mężczyzn wyskoczyło, nawet nie tykając drzwi, które pozostały zamknięte. Podwójny koci skok. Kiedy szli w kierunku dowódcy, kamera objęła ich twarze. Mniejszy był paskudny jak hiena. Większy był olbrzymem bez włosów, z wyjątkiem pary baków, które jak dwa wykrzykniki znaczyły jego potężne szczęki. Pierwszy był ubrany jak włóczęga, drugi jak gracz w golfa.

- Dżib Hiena i Pat Bako!

- Racja, dzieciaki.

- Gorszy niż Eddie Trumna i niebezpieczniejszy od Drewnianego Czecha!

- To właśnie oni, Jeremiaszu, rozpoznałeś ich.

- No i?

- No i co?

- No i co dalej?

- Dalej będzie jutro o tej samej porze.

- No nie, kurczę, Ben, jesteś wstrętny!

- Słucham?

- Opowiadaj dalej, nie możesz nas tak zostawić!

- A chcesz, żebym zrobił małą inspekcję w twoim zeszycie, żeby ci pokazać, jaki

naprawdę jestem wstrętny?

(Coś ty... niepewność.)

Potem Jeremiasz odwraca się do Klary: (Ta jego zdolność uśmiechania się w razie potrzeby, jak wtedy, gdy miał pięć lat!)

- Klara, ty mu powiedz.

Głos Klary:

- Ben, no...

No tak, niczego więcej nie trzeba, żeby rozpadł się w proch ostatni bastion mojego autorytetu.

- No więc mniejszy i brzydszy z dwu inspektorów (nie sposób rozeznąć, który był straszliwszy) pochylił się do ucha Samotnego Człowieka. Coś poszeptał i cień uśmiechu przemknął po twarzy Szefa. Cień, w którym dało się jednak wyczytać pewność zwycięstwa. Wystarczyło, że komisarz okręgowy Coudrier podniósł rękę, strzelił palcami, a wiemy Caregga wyskoczył jak sprężyna z magicznej skrzynki gorliwości.

Przez chwilę wszystkie ekrany zmały się. Potem głowa komentatora pojawiła się ponownie. Oblężenie domu zapowiada się na dłużej, wyjaśnił, proponuje więc telewizjom, by wysłuchali doktora Pelletier, światowej sławy psychiatry, który postara się skreślić obraz osobowości zabójcy. Komentator odwrócił się w stronę gościa, którego twarz zajęła miejsce na ekranie. Z punktu wszystkie francuskie panienki się wzruszyły, a także ich matki. Profesor Pelletier był zupełnie młodym człowiekiem - chyba że mieliśmy do czynienia z młodością zakonserwowaną dzięki wiedzy - bladym i kruchym, mówił łagodnym głosem o spokojnej modulacji, głosem przypominającym przez swą nadzwyczajną głębię głos nocnego strażnika Stożilkovića.

Najpierw uznał za swą powinność złożyć hołd wielkiej inteligencji zbrodniarza. W annałach zbrodni nie odnotowano, by ktoś tak długo zdołał utrzymać w szachu policję całego kraju, powtarzając tę samą zbrodnię tyle razy, w tym samym miejscu i tymi samymi środkami. Wypowiadając te słowa doktor Pelletier uśmiechał się tak spokojnie, że zapominało się, iż mówi o niebezpiecznym zabójcy. "Ponadto, w danym wypadku, inteligencja ta nie jest dla mnie niespodzianką - ciągnął dalej - gdyż znałem człowieka, o którego chodzi, przez długie lata dziecięce, z ławy szkolnej i nigdy nie zdołałem odebrać mu palmy pierwszeństwa. Oddawaliśmy się wówczas owemu zaciekłemu współzawodnictwu, jakie tylko szkoła potrafi rozbudzić, i w pewnym sensie mogę powiedzieć, że moją obecną pozycję społeczną temu właśnie współzawodnictwu zawdzięczam. Proszę więc nie oczekiwać ode mnie, bym wyraził osąd moralny o przyjacielu z dawnych lat. Zadowolę się, w miarę moich możliwości (które, nie wątpię, jeszcze dziś pozostają znacznie poniżej jego własnych), wyjaśnieniem podłoża jego pozornie bezsensownych czynów."

- Klara, poproszę o jeszcze jedną filiżankę kawy.

Wrzaski Jeremiasza i Malca:

- Później, Ben, dalszy ciąg, prosimy o dalszy ciąg!

- Chyba mogę wypić kawę, co? Nie pracujemy na akord! Zresztą, to już prawie koniec...

- Jaki koniec?

- Według ciebie, jak to się może skończyć?

- Roznieśli chałupę pociskami z bazooki?

- Właśnie, i to z wszystkimi materiałami wybuchowymi, które tam były, a Savigny zostało wymazane z mapy. Brawo, gliniarze!

- Weszli przez podkop.

- Nie można, mój mały, zastosować chwytu z podkopem kilkakrotnie w tym samym opowiadaniu, to by było nużące.

- Jak to, Ben? Skończ już tę kawę, dobry Boże!

- Stało się dokładnie to, co Pat Bako i Dżib Hiena przewidzieli w swoich przewrotnych głowach. Ten facet, zbrodniarz, nie był taki znowu szczywany. Nie noga stołowa, ale daleko mu było do tego supermózgowca, za jakiego go uważał profesor Pelletier. Kiedy więc usłyszał doktora, co go tak wspaniale przedstawiał w telewizji, odszedł oczywiście od okna, przy którym czatował, i zbliżył się do odbiornika. (Po błękitnych lśnieniach zza zamkniętych okiennic Dżib Hiena połapał się, że typek ogląda swoją własną apoteozę w telewizji.) I kiedy profesor PeHetier (taki z niego psychiatra jak ze mnie, nawiasem mówiąc, ale dobry kumpel naszych dwóch gliniarzy z czasów szalonej młodości), kiedy więc domniemany psychiatra zaczął opowiadać, że byli kolegami w szkole, że go tak strasznie podziwia i tym podobne rzeczy, tamten jął sobie łamać głowę, zastanawiając się: 1) w którym to było roku, 2) jak to się stało, że zapomniał o tak dobrym kumplu. Fatalne dwa pytania, dzieciaki, gdyż jeszcze rozmyślał nad odpowiedzią, kiedy kaliber trzydzieści osiem Pata Bako został przystawiony do jego karku. A nawet sędzę, że w tym momencie miał już bransoletki na przegubach.

- A jak ci dwaj weszli do domu?

- Drzwiami, otworzyli sobie wytrychem.

Cisza. Zawsze w tym stadium opowiadania zapada lekko niepokojąca cisza, podczas której mogę zaobserwować, jak za znieruchomiałymi oczami, za zmarszczonymi brwiami działają neurony dzieciaków. Zastanawiają się, czy nie było jakiegoś kantu, jakiegoś uproszczenia w narracji (bezpodstawnej elipsy, mylącej niejasności, pominięcia) niegodnych mojego talentu i ich przenikliwości.

- To się trzyma kupy, Ben, to nawet bardzo przebiegłe ze strony Pata i Dżiba.

Uf!

- A ojciec?

Ajajaj!

- Nie był żadnym zakładnikiem. A nawet to on okazał się powodem, dla którego syn zakładał pułapki w Domu Towarowym.

- Ach tak?

Cała trójka podskakuje, tylko Teresa ani drgnie, kontynuując swą skromną pracę stenotypistki.

- Ojciec był wynalazcą. Utrzymywał, że trzy naczelne firmy, z którymi współpracuje Sklep, podkradły jego wynalazki. Nie była to całkowita nieprawda, ale nie była też prawda.

- Jak to?

Chwila uciechy dla narratora...

- Ano, ojciec był z tych facetów, którym nigdy się nie szczęści. Naprawdę wymyślał stopy fajnych rzeczy (szybkowar, pióro kulkowe i tak dalej), ale zawsze dwa, trzy dni po tym, jak już zostały wymyślone przez kogoś innego. (Strona bierna dokonana czasu przeszłego,

Jeremiaszu, z imiesłowem, który się uzgadnia.) No więc raz, to jeszcze ujdzie, dwa, od biedy, ale całe życie - człowiek ma powody, żeby się czuć pokrzywdzony. W końcu przekonał syna, że to te trzy firmy go podrabiają, no i ten zdecydował się go pomścić, podkładając bomby pod Sklep. Ot i wszystko.

- Co robił ojciec, kiedy Dżib Hiena i Pat Bako weszli do domu?

- Też słuchał kolegi Pelletiera w telewizji. Trzeba wam wiedzieć, że ojciec jakoś nie zauważył, że jego syn był taki wybitny w szkole. Prawdę mówiąc, jedyne, co zachował w pamięci, to awantury z tego powodu. Więc ojciec oczywiście słuchał, nie mogąc uwierzyć własnym uszom, nawet tłumaczył się synowi. Przez tyle lat był taki niesprawiedliwy! Tłumaczył się z płaczem...

Minęło trochę czasu, zanim po tym opowiadaniu zapakowaliśmy maluchy do wyrka. Rozmach fikcji puścił w ruch obłądną katarynkę pytań. Jeremiasz zapytał, między innymi, w jaki sposób "zbrodniarz" (uwielbiają to słowo, wolą je od zabójcy) zdołał wnieść bomby do Domu Towarowego. To mnie zaskoczyło. Uratowałem się dzięki Klarze, która odpowiedziała, że na razie tego nie wiadomo, ale że "zbrodniarz" będzie przesłuchany przez młodziutkiego inspektora policji śledczej, niejakiego Jeremiasza Malaussene'a, który zdaje się, ma pewien pomysł w tej kwestii. "Dobrze", mruknął Jeremiasz z porozumiewawczym uśmiechem i wślizgnął się pod kołdrę, o nic więcej nie pytając.

Kiedy Juliusz i ja wracamy do pokoju, wszystko lśni. Od lat nie było tak czysto. Zapach Juliusza jest ledwo wyczuwalny, a po perfumach Julii nie ma śladu. Klara, która weszła depcąc nam po piętach, pod pretekstem, że chce mnie przepytac na temat pewnego sonetu Baudelaire'a, bo go dobrze nie rozumie, przeprasza z uśmiechem.

- Już tak dawno nie było sprzątane, Ben, skorzystałam z wolnej chwili.

Od razu przychodzi mi do głowy fotografia. W nocy zostawiłem ją na stoliku przy łóżku, a rano zapomniałem schować do szuflady. Rzut oka. Już jej oczywiście nie ma. Rzut oka na Klarę.

Dwie duże drżące łzy.

- Nie chciałam, Ben.

(Tępy kretynie. Zostawić to na wierzchu...)

- Ben, przepraszam, nie zrobiłam tego umyślnie...

Teraz już nie łzy, ale prawdziwy szloch, a ja zastanawiam się, czy przyczyna to myśl o potwornym okrucieństwie, czy wstyd z powodu niedyskrecji.

- Ben, powiedz coś...

Oczywiście. Mam coś powiedzieć.

- Klara...

No tak. Coś powiedziałem. Od ilu to już lat nie płakałem? (Głos mamy: "Nigdy nie płakałeś, Ben, w każdym razie ja nigdy nie widziałam, żebyś płakał, nawet jako malutkie dziecko. Płakałeś już kiedyś?" - Nie, mamusiu, nigdy, z wyjątkiem pracy.)

- Ben...

- Posłuchaj, Klarnećku, to wyłącznie moja wina. Zdjęcie powinno się w tej chwili znajdować na policji. To Teo je znalazł. Płakał tak samo jak ty, kiedy mi je pokazywał. Ale nie chciał, żeby złapali faceta, który pomścił zabite dziecko... Klara, słuchasz mnie?

- Ben, ja je sfotografowałam.

(Brawo. Tego tylko brakowało. Oczywiście, jak już zobaczyła...)

Jeszcze dwa, trzy stąpienia. Łzy wysychają.

Któregoś dnia zapytałem ją, skąd się u niej wziął (poza samą pasją do fotografii) ten zwyczaj fotografowania wszystkich najstraszniejszych rzeczy, jakie napotyka na swojej drodze. Odpowiedziała mi, że tak samo było, kiedy była mała, a ja nakładałem jej na talerz coś, czego nie lubiła. "Nigdy ci nie mówiłam, Ben, że to niedobre, ale im mniej to lubiłam - na

przykład cykorię z jej goryczką - tym uważniej próbowałam. Żeby rozumieć, wiesz? Nie smakowało do tego lepiej, ale skoro rozumiałam dlaczego, mogłam jeść i nie zawracać ci głowy kapryсами. No więc z fotografią jest trochę tak samo, nie umiem ci lepiej tego wytłumaczyć.

No a teraz, Klara, kiedy już sfotografowałaś to zdjęcie, to rozumiesz"! I co też możesz rozumieć, mój biedny mały skarbie?

- Klara, to straszne, że to zobaczyłaś...

- Nie, jeżeli to się może na coś przydać.

Tu zmiana tonu. Głos jest znowu łagodnie precyzyjny.

- Zrobiłam kilka powiększeń.

(Boże mój, Boże...)

- Na niektórych złagodziłam kontrasty, na innych wyostrzyłam.

(No właśnie, porozmawiajmy o problemach technicznych.)

- Trzy rzeczy są dziwne. Chcesz zobaczyć?

- No pewnie, że chcę zobaczyć!

(Nie zostawię cię przecież samej z tą czernią i bielą.)

W sekundę potem z dziesięć powiększeń leży rozłożonych na łóżku. Fragmenty cieni, nogi stołu, stosik na ziemi, niektóre odbitki stopniowo coraz bielsze, inne coraz ciemniejsze. I, ważny szczegół, ani śladu obu postaci! Jakby ich nigdy na zdjęciu nie było. Całkowicie ukryte. Szczegół tym bardziej uderzający, że oko Klary uchwyciło, zdawałoby się, wszystko, poza martwym dzieckiem i jego zabójcą. Okrutna potworność jakby wymazana pod spojrzeniem anioła. Prawie że rozbawionym tonem, jak przy zgadywance, Klara pyta:

- Według ciebie ten stosik u podnóża stołu, co to jest?

- Właśnie się z Teo zastanawialiśmy.

- Przyjrzyj się dobrze, nic ci to nie przypomina?

- Klara, na Boga, co ma mi to przypominać?

- Spójrz...

Wyciąga z tornistra czerwony flamaster i jak dziecko starannie wytycza granicę, wzdłuż której zacieniony obszar tworzący stosik wtapia się w ciemność pomieszczenia. W ten sposób zarysowuje się jakiś kształt. Punkty i wybrzuszenia zostają połączone w kontur. A w miarę obkonturowywania pojawia się kształt, kształt, który jest mi nieobcy. Widać wzdęty brzuch, zeszywniały kark, dwoje ostro ściętych uszu, pysk otwarty szeroko nad wywieszonym jęzorem - przypomina to Guernikę Picassa - zarys łapy, sylwetkę psa!

- Juliusz?... Juliusz!

Gong w mojej Czasoprzestrzeni.

- Skąd Juliusz na tym zdjęciu?

- To nie jest Juliusz, oczywiście, tylko inny pies, Ben, *ale w takim samym stanie jak Juliusz w czasie choroby!*

W podnieceniu mojej siostry jest teraz coś z Sherlocka Holmesa na haju.

- No więc, Ben, to prowadzi do następnego wniosku!

- Wnioskujej, moja miła, wnioskujej.

- Sfotografowana scena miała miejsce w Sklepie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Juliusz miał atak.

- Dlaczego tak myślisz?

- Kiedy Juliusz przechodził koło tego miejsca, musiał coś poczuć...

- Żartujesz, to zdjęcie ma co najmniej dwadzieścia lat.

- Czterdzieści, Ben, ono pochodzi z lat czterdziestych. Od lat pięćdziesiątych nikt już tak nie przycina zdjęć! Zresztą można by dla potwierdzenia zbadać osadzanie się soli...

Słowo daję, zamienili mi moją ulubioną siostrzyczkę w policyjne laboratorium!

- Ale jest jeden problem...

- Tak?

- Juliusz przecież nie po raz pierwszy poszedł po ciebie do Domu Towarowego.

- Nie, i co z tego?

- Jak to się stało, że dostał ataku dopiero teraz?

Odtwarzam w myślach przyjemniaczka z krzaczastymi brwiami, który mi zagradza drzwi do stołówki i rozkazuje zejść schodami ruchomymi.

- Bo zazwyczaj szliśmy inną drogą. Tamtędy szliśmy pierwszy raz.

- I to się stało koło działu zabawek, tak?

W tym momencie patrzę na nią tak, jakbym naprawdę zaczynał się jej bać.

- Skąd to wiesz? Nigdy ci tego nie mówiłem!

- Popatrz.

Kolejny spacer czerwonego flamastra po rozbielonym powiększeniu. Wyłania się wypukły kształt wznoszący się, nieco skosem, aż do sufitu. Dwie kolejne kreski wydobywają fałdy kaptura, potem wełnistość brody. To jeden ze stiukowych świętych Mikołajów, które od ponad stu lat podpierają niestrudzenie piętra Domu Towarowego nad działem zabawek.

- Nigdzie indziej w Sklepie ich nie ma, Ben.

(Blow-up, zdjęcie, które gada...)

- To wszystko, Klara?

- Nie, Leonard nie był sam.

- Był jeszcze przynajmniej ten, co go sfotografował.

- Ten i kilku innych.

Trzech albo czterech, zgodnie z tym, co z ciemnych głębokości starego zdjęcia wydobywa mały czerwony flamaster. A może i inni, poza polem widzenia.

- OK, kochanie, to wystarczy. Zostawiasz mi to wszystko, a ja zaraz jutro oddaję zdjęcie Teo, żeby je wysłał na policję.

Mowy nie ma, prędeż zdechnę!

Zdanie to zostaje wypowiedziane z tak gwałtownym uderzeniem widelca o talerz i takim, mimo chęci powstrzymania się, głosem, że najbliższej siedzący klienci podskakują i oglądają się.

- Co ci jest, Teo? Zobacz, stłukłeś talerz.

- Ben, nie nalegaj. Nigdy nie oddam tego zdjęcia glinom.

Seler w sosie jak struga gipsu ścieka na obrus w czerwoną kratkę.

- Wiesz, co może się stać?

Teo próbuje dyskretnie skleić obie połowy talerza. Przy okazji seler pełni rolę cementu między talerzem a obrusem.

- Ty nic nie ryzykujesz, wystarczy po prostu, że wyrzucisz powiększenia Klary, to wszystko. Jeśli o mnie chodzi... Szybkie spojrzenie:

- To dla mnie ważne.

Wydobył to z siebie przez zęby, z dzikim pomrukiem, chowając złowieszcze zdjęcie do portfela. Teraz ja patrzę na niego pytająco i odpłacam mu jego pytaniem z tamtejszego wieczoru:

- Teo, masz coś wspólnego z tymi bombami?

- Gdybym miał, nie pokazałbym ci tego zdjęcia.

To zabrzmiało bardzo spontanicznie, i to jest prawda. Gdyby maczał w tym palce, nie starałby się mnie wtajemniczyć, podsuwając mi poszlakę pod nos.

- Wiesz, kto to jest? Kryjesz kogoś?

- Gdybym wiedział, kto to jest, przedstawiłbym go do Legii Honorowej! Bastien, przynieś mi inny talerz, rozwaliłem swój!

Bastien, tutejszy kelner, pochyla się ze śmiechem.

- Scena małżeńska?

Już od dawna bierze nas za parę, półgłówek.

- Zamknij się i przynieś jakieś solidne naczynie! I już bez selera w sosie! Jaki to genialny Francuz wymyślił te selery w sosie, możesz mi powiedzieć?

Obrugany Bastien wyciera stół, gderając.

- Nie musiałeś zamawiać!

- Owszem, przez ciekawość! Chęć poznania! Są chwile w życiu, kiedy człowiek chciałby uwierzyć własnym oczom, no nie? Wszystko to zostaje wypowiedziane ze złośliwym naciskiem.

- No tak czy nie? Tak czy nie? Pory w vinaigrette, poproszę!

Widok grubego tyłka Bastiena, który oddala się, złorzeczając.

- Teo, czemu nie chcesz wysłać zdjęcia glinom?

Przenosi cały swój zły humor na mnie, nieledwie posyłając mnie do diabła.

- Czytasz czasem gazety?

- Ostatnia, którą czytałem, donosiła o śmierci Leonarda.

- No to miałeś dużo szczęścia, trafiłeś na numer z pierwszego wydania. Drugie zostało wycofane.

- Wycofane? Dlaczego?

- Rodzina zmarłego. Ochrona dóbr osobistych. Bigoci ze stosunkami. W dwie godziny wycofali ze sprzedaży wszystkie egzemplarze. Po czym zaatakowali dyrekcję pisma, pozwali do sądu i właśnie dziś rano wygrali proces.

- Tak szybko?

- Tak szybko.

Dyskretny ślizg koszący w wykonaniu potężnego Bastiena, por vinaigrette ląduje na stole.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego chcesz zatrzymać to zdjęcie.

Konsternacja w spojrzeniu.

- W głowie masz seler w sosie czy co? Ben, zdajesz sobie sprawę z potęgi tych drani? Wystarczył jeden telefon, żeby wycofać gazetę, która ośmieliła się opublikować cztery zdjęcia tego wykrzywionego z rozkoszy gnoja! (Bo przecież to przynajmniej pojąłeś, nie? To, co *przedstawiły* te cztery zdjęcia?) Następnie błyskawiczny proces, i gazeta buli maksymalnie. Co teraz się stanie, jeśli wyślę te zdjęcia glinom? He?

- Zatuszują sprawę.

- Polecenie z góry, nareszcie, masz mniej rozmiękły mózg, niż myślałem. Pozwolisz, że ci opowiem ciąg dalszy?

Pochyla się gwałtownie nad talerzem, topiąc w nim krawat.

- Oto ciąg dalszy: z tą bezcenną poszlaką w rękę gliniarze skapują rzecz najważniejszą: *motyw*. Dotychczas nosili się z tezą, że to jakiś wariat, który zabija na oślep. Teraz wiedzą. Wiedzą, że plugawa banda satanistów fundowała sobie swego czasu - może do dzisiaj to robi - czarne msze z ofiarami z ludzi i z całym możliwym do wyobrażenia zestawem tortur na *dzieciach*, mój panie, na *dzieciach*!

Stoi teraz na wprost mnie, oparty pięściami na stole, z krawatem, który od szyi sięga do talerza jak sznur fakira, uosobienie wściekłego ryku, choć mówi szeptem, szeptem, a na brzegach powiek drżą łzy.

- Teo, krawat, spójrz na swój krawat, siadaj...

- Gliny z punktu pojmują całą resztę. Ktoś ich wyśledził, tych drańskich ofiarników, i ktoś ich sprząta, metodycznie, po kolei, ten ktoś dostanie ich wszystkich, jeżeli się gliny nie pospieszą. Otóż gliniarze byliby nawet zadowoleni, gdyby mściciel odwalił robotę za nich, tyle że Policja jest instytucją, a instytucja musi działać, rozumiesz? I jeszcze jedno, ci działający funkcjonariusze to też ludzie, faceci jak ty czy ja (to znaczy niezupełnie jak ja), ciekawscy, ciekawscy, Ben, i daliby dziesięć lat z emerytury, żeby tylko przyskrzynić jednego z tych prześladowców dzieci, żeby tylko zobaczyć, co w nim siedzi, zrozumieć. No i według ciebie, co się stanie z takim potworem, który się wymknie mścicielowi?

- Spędzi resztę życia w pudle.

- Tak jest.

Siada, zdejmując krawat i starannie go składa.

- Tak jest. Tak głęboko w pudle, że nikt o nim nigdy nie usłyszy, bez procesu, gwarantuję ci, o tak, prosto do pudła, bo mowy nie ma, żeby takie zgorszenie miało zbrukać

opinię ludzi w rodzaju Leonardów, którzy znają taki skuteczny numer telefonu.

- A rodziny dzieci?

Tu mija długa chwila, podczas której Teo przygląda się swojemu porowi vinaigrette, jakby to było coś najtrudniejszego do zidentyfikowania, z czym zetknął się w życiu. Potem, zamyślony:

- Według ciebie, Ben, co to takiego jest sierota?

(“Nie miał taty ani mamy...”, dźwięczy mi posępnie w głowie.)

- Zgoda, Teo, ktoś, kogo nikt nie szuka.

- Tak, szanowny panie.

Ale też wyjątkowo uparcie przygląda się temu porowi!

- Tak, Ben. Poza tym sierota to sama łatwowierność. To istotka, która marzy tylko o jednym: znaleźć sobie kogoś, pójść za tym panem, który proponuje cukierka. A ci panowie właśnie przepadają za sierotkami.

Teo jest teraz desperackim uosobieniem wysiłku, żeby nie pozwolić wyobraźni posunąć się dalej, jakby wszystko w nim znieruchomiało: obraz człowieka broniącego się przed obrazami.

Jego nóż ostrożnie dziobie pora, jakby chodziło o coś niezwykłego, co dopiero przestało albo jeszcze nie zaczęło się ruszać.

- Kiedy mówię “sierota”, pomniejszam problem. Należałoby raczej mówić o “porzuconych”, porzuconych dzieciakach, co to wszyscy mają je gdzieś, łącznie z instytucjami, które powinny się nimi zająć. W naszym wspaniałym świecie jest tego na kopy: małe Murzynki uratowane z jakiejś masakry, żółci zdani na łaskę losu, ci, co nawiali z domu, pokolenie ulicy, tylko brać i wybierać... Nie dam tego zdjęcia glinom.

Przez chwilę obraca porem, porem o konsystencji topielca.

- A poza tym, powiem ci, gliniarze już go niedługo dopadną. Nie są idiotami, mają środki, nie ma mowy, by długo szli fałszywym tropem. To wyścig. Nasz Zorro ma może pół długości przewagi, a może nawet i nie. Na pewno nie zdąży rozwalić wszystkich. Więc nie ja będę pomagał policji go przyskrzynić. Nie ja.

W końcu, obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem białawą rzecz spoczywającą na jego talerzu, to coś zielonkawo-białego zatopionego w perłowo połyskującej gęstości oliwy z nieruchomo zalegającymi oczkami octu:

- Ben, zabierajmy się stąd, proszę, ten por poradził sobie ze mną...

To się stało dziś rano, tuż przed telefonem Luny. Wyszedłem od Lehmana i wstąpiłem do działu książek, żeby sprawdzić pewien z pozoru nieistotny szczegół, jednak z rodzaju tych, dzięki którym śledztwa ponownie ruszają z miejsca, a papieru marnuje się mniej.

Chciałem tylko zapytać starego Rissona, od ilu też lat pracuje w Domu Towarowym.

- W tym roku będzie czterdzieści siedem! Czterdzieści siedem lat walczę w obronie Literatury Pięknej, a sprzedaję tylko byle tandetę. Ale, dzięki Bogu, udało mi się jeden dział obronić.

Czterdzieści siedem lat w tej budzie! Nie spytałem, w jakim wieku zaczął. Dalej zajmowałem się szperaniem, kartkowaniem, słowem, wspieraniem jego poczucia dumy. Zajrzałem na chwilę do *Śmierci Wergiliusza*, zerknąłem w oprawne wydanie *Rękopisu znalezione w Saragossie*, a potem zapytałem:

- Ile pan sprzedał Gaddy od czasu wznowienia w wersji kieszonkowej?

- *Trujący absynt z ulicy Merles*? Ani jednego.

- No to właśnie pan sprzedał, muszę komuś zrobić prezent. Jego piękna siwa głowa kiwnęła z aprobatą, genre "surowy i sprawiedliwy".

- Nareszcie książka z prawdziwego zdarzenia! Wolę to niż te wypociny o Alisterze Crowleyu!

- To też był prezent, proszę pana. Wszystko, co ludziom w smak, jest sprzeczne z naturą.

- A niesmaku jest za mało, moim zdaniem

Podczas kiedy przygotowywał moją paczuszkę (robił wrażenie kogoś, kto całą wieczność ma przed sobą), poruszyłem interesujący mnie temat:

- Pan nigdy nie wyjeżdża na urlop? Zdaje mi się, że zawsze pan siedzi w księgarni.

- Urlopy są dobre dla waszego niespokojnego pokolenia, młody człowieku, ja robię wszystko wolno i zamykam tylko wtedy, kiedy cały Sklep się zamyka.

Okazja była nadto wyśmienita, uczepiłem się jej natychmiast.

- A ile razy był zamknięty w ciągu tych czterdziestu siedmiu lat?

- Trzy. Raz w czterdziestym drugim, raz w pięćdziesiątym czwartym, kiedy podnosili dach na szóstym piętrze, i raz w sześćdziesiątym ósmym, kiedy odbywał się cały ten cyrk.

(Cały ten "cyrk"...)

- A w czterdziestym drugim jaki był powód zamknięcia?

- Zmiana dyrekcji, sposobu zarządzania i myślenia, tak bym to nazwał. Poprzednia Rada Nadzorcza składała się głównie z Żydów, że tak powiem. Ale w tamtych czasach rozumiano, co się należy prawdziwym Francuzom!

(Ach tak?)

- Jak długo Sklep był zamknięty?

- Przez dobre sześć miesięcy. Ci "panowie" robili, wie pan, trudności. Bogu dzięki. Historia zdecydowała.

(Mój Bóg, jeżeli istnieje, to ci w swoim czasie dołoży, łajdaku.)

- Sześć miesięcy świecił pustkami?

- W dodatku odpowiednio strzegła go Milicja, żeby szczury nie zawładnęły terenem.

(I pomyśleć, że dotychczas uważałem tego starego drania za uroczonego i sympatycznego dziadka, którego sam nie miałem, i tak dalej... cały ten nostalgiczny sos...)

Zabrałem mojego biednego Gaddę z mocnym postanowieniem, że go zdezynfekuję, i powiedziałem:

- Wielkie dzięki, proszę pana, przy okazji wpadnę pogadać.

- Z przyjemnością, młody człowieku, przyzwoci młodzieńcy trafiają się coraz rzadziej.

To złapało mnie na schodach ruchomych. Płonący miecz przeszył mi głowę. Ból wszechobejmujący. Ilustrowany groteskową wizją rodem z Chestera Himes'a: wielki Murzyn biegnie wśród nowojorskiej nocy z nożem wbitym w jedną skroń i wychodzącym z drugiej. Potem ból ustał i powróciła głuchota. Ani hałasu, ani muzyczki w tle, nic. Za późno. To paskudztwo pozwoliło jeszcze, bym zdążył usłyszeć, jak dziadunio moich marzeń żałuje starych dobrych czasów. Kurza twarz, jak z takim gównem zamiast mózgu ten ludzki śmieć może lubić Gaddę, Brocha, Potockiego i podzielać moją opinię o Alisterze Crowleyu? Kiedy wreszcie coś z tego wszystkiego zrozumie? W każdym razie znałem datę: 1942. Jeżeli coś się działo w Sklepie, to przez tamte sześć miesięcy. W dzień czy nocą? W nocy, sądząc po zdjęciu. W nocy. W domu towarowym strzeżonym przez Milicję.

O tym myślałem, kiedy ich wreszcie wypatrzyłem.

Dwie żywe kamery.

Poczwórne oko komisarza Coudrier.

Z taką oczywistością rzucili mi się w oczy, iż zadałem sobie pytanie, jak się to stało, że nie dostrzegłem ich wcześniej. Duży i mały. Gruby i chudy. Dystyngowany pan i żebraczyna. Łysy i kudłaty. Pat Bako i Dzib Hiena. Jak gdyby. To znaczy z utrzymaniem całego tego dystansu, jaki, choćby nie wiem co, między rzeczywistością i fikcją zachowuje życie. Mimo wszystko, jak można było nie dostrzec ich wcześniej! Ale figury! Jeden schował się za ladą w wyrobach skórzanych, to ten gruby, a drugi, mister Hyde, piętnaście metrów dalej, w okolicy damskich koronek, właśnie wcinął eklerka z czekoladą. Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem oderwać od nich oczu. Zorientowali się natychmiast, że zostali rozpoznani. I, daję słowo, byli nie mniej zaskoczeni niż ja. Pogapiliśmy się więc tak przez jakiś czas na siebie, a potem gruby nagle spurpurowiał i uczynił w moją stronę krótki ruch głową, który natychmiast zrozumiałem. Typ dokuczliwy jak mała wesz, za to potężny jak byk. Więc otrząsałem się. Spojrzałem w innym kierunku. Dokładnie pomiędzy nimi, żeby uniknąć patrzenia na żarłoka i jego eklerek. I wtedy rzecz się jeszcze bardziej skomplikowała. Albowiem za nimi, z dziesięć metrów za nimi, znajdowało się, na wprost mnie, stoisko z bronią. A w nim stojaki na strzelby, pełny asortyment pistoletów gazowych, noże do ćwiartowania dziczyzny, gwizdki ultradźwiękowe, wnyki, wszystkie te cudeńka, na których widok rozbłyska oko myśliwego - myśliwego, który naprawdę zna i kocha przyrodę! Zresztą stał taki przy ladzie, jeden z tych ekolofilów, ubrany w kurtkę ochronną. Koło pięćdziesiątki, w towarzystwie dwóch smarkaczy, podejrzanie czystych nastolatów; wszyscy trzej rozmawiali o zaletach strzelby z kompresorem o błękitnawym połysku, którą podawali sobie z rąk do rąk, błyskawicznie przykładając do ramienia, szkicując krótkie krzywe w powietrzu, potem kiwając głowami, jak przystało na koneserów, jakimi byli od kołyski. Sprzedawca, cały w uśmiechach, dogłębnie współodczuwał. Tak kontent, że ma

zaangażowanych klientów, że jego wzrok nie obejmował już lady w całości. Wtedy zobaczyłem, jak jakaś ręka zanurza się w szarym kartonowym pudle i wydobywa zeń dwa naboje - zupełnie otwarcie, nawet nie starając się ukryć. Ręka należała do jednego z małych staruszków Tea, naprawdę malutkiego i absolutnie stareńkiego, którego rozpoznałem, który mnie rozpoznał i który (dam sobie głowę uciąć) z porozumiewawczym uśmiechem wskazał wyraźnie naboje, po czym schował je do lewej kieszeni szarej bluzy. Już trzy razy widziałem ten gest: za pierwszym razem buchnął czarną skrzyneczkę zdalnego sterowania, wtedy kiedy Cazeneuve dokonywał rekwizycji czołgu AMX 30, za drugim - przyrząd wibracyjny do masażu, a za trzecim.. nie, za trzecim razem... to było przy dokręcaniu miedzianego kranu...

Natychmiast przeniosłem wzrok na gliniarzy, którzy wpatrywali się we mnie tak, jakby to, że stoję tam z błędnym wzrokiem, było dowodem mojego krańcowego gapiostwa. Mniejszy podniósł brew i wzruszył ramionami. "Cóż to, kolego, czas się dla ciebie zatrzymał?" - to chyba miał znaczyć ów gest. Uparcie spojrzałem znowu w kierunku stoiska z bronią. Wtedy się odwrócili. Ale mały staruszek zniknął. Poczulem ulgę.

Dwie minuty później, nadal głuchy jak pień, nurkowałem w głębokich wodach podziemia, sterując w poszukiwaniu mojego Gimini Cricketa. Tak, Gimini Świerszcz, to jest to! Staruszek miał dokładnie zabawną, płaską i wypolerowaną od starości gębę Gimini Cricketa! Moi dwaj gliniarze patrolowali trochę dalej, nie mogłem ich nie widzieć, jakby ich zawodowstwo przyciągało moje oczy jak magnes.

Ten ich wyraz twarzy, za każdym razem, kiedy nasz wzrok się krzyżował! Wszystkie groźby świata na tych zgniłych mordach.

I ani śladu Świerszcza. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, jak dużo jest szarobluzych Tea. I jak są do siebie starczo podobni. Nieprzeliczeni, podobni do siebie i samotni. Nowocześni starcy bez żadnego wzajemnego kontaktu. Teo! Zawiadomić Tea, że jeden z jego podopiecznych podprowadził amunicję ze stoiska z artylerią!

Teo był akurat zajęty w dziale z tapetami: udzielał rad postawnej kobiecie w rodzaju Castafiore. Upierścienione ręce wyrażały jej pragnienia, a głowa Tea przytakiwała i przytakiwała. Miał najwyraźniej szczery zamiar upchnąć jej całe stosy tych tapet!

Nastawiłem więc ster na Tea, ale jeszcze nie byłem w połowie drogi, kiedy nastąpiły jednocześnie trzy wydarzenia, które zakłóciły realizację mojego planu. Po pierwsze, widok Giminiego wysypującego jakieś dziesięć metrów ode mnie proch z nabołów do metalowej obudowy wiertła; z porozumiewawczym uśmiechem jednym okiem spoglądał na swoją robotę, drugim na mnie, niewykrywalny dla gliniarzy, bo tak wtopiony między sześciu innych identycznych staruszków, wszystkich w ferworze majsterkowania. Po drugie, potężne klepięcie w ramię, które sprawiło, że w mojej głowie odezwało się "buch!", i wreszcie gromki głos Lecyfre'a, który wypełnił w całości moją odetkaną czaszkę:

- No, Malaussene, śpisz czy co? Od dobrych pięciu minut wzywają cię przez megafon do telefonu. Bardzo pilne. Twoja siostra, zdaje się.

- Ben?

- Luna?

- Ben, och, Ben!

- Co się dzieje. Luna? Co jest? Uspokój się...
- Jeremiasz.
- Co Jeremiasz? Luna, złotko, uspokój się.
- Był wypadek w szkole, musisz zaraz jechać. Ben... Och! Ben...

Na szczęście pański brat był sam w klasie.

("Na szczęście"...)

Główny dziedziniec szkolny przedstawia widok dymiącego rozlewiska, pełnego poskręcanych szkieletów rzeczy, które oparły się płomieniom. Wśród szczątków wiją się długie, spłaszczone rury. Cierpki zapach stopionego plastiku zalega wśród panującej wilgoci. "Ale wie pan, najgorzej z tymi, co są popaleni na szosie... zapach trzyma się całymi tygodniami... siedzi we włosach..." W mojej głowie udźwiękowiony obraz strażaka, a moje nozdrza pracują, pracują, żeby się przekonać, czy wśród posępnych zapachów żaden nie jest zapachem spalonego ciała. Dwa hydranty kończą polewanie zwęglonych szczątków. Trzy klasy doszczętnie spłonęły.

- Materiał sfabrykowany...

Właśnie takie świństwo z papier mache, które zajmuje się przy najlżejszym wybuchu. Nogi od stołów, metalowe konstrukcje, stopione pod wpływem gorąca, poplątały się i sterczą, zastygłe w groteskowych pozach. Trzymam przez strażaków na bezpieczną odległość, uczniowie ulegają sprzecznym uczuciom: żalu, uciechy z draki i nie wygasłego jeszcze strachu.

- Szczęśliwie stało się to podczas przerwy.

("Szczęśliwie...")

Jedna z czerwonych ciężarówek zaczyna rolować węże. Przelatuje mi przez głowę idiotyczny obraz nawijanych na widelec spaghetti.

- Nie wyszedł na przerwę...

Spaghetti w czarniawym sosie z ośmiornic. W jakiej to okolicy Włoch podają coś takiego?...

- Ogień był już zbyt duży, kiedy zdaliśmy sobie sprawę...

- Czemu nie wyszedł na przerwę z innymi dziećmi?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Nie potrafi pan powiedzieć?

- O ile wiem, był, to znaczy jest dzieckiem bardzo niezależnym.

(Nie potrafi powiedzieć, o ile wie, to znaczy...)

- Ogień wybuchł naprawdę zniecka...

Wiem, wiem, zniecka, jak trzaska. Trzaska, od której, o mały włos, spłonęłaby setka dzieci. Ale na szczęście był tam tylko mój Jeremiasz.

- Na szczęście, co?

- Słucham?

- Powiedział pan "na szczęście", prawda? I "szczęśliwie"...

- Pan wybaczy?

Jego oczy robią się nagle wielkości spodków. Zdaję sobie sprawę, że nachylam się nad nim, a on kuli się w swoim fotelu.

W tym momencie telefon. Odbiera pospiesznie, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

- Halo? Słucham? Tak, słucham?

("Tak, słucham"... "Na szczęście"... "Szczęśliwie"...)

- Szpital Świętego Ludwika, tak, pogotowie, naturalnie, dzięki...
Kiedy odkłada, mnie już w biurze nie ma.

Laurenty dojechał do Św. Ludwika przede mną. Kiedy tam docieram, dyskutuje właśnie z małym ciemnowłosym lekarzem o żywym spojrzeniu. Gdy tylko ich dostrzegam, próbuję coś wyczytać z ich twarzy. Nie dowiaduję się nic poza tym, czego można się zazwyczaj dowiedzieć z miny zawodowców, kiedy się zejdą we dwóch. Duży blondyn i mały brunet, kumple że hej, od pierwszego słowa. Braterstwo wielkich naukowców. I tak dalej... Zresztą ten widok jest dla mnie pocieszający. Jeżeli Laurenty debatuje z tym doktorem, to znaczy, że Jeremiasz trafił w dobre ręce.

- A! Ben, przedstawiam ci doktora Marty.

Ściskanie łap.

- Niech się pan nie denerwuje, wyciągniemy z tego pańskiego syna.

- Nie jest moim synem, ale bratem.

- To niewiele zmienia w jego stanie zdrowia.

Powiedział to całkiem zwyczajnie, bez uśmiechu i nie spuszczać ze mnie oczu. Ale na ich dnie dostrzegam bardzo pocieszający błysk wesołości. Wysiłam się na uśmiech i pytam:

- Mogę go zobaczyć?

- Pod warunkiem, że zmieni pan wyraz twarzy, nie chciałbym, żeby mu pan popsuł nastrój.

Ciekawy facet z tego Marty'ego. Powiedział to tym samym, lekko żartobliwym, flegmatycznym tonem, ale jestem przekonany, że jeżeli moja mina się nie zmieni, to Jeremiasza nie zobaczę.

- Gdyby pan zechciał mi powiedzieć, co mu jest...

- Rozmaite poparzenia, obcięty prawy palec wskazujący, ma strasznego pietra, ale broni się jak może, żeby nie zemdleć. Postanowił, że będzie rozśmieszać pielęgniarki.

- Obcięty palec?

- Przyszyjemy mu go raz-dwa.

Dziwna rzecz, zaufanie. Gdyby Jeremiaszowi urwało głowę, to coś mi mówi, że ten nieduży, bezpośrednio przemawiający żartowniś wstawiłby mu ją z powrotem między ramiona. Uosobienie kompetencji. I coś jeszcze, jakaś dobroć...

- OK, czy teraz moja gęba się panu podoba?

Spogląda na mnie przez dobrą chwilę, po czym, odwracając się do Laurentego:

- Jak pan myśli, Bourdin?

Leży rozebrany do naga. Ciało ma pokryte siatką plamek o spękanych brzegach. Usta i prawe ucho wyglądają jak sztuczne. Ma całkiem ogoloną głowę. I kiedy wchodzę do małej wysterylizowanej salki, czuwająca przy nim pielęgniarka pokłada się ze śmiechu. Ale także, gdy lepiej się przyjrzeć, płacze. On zaś, niezrażony, nawija na całego. Ma małe ciało. To naprawdę maluch, jeśli nie brać pod uwagę jego niewyparzonej gęby. Muszę podejść bliźutko, żeby mnie zauważył. Wtedy się uśmiecha. Uśmiech brzydnie w grymas bólu. Potem ostrożnie, chciałoby się rzec, rysy powracają na swoje miejsce.

- Cześć, Ben. Popatrz, wyglądam jak Eddie Trumna!

Pielęgniarka podnosi na mnie oczy przepełnione smutkiem i podziwem.

- Chciałbym z tobą pomówić sam na sam, Ben.

I jakby ją znał od zawsze:

- Maryniu, mogłabyś kupić mi książkę, co? Poczytasz mi, jak on pójdzie.

Nie wiem, czy nazywa się rzeczywiście Marynia, ale wstaje posłusznie, a ja odprowadzam ją do drzwi.

- Niech go pan nie męczy - szepcze - za dziesięć minut zabierzemy go na salę operacyjną.

Z rozczulonym uśmiechem dodaje:

- Zacznę mu czytać, jak go będą znieczulać.

Światło korytarza znika za zamkniętymi drzwiami.

- Już, Ben, jesteś sam?

- Jestem sam.

- No to chodź tu bliżej, siadaj, mam wielką nowinę.

Stawiam krzesło tuż przy jego łóżku. Czeka chwilę, rozkoszując się napięciem. Potem, nie mogąc dłużej wytrzymać:

- Już wiem, Ben!

- Co już wiesz, Jeremiaszu?

- Jak "zbrodniarz" wnosił bomby do środka! Boże Wielki... Przez dobrą chwilę słyszę tylko jego urywany oddech i bicie mojego serca. Potem pytam:

- Jak?

- On ich nie wnosił, on je *fabrykował na miejscu!*

(Rzeczywiście lepiej, że siedzę.)

- Naprawdę?

Musiałem zrobić wysiłek, żeby to powiedzieć, i to radosnym głosem!

- Naprawdę! Spróbowałem, to się da.

"Spróbowałem"? No tak, czuję, że nadchodzi najgorsze. Nadchodzi krokiem, który rozpoznaję.

- Ben, w Domu Towarowym jest wszystko, co trzeba, żeby wysadzić w powietrze cały Paryż, jeżeli ktoś ma ochotę.

To prawda. Tylko trzeba mieć tę ochotę.

- U mnie w szkole też.

Cisza, która następuje... to prawdziwa cisza!

- No więc zrobiłem eksperyment.

- Na miłość boską, Jeremiaszu, jaki eksperyment? Nie powiesz mi, że...

- Zrobiłem bombę *podczas* lekcji i nikt się nie spostrzegł.

(Tak, to mi właśnie powiedział.)

- Bierzesz byle co, na przykład środek na chwasty zamiast chloranu sodu...

I oto mój mały braciszek Jeremiasz, który dzielnie dobiega dwunastu lat, sprzedaje mi subtelny przepis na bomby domowej roboty, coraz bardziej podniecony w miarę swojego wywodu, a jego głos nakłada się na głos Tea w mojej pamięci: "Wyobraź sobie, jeden z nich nosił się cały dzień z pięcioma kilogramami środków chwastobójczych w obu kieszeniach fartucha!"

- Mów ciszej, Jeremiaszu, uspokój się, nie powinieneś się męczyć.

(Zwłaszcza nie powinni cię słyszeć po drugiej stronie drzwi, u licha! Bratula podpalacz. Mój brat jest małym podpalaczem! A ja, pedagog, wychowawca...)

- Wszystko poszło jak po maśle, Ben, i właśnie wtedy, kiedy zaczynałem rozbrajanie, żeby zanieść ją do domu i ci pokazać "ostateczny dowód", rozumiesz? wtedy to świństwo wybuchło mi w rękach.

(Podpaliłeś swoją budę, Jeremiaszu! Na miłość boską, PODPALIŁEŚ SZKOŁĘ!)

- Hej, ty, chyba mi wierzysz, co?

Po raz pierwszy głos mu drży z niepokoju.

- Co, Ben? Wierzysz mi, powiedz?

Cisza. Długa cisza. Patrzę na niego. Znowu cisza. A potem z jego oczu o spalonych rzęsach tryskają łzy.

- No tak, nie wierzysz mi. Byłem pewien! Och, Ben, wiesz dobrze, że cię nigdy nie okłamałem...

(Jahwe, Jezu, Buddo, Allahu, Leninie, Jak Ci Tam i inni... co ja wam zrobiłem?)

- Tak, Jeremiaszu, wierzę ci, to będzie ostatni rozdział mojej historii, opowiem ją reszcie dziś wieczorem, numer z bombą sfabrykowaną wewnątrz Domu Towarowego, genialne! To będzie epilog...

Żyję, umieram, chłoną mnie ogień i woda,
 Trawią mnie upałami zimy przecierpiane,
 Życie wdzięczy się do mnie i zadaje ranę,
 Z wielkim frasunkiem miesza się pogoda. *

- Klara, zaznaczaj średniówki, jak deklamujesz. W poezji pauzy grają taką samą rolę jak w muzyce. Są oddechem, ale są też cieniem słów, albo ich promieniowaniem, to zależy. Już nie mówiąc o pauzach zwiastujących. Są rozmaite pauzy, Klara. Na przykład, zanim zaczęłaś deklamować, fotografowałaś białego kota na grobie Wiktora Noir. Przypuśćmy, że zamilkniemy, jak skończysz deklamować. Czyż będzie to taka sama cisza?

- "Czyż będzie", Beniaminie, "czyż będzie"? Zastanawiam się... Podrwiwa przyjaźnie, bierze mnie pod rękę, spacerujemy dalej po pełnym słońca cmentarzu Pere-Lachaise - Klara właśnie mi uprzytomniła, że prawie wszystkie koty są tu czarne lub białe. Ewentualnie czarno-białe. Ale nigdy kolorowe. Myślę o Jeremiaszu, któremu dziesięć dni temu przyszyli palec i który pojutrze wraca do domu. Myślę o Julii, która ostatnio pocieszała mnie całymi nocami ("ależ nie, Ben, nie ma w tym nic monstualnego, wiek dziecięcy z natury usposabia do doświadczeń, to jest kłopotliwe, ale nie monstualne, a ty niczemu nie jesteś winien, moje biedactwo, odpręż się, oddaj w moje ręce, nie każ teoretyzować..."), Julii, której zapach perfum wciąż jeszcze się unosi dookoła. Myślę o małym staruszku - już go więcej w Domu Towarowym nie widziałem, musiał poczuć na sobie skrzyżowane spojrzenia obu gliniarzy. I myślę o Klarze, która jutro zdaje maturę i która, zdaje się, nic nie zrozumiała z tego sonetu Luizy Labę.

- Luiza Labę, kochanie, wróćmy do Luizy Labę, powiedz drugą zwrotkę i staraj się zachowywać pauzy, egzaminator będzie zadowolony.

Mój niepokój zabawom się dwornym nie podda,
 W jednej chwili wybucham radością i łzami;
 Ulotne moje szczęście niedługie ma trwanie,
 Schnąć mi i kwitnąć każe jedna chwila zwodna.

- Według ciebie, o czym on mówi, Klara? Co to jest to drzenie wszystkich nerwów, to wzburzenie, te wyładowania?

- Wygląda, jakby była niespokojna, niespokojna, a zarazem bardzo pewna siebie.

- Niepokój i pewność, tak, prawie że odgadłaś, powiedz następną linijkę, tylko następną linijkę.

Tak mnie wiodą niestałe Miłości zaklęcia... *

* Fragment sonetu Luizy Labe w tłumaczeniu Artura Międzyrzeckiego

- Miłość, Klarneć, Miłość wprawia nas w taki stan, przyjrzyj się swojej siostrze, na przykład.

W tym momencie Klara staje nagle pośrodku alejki i fotografuje mnie.

- To tobie się przyglądam!

Potem:

- Jaka ona właściwie była, ta Luiza? Chodzi mi o porównanie z innymi z jej epoki, takim Ronsardem, du Bellayem?

- Była w pełni istotą Renesansu: najsubtelniejsza poezja i mięśnie prawdziwego barbarzyńcy. Władza spadała i przebierała się za mężczyznę, żeby brać udział w turniejach. Nawet wspinała się na mury podczas oblężenia Perpignan. Po czym cieniutko przycinała gęsie pióro, żeby napisać taki właśnie wiersz, który góruje nad całą poezją jej czasów.

- Są jakieś jej portrety? Była piękna?

- Nazywano ją La Belle Cordiere.

Tak wygląda nasz spacer. Klara fotografuje, ja analizuję dla niej wzniosły sonet, ona obrzuca mnie olśnionym spojrzeniem, a ja myślę, jak Cassidy Crosby, że gdybym był nauczycielem, lubiłbym ten zawód z wielu nieodpowiednich powodów, na przykład ze względu na nadmierne upodobanie do takiego naiwnego podziwu.

Po grobowcu Wiktora Noir przychodzi kolej na obstrzał mauzoleum Oscara Wilde'a. Teo chce mieć powiększenie do sypialni. Na honor Klary, będzie je miał.

Oscar Wilde obfotografowany - koniec przechadzki, pora zabrać Malca ze szkoły. Ostatni widok w drodze powrotnej: trzy albo cztery staruszki mamroczące ponure zaklęcia nad grobem Allana Kardeka. (Której to sąsiadce tak dobrze życzą?) Kiedy Klara szykuje się do zdjęcia, jedna z nich odwraca się i pokazuje, żebyśmy sobie poszli. Szponiastemu gestowi towarzyszy koci syk.

Właśnie w tej samej sekundzie wybuchła czwarta bomba w Domu Towarowym.

Czwarta bomba...

W mój wolny dzień

Jest to bomba całkowicie nieprofesjonalna: ładunek prochu strzelniczego ubitego w puszcze z lontem + mała butelka gazu (typu campingowego) +... itd., zdetonowana na odległość za pomocą systemu iskrzącego odkręconego od skrzynki telewizora.

Mała bomba.

Kawałkami ceramiki nafaszerowała przedstawiciela firmy sanitarnej, Niemca z pochodzenia, który spokojnie sikał w sraczu ekspozycji szwedzkiej na ostatnim piętrze (piękny wychodek, rzeczywiście bielutki, solidnie skonstruowany - drzwi nie wyrwało - tak dobrze uszczelniony, że nikt nie usłyszał wybuchu, tylko dyskretne puknięcie) - a więc siusiał, przedstawiciel firmy, ofiara.

Wpatrując się w stare zdjęcia, które poprzyklejał na ścianie pisuaru "Niestety" ojciec rodziny, tym razem. (Licznej.) I wielokrotny dziadek.

Być może również kolekcjoner znaczków.

Niemniej nafaszerowany niepokalanie białą ceramiką. I żelastwem. I śrutem także.

I goły.

Goły?

Jak palec. Od góry do dołu. Rozebrany, no.

Rozebrany przez bombę?

Nie, przez siebie samego, przed wybuchem.

- Ale my byśmy bardzo pragnęli wiedzieć, panie Malaussene, co też pańska siostra Teresa robiła pod tym skandynawskim wucetem, stojąc tam jak słup soli, dopóki nie wyważyliśmy drzwi i nie znaleźliśmy trupa. Oto czego pragnęlibyśmy się dowiedzieć.

Ja też.

Ależ uprzedzałam cię, Ben!

Stoi niewzruszona jak Los pośród tych gliniarzy, którzy wyglądają tak, jakby się mieli zaraz podać do dymisji. Dookoła Policja Śledcza wre jak ul - jeśli by przyjąć, że pszczoły stukają na maszynie paląc peta za petem wśród stojących samotnie kufli.

Słowem, moja Teresa tkwi pośrodku tego obskurnego biura, same łokcie i kolana, za duża na swój wiek, a ja widząc ją tutaj, w tym zalegającym dymie, wśród kręcących się mężczyzn, odczuwam nagły przypływ miłości.

- Uprzedzałaś o czym, malutka?

Ten sobowtór Pata Bako zeżarłby ją żywcem, gdyby się nie obawiał, że sobie połamie zęby. Drugi marzy zapewne, żeby wrócić do poprzedniego zajęcia, kraszonego czekoladowymi eklerkami. Wyglądają jak przygnębienie we własnej osobie.

- Przez godzinę nic ciekawszego z niej nie wydobyliśmy! Jest jeszcze trzeci gliniarz, którego nie znam, młody blondynek, prawie bliski płaczu. "Będę rozmawiać tylko z moim bratem Beniaminem, zresztą uprzedzałam go."

- Ale uprzedzałam o czym, do jasnej cholery? - zirytował się blondynek.

A ponieważ był naprawdę bardzo młody, dodał:

- Zacznieś śpiewać, dziwko?

Ponieważ nie mogli sobie poradzić, byli zmuszeni czekać na inspektora Careggę z podejrzanym number One, czyli mną, który teraz stoję przed Teresą bratersko się do niej uśmiechając, podczas kiedy inni gliniarze przeszukują dom, wywracają wszystko do góry nogami w dawnym składzie i w moim pokoju, tak wściekle spragnieni, żeby coś znaleźć (co znaleźć?), że byliby gotowi przekroić Juliusza na pół, żeby jemu też zajrzeć do środka.

- Uprzedzałaś o czym, Tereso?

Wzdraga się i patrzy na mnie, jakby się budziła.

- Mówiłam ci, 28, 3,11 albo 7, z dużym prawdopodobieństwem na 28.

(Aha, a więc to nie były numery koni...)

- Nawet to napisałam czarno na białym, na wypadek, gdybyś ponownie zaczął podawać w wątpliwość moje słowa.

("Podawać w wątpliwość moje słowa", to też mnie zdziwiło, ten nagły przypływ poczucia humoru...)

- Co to za lipa? Próbuje nas pani wykołować czy jak?

Blondynek zgrywa dorosłego faceta z jajami. Pozostali dwaj czekają. Trzaskają drzwi. Wymyślania. Policja Śledcza. Moja Teresko, jesteście na Policji Śledczej.

- Teresa, bądź łaskawa wyjaśnić tym panom, o czym mówimy.

- Przyznasz, że miałam rację?

(To się nazywa "Wstępne warunki umowy".)

- Tak, Teresa, miałaś rację, przyznaję.

- W takim razie chętnie tym panom wytłumaczę...

Zdanko, które sprawia, że scena nieruchomieje. Blondynek wślizguje się za maszynę do pisania. Uszy Czterookiego strzygą niepostrzeżenie.

- To bardzo proste, panowie...

Ona stoi. Oni siedzą. Role się odwróciły. Ona jest Nauczycielem, oni dzieciarnią, która sili się coś skapować.

- Bardzo proste, każdy z was mógłby dojść do tych samych wniosków. Pod warunkiem, że zadałby sobie trochę trudu.

Tak, tak zaczyna swoim przenikliwym głosem, tonem wykładu w szkole policyjnej: "Ćwiczenia z wnioskowania z gwiazd na tle problematyki śmierci."

Tłumaczy - jej podłużna, koścista głowa wynurza się z obłoków dymu, bierze oddech nieprawidłowo, jak zawsze - tłumaczy "tym panom", że układ gwiazd czterech poprzednich ofiar wskazywał jasno, iż muszą umrzeć nagłą śmiercią, i to właśnie w dzień, kiedy zmarli, ani w przeddzień, ani nazajutrz, i w dokładnie oznaczonym miejscu geograficznym: w Domu Towarowym.

- A moje przejście na emeryturę wypada kiedy? - ironizuje blondynek, odgrywając nieświadomie rolę Jeremiasza.

- Zamknij się, Yanini - beszta go sobowtór Pata Bako, odbierając mi z kolei moją rolę - straciliśmy już dość czasu.

- Zapomnij o sobie i zanotuj jej zeznanie, byle co, choćby przepis na biskopt, szef zaraz tu będzie.

I Dżib Hiena prosi grzecznie Teresę, by kontynuowała.

- Jeśli chodzi o potencjalną ofiarę, piątą - ciągnie Teresa - nie znałam jej tożsamości ani wieku, toteż należało przeprowadzić rozumowanie już nie na podstawie parametrów urodzenia, ale przeciwnie, opierając się na hipotetycznym punkcie końcowym - który nazywany jest "śmiercią", ale który, naturalnie, jest jedynie "przejściem", po czym, ustaliwszy solidne ramy dla wnioskowania dedukcyjnego, spróbować cofnąć się w czasie aż do punktu pojawienia się podmiotu, punktu zwanego "narodzinami", a będącego, oczywiście, jedynie "wcieleniem".

Poczwórne oczy komisarza Coudrier wpatrują się w dal, jakby ściany nie istniały, a blondynek stuka jak oszalały na maszynie, której bezkrwista taśma odbija litery blade jak śmierć. Teresa jest w swoim żywiole.

- Otóż, biorąc pod uwagę dokładne daty "wcielenia" pozostałych dotychczasowych ofiar, charakter układów astralnych, które były zwiastunem ich "przejścia" w Domu Towarowym - czy też, jeśli panowie wolicie, ich śmierci - zdałam sobie sprawę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa dwudziestego ósmego tego miesiąca, w tym samym miejscu, przy przejściu Saturna w pozycję dominującą musi nastąpić nagła śmierć.

Teresa wstała dziś wczesnie rano. Była pierwszą klientką, jaka przekroczyła próg Sklepu. Otrząsnęła się z odrazy wzbudzonej dociekliwym spojrzeniem na wpół śpiącego policjanta. Pospacerowała między wyludnionymi jeszcze stoiskami pod zaintrygowanym okiem sprzedawczyń, które uznały, że ta natchniona postać nie może być jakąś złodziejką w akcji. Potem roztopiła się w tłumie, zagłębiając razem z nim w najdalsze zakątki Domu Towarowego i wyczekując chwili, kiedy śmierć potwierdzi jej przypuszczenia, a zarazem obawiając się ich prawdziwości, ponieważ nie życzyła nikomu śmierci, biedaczka - "Ben, wierzysz mi, powiedz, wiesz, że cię nigdy nie okłamałam!" (tak, dokładnie to samo zdanie, co zdanie Jeremiasza na jego szpitalnym łóżku), "wierzę ci, kochanie, nigdy nikomu nie życzyłam źle, to prawda, mów dalej, słuchamy cię" - nieświadoma miejsca, w którym zostanie zadany

cios, ale przeświadczona, podpowiadało to jakieś mroczne światło (blondynek podnosi oczy znad maszyny, ależ tak, "mroczne światło", właśnie tak powiedziała), że gdy ta chwila nadejdzie, będzie wiedziała gdzie i kiedy.

No i kiedy "chwila nadeszła", znaleziono dziewczynę stojącą w odrętwieniu przed zamkniętymi drzwiami podwójnego wucetu z krainy chłodów. Nikt nie słyszał wybuchu, piętrowe było zresztą praktycznie puste o tej późnej wieczornej godzinie - na dziesięć minut przed zamknięciem biur i ostatnią falą klientów.

Teresę odkrył osobiście szef dzianin. Barczysty facet z nikłym głosikiem. Sądził, że Teresa nie może sobie poradzić, i chciał jej otworzyć drzwi. Zamknięte od środka. Zaintrygowany, chwilę poczekał. Ale ta wysoka, stojąca bez ruchu i bez słowa niezdara przejmowała go lekkim strachem. Odwołał się więc do przełożonych. Tym trybem dotarł do policji.

Która wyważyła drzwi.

Nafaszerowany trup.

I małe zdjęcia na zakrwawionych ścianach.

- I wiesz co, Ben, w chwili jego śmierci odgadłam dokładną datę jego urodzin: 19 grudnia 1922.

Strzelająca salwami maszyna blondynka krztusi się żelazną czkawką. Blondynek rzuca zdumionym okiem na otwarty na jego biurku paszport i głośno czyta:

- Helmut Klinz, obywatel niemiecki, urodzony w Idar Ober-stein 19 grudnia 1922 roku.

- Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji, panie Malaussene?

Jest już późna noc. Caregga odwiózł Teresę do domu. Nawet Policja Śledcza usnęła. Tylko lampa z regulatorem napięcia w biurze komisarza okręgowego Coudrier wskazuje, że Instytucja nadal myśli. Komisarz siedzi za biurkiem, ja stoję przed nim. Ani śladu po pani Elżbiecie, nie ma małej kawki. Tylko "nauczyciel" naprzeciw "nauczyciela".

- Wszystko to bowiem zaczyna się układać w fantastyczną sieć poszlak przeciw panu.

Lekkie rozjaśnienie lampy dla podkreślenia powagi chwili. (Komisarz Coudrier powoduje te zmiany świetlne, lekko naciskając nogą odpowiednią pompkę. Przypuszczam, że każdy gliniarz ma swoje sposoby.)

- A moi ludzie nie bardzo by zrozumieli, gdybym tych poszlak nie wziął pod uwagę. (Teresa, Teresa...)

- Podsumuję sytuację, jeżeli pan pozwoli.

(Nie żeby mi tak znowu zależało...)

Ale on podsumowuje. W ośmiu punktach, które padają w nasz półcień jak koronne punkty oskarżenia:

1) Beniamin Malaussene, kontroler techniczny Domu Towarowego, w którym od siedmiu miesięcy nie zidentyfikowany zabójca podkłada bomby, za każdym razem znajduje się w miejscu wybuchu.

2) A jeśli nie on, to jego siostra Teresa.

3) Wspomniana Teresa Malaussene, nieletnia, przewidziała, jak się wydaje, moment i miejsce czwartego wybuchu - szczególnie, który może zaintrygować każdego funkcjonariusza

policii odpornego na astro-logikę.

4) Jeremiasz Malaussene, również nieletni, podpalił szkołę za pomocą sfabrykowanej bomby, z której przynajmniej jeden składnik został użyty przez zabójcę z Domu Towarowego.

5) Topografia Domu Towarowego szczególnie, jak się zdaje, interesuje całą rodzinę, sądząc po liczbie zdjęć w tornistrze młodszej siostry, Klary Malaussene, uroczej panienki, i po powiększeniach znalezionych podczas rewizji dokonanej w miejscu zamieszkania rodziny, protokół z dnia...

6) Najmłodsze z dzieci Malaussene'ów ma od miesięcy sny o potworach gwiazdkowych, ponury temat, który nie pozostaje bez związku z fotografiami (równie ponurymi) znalezionymi w miejscu ostatniego wybuchu.

7) Cięża siostry Luny Malaussene, zaledwie pełnoletniej, pielęgniarki, była przyczyną spotkania Beniamina Malaussene i profesora Leonarda, ofiary trzeciego wybuchu.

8) Nawet należący do rodziny pies (wiek i rasa nieokreślone) wydaje się zamieszany w sprawę jako ofiara ataku nerwowego w miejscu jednego z morderstw. (Analiza zdjęć znalezionych w klozecie ekspozycji szwedzkiej ujawnia, w jednym przynajmniej wypadku, obecność psa dotkniętego takimi samymi objawami.)

Ponowne nasilenie światła. Siedzący przede mną komisarz Coudrier wydaje się jedynym oświeconym człowiekiem pośród paryskiej nocy.

- Interesujące, nieprawdaż, dla ekipy wyczerpanych policjantów, którzy pragnęliby przejść już do wniosków końcowych? Ciska.

- Ale to nie wszystko, panie Malaussene. Zachce pan rzucić tutaj okiem?

Wyciąga ku mnie kopertę z podwójnego papieru, wypchaną jak balon, która nosi stempel sławnej paryskiej firmy wydawniczej.

- Otrzymaliśmy ją przedwczoraj, czekałem, żeby panu o tym powiedzieć.

Koperta zawiera dwieście, do trzystu stron maszynopisu. Wszystko razem zatytułowane: powieść IMPLOZJA autorstwa Beniamina Malaussene. Jedno spojrzenie wystarcza, bym rozpoznał historię, którą serwuję dzieciarni od rozpoczęcia sprawy, a która znalazła rozwiązanie dwa tygodnie temu, dzięki wyznaniu Jeremiasza. Moje zdumienie jest tak wielkie, że Coudrier uważa za swój obowiązek uściślić:

- Oryginał znaleźliśmy u pana. Uśpiony Paryż pomrukuje bezustannie. Wycie policyjnego samochodu przeszywa miasto, jak zły sen. Na biurku komisarza Coudrier światło lekko przygasa.

- Niech mnie pan zrozumie, chłopcze...

("Chłopcze...")

- Ma pan już tylko jeden atut: moje osobiste przekonanie. Przekonanie o pańskiej niewinności, rozumie się. Żaden z moich współpracowników go nie podziela. W tych warunkach skłonić ich, żeby poszli innym tropem, nie jest rzeczą łatwą. Jeżeli w najbliższym czasie jakieś fakty nie przyjdą w sukurs mojemu przekonaniu...

Słyszę, jak moje punkty oparcia puszczają jeden po drugim. I wtedy pękam. Pal diabli Tea. Pal diabli tego dyżurnego Zorro. Oświadczam, że widziałem, jak mały staruszek w szarym fartuchu podwędził dwa naboje z działu z bronią i ładował prochem obudowę od świdra wiertarki.

- Czemu nie powiedział pan tego wcześniej?

(Istotnie, czemu?)

- Być może uratowałby pan jedno istnienie, panie Malaussene.

(Ale mój przyjaciel Teo, panie Okręgowy, mój przyjaciel Teo i jego por w sosie.)

- Ale sprawdzimy.

Co, jak mi się zdaje, zostaje powiedziane bez wielkiego przekonania. I rzeczywiście, ponieważ uważa za swój obowiązek dodać:

- Niech pan zapali świeczkę, jeżeli pan chce, żebyśmy go znaleźli...

Ale czy zdajesz sobie sprawę? Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś?

- Chciałam ci zrobić niespodziankę, Ben.

- Brawo. Rzeczywiście zrobiłaś.

Trudno opisać moją wściekłość. Czemu to właśnie Klara, moja Klara, musiała wpaść na pomysł, żeby zrobić fotokopię rękopisu i rozesłać ją do jedenastu wydawnictw? JEDENASTU! (11!)

- Niesłusznie tak się unosisz; to bardzo dobrze napisane, wiesz, policjanci świetnie się bawili czytając.

Udusić Lunę? Udusić Lunę, która właśnie się odezwała swoim marzycielskim głosem, z dłońmi skrzyżowanymi na półkuli rychłego macierzyństwa? Przez chwilę się nad tym zastanawiam.

- Zwłaszcza portret Coudriera-Napoleona bardzo ich rozśmieszył.

- Luna, proszę cię, przymknij się. Pozwól Klarze wytłumaczyć. (Co te dzieciaki mają we łbie? A nastolatki? Co im chodzi po głowie? Czy tylko dzieci naszej mamy są wyprodukowane według takiej sztancy, czy też wszystkie są takie same? Niech mnie ktoś oświeci, przez litość, ktokolwiek, nawet jakiś pedagog, niech mi powie!)

Śledztwo nie jest skończone, gliny mają mnie na oku od miesiąca, Jeremiasz puszcza z dymem swoją budę, a nazajutrz po tej katastrofie Klara wysłała moją powieść do jedenastu wydawnictw (Klara! Do jedenastu!), moją opowieść, która w zakończeniu ujawnia przepis na Jeremiaszową bombę oraz tajemnicę jej wykonania na terenie szkoły! DLACZEGO?

- Żeby cię pocieszyć, Ben.

(Pocieszyć...)

- Zapytałam Julię, zgodziła się.

(Świetny pomysł, to tylko o jedną wariatkę więcej w moim kółku rodzinnym.)

- A poza tym to jest bardzo śmieszne, Ben, zapewniam cię, policjanci naprawdę umierali ze śmiechu.

(Tak, zauważyłem, zwłaszcza Coudrier...)

- W takim razie jak wyjaśnisz odmowę wydawcy. Luna?

Albowiem dziś rano na tacy ze śniadaniem przyniesionym przez Klarę otrzymałem pierwszą odpowiedź. Odmowę uprzejmą, ale stanowczą. Sygnatariusz listu uznaje, że arcydzieło jest "niewątpliwie pełne fantazji", ale żałuje, że "konstrukcja jest nieco szkicowa" (no ja myślę!), zastanawia się "nad celowością wydawania takiego tekstu w chwili, gdy o podobnej sprawie piszą akurat wszystkie gazety" (ja też się zastanawiam), by w końcu stwierdzić, że "tego typu utwór nie leży w profilu naszych publikacji". (Całe szczęście...)

- To nic nie znaczy, Ben, zostało jeszcze dziesięć wydawnictw! Wiesz dobrze, jaka jest twoja największa wada: że nigdy nie wierzysz w to, co robisz.

Dzikię zwierzę we mnie przeży się do skoku. Jego wzrok kieruje się w stronę brzucha Luni. Myśli: "Za jakieś dziesięć dni będę miał tych dwoje na karku." Moje wargi unoszą się. Kły połyskują niebezpiecznie. Właśnie ten moment wybiera Teresa, by wypowiedzieć

przypuszczenie o rzadkiej psychologicznej przenikliwości:

- Czy przypadkiem nie jesteś po prostu zły, że ci odmówili, Ben?
(Czy istnieje przyspieszona emerytura dla starszych braci?)

To na tyle, jeśli chodzi o sprawy rodzinne. Jeżeli teraz rzucimy okiem na sprawy zawodowe, też jest wesoło, jakby powiedział Jeremiasz. Ani śladu po staruszkach z głową świerszcza. Ani śladu po glinach. Jestem sam. Sam pośrodku pola minowego. Na najmniejsze trzaśnięcie drzwiami, na jakiś trochę cięższy artykuł spadający z lady, na głośniejsze słowo - podskakuję. Nawet na głos miss Hamilton. Cały czas na granicy utraty przytomności. Ostra paranoja.

W dziale reklamacji zmartwienia klientów wyciskają z moich oczu prawdziwe łzy, a Lehmann, który marnuje masę czasu na pocieszanie mnie, rozpuszcza plotki, że zacząłem zaglądać do kieliszka.

- To prawda? - pyta Teo - Nie wolisz wachać? To równie szkodliwe, ale lepsze dla psychiki.

A Sinclair, wyrozumiale:

- Wykonuje pan deprymujące zajęcie, panie Malaussene, to i tak cud, że wytrzymał pan tak długo. Niebawem, przydzielimy pana gdzieś indziej. Na przykład nadzór parteru, odpowiadałby panu? Zamierzamy się rozstać z panem Cazeneuve.

Dlaczego stary Gimini Świerszcz przepadł? Dlatego że go widziałem? Ale przecież robił wszystko, żeby dać się zobaczyć! Gdyby nie wypadek Jeremiasza, byłbym asystował przy wszystkich etapach fabrykacji. A więc? Wyczuł, że mnie pilnują te dwie gliny Coudriera? A ci dwaj, czemu także wyparowali? Czemu nie zastąpiono ich innymi, w odcieniu ściany? Nie ma już ani jednego policajka w tym Sklepie. Ani Teo, ani jego staruszkowie nie zostali przesłuchani. Co oznacza to osierocenie? Oczekiwanie na co? Potrzebna mi ta bomba. Musi wałnąć bomba. Muszę wiedzieć gdzie, kiedy i kto! Muszę pilnie dostać w swoje ręce drania, który mnie wrabia od paru miesięcy. Muszę. W przeciwnym razie zamiast niego zapudłują mnie. Brak dowodów, ale stopy oznak i poszlak. Dość, żeby mnie posłać do mamra aż do czasu, kiedy bliźnięta Luny będą pełnoletnie. A kto ich będzie wychowywał, tych małych gnojzków? Jeremiasz? Nauczyłby ich robić bombę neutronową! Mama? Mama...

- Mamo, mamo...

W prysznicach przylegających do naszej szatni Teo znajduje mnie szlochającego jak zatraceniec: "Mamo, mamo". Krztuszę się nad umywalką, polewam twarz zimną wodą i chlipię jak cielę:

"Mamo, mamo...", rozpacz wspierana litaniami: "Ojcze, czemuś mnie opuścił?", która jak spirala wraca z pogrzebanych czasów katechizmu, kiedy to mama chciała, żebym miał Pana Boga w miejsce tatusia. "Mamo, mamo, czemuś mnie opuściła?" No i Teo pociesza mnie tak jak dawniej Jasmina, żona starego Amara. Teo, którego zdradziłem, wydając jego małego staruszka czyniącego sprawiedliwość...

- Jeden z moich staruszków, mówisz?

- Jeden z twoich staruszków, Teo, ten z główką świerszcza, ten, który majstrował przy kranach wtedy, kiedy wybuchł foto-automat, chciał cię odciągnąć, żebyś nie został ranny przy

wybuchu... wydałem go glinom, Teo, za dużo poszłak przeciwko mnie...

Dłoń Tea zakręca kran i, jako że jesteśmy przy katechizacji, przyjaciel ewangelicznym gestem wyciera mi twarz. Omalże widzę, jak moja urocza gęba odciska się na odwrocie ręcznika...

- To nie takiego, Ben, zresztą i tak po tych zdjęciach w szwedzkim sraczu gliny wpadły już na właściwy trop.

- Jak się nazywa ten stary?

- Pojęcia nie mam. Ja ich nie nazywam, ja ich przezywam.

- A gdzie mieszka?

- Bo ja wiem... W jakimś schronisku, może w służbówce.

- Czemu zniknął?

- Według ciebie, czemu się znika w tym wieku?

- Myślisz, że umarł?

- To im się zdarza i jest zawsze zaskakujące, przez te ich twarze jakby wieczne.

- Teo, on *nie powinien* umrzeć!

("Niech pan zapali świeczkę, jeśli pan chce, żebyśmy go znaleźli...")

- Jest inna hipoteza...

- Tak?

- Że się wywiązał z umowy, Ben, że sprzątnął wszystkich tych drani i rozpląnął się w krajobrazie.

34

Przez ponad tydzień Julia, Teo i ja sam przetrząsaliśmy podziemie czwartej grupy wiekowej Paryża, Teo pod wodzą swoich własnych staruszków, Julia posłuszna jedynie swemu instynktowi szperacza, a ja podążając kolejno to za jednym, to za drugim, zbyt odrętwiały, żeby podjąć choćby najmniejszą inicjatywę własną, ale zbyt spanikowany, by pozostać na uboczu teatru poszukiwań. Przetrzęsaliśmy wszystko, od najnędrniejszych oddziałów Armii Zbawienia po najelegantsze kluby brydżowe, zaliczając po drodze całe mnóstwo stowarzyszeń o celach wysoce lukratywnych: przepełnione noclegownie, tureckie łaźnie, przezroczyście zupki, nieprzeniknione dyrektorki - woda stojąca na wszystkich piętrach. Teo był z każdym dniem coraz bliższy samobójstwa, a Julia swojego przyszłego artykułu.

- Ben, znalazłam coś!

(Skurcz nadziei w moim wysłużonym sercu.)

- Co, Julia, co?

- Handel narkotykami, bomba stulecia. Wszyscy ci staruszkowie chodzą na pasku u handlarzy!

(Mam to w nosie, Julia, mam to gdzieś, znajdź mi mojego staruszka, zapomnij na chwilę o pracy, do cholery!)

- Szprycują się jak szaleni, Ben. Trzeba ich zrozumieć, chcą o wszystkim zapomnieć, nawet o przyszłości, a jak nie chcą zapomnieć, to chcą sobie przypomnieć, i: podwójna dawka!

Była strasznie napalona, a ja wiedziałem z doświadczenia, że nic na świecie nie zdoła

ugasić tego pożaru.

- Inni się już dawno w tym pokapowali. Wyniuchałam różne transakcje... Mówię ci, tutaj odchodzi cały wielki handel środkami odurzającymi!

(Jakby to był właściwy moment, żeby do moich kłopotów dodawać jeszcze jeden...)

- Uważaj na siebie, Julia, bądź ostrożna.

Ale ją już wciągnęło:

- Oczywiście, lekarze nigdy im nie zapisują wystarczająco dużo środków przeciwbólowych.

(Julia, litości, zajmij się mną, NAJPIERW MNĄ, Julia!)

- I to wszystko z błogosławieństwem władz, bo kiedy taki stary odwali kitę z przedawkowania, to dla nich znaczy akurat tyle, co stary grat, który się rozleciał.

Potem powolutku Teo zaczął rekrutować nowych pracowników do Sklepu, Julia uzupełniać materiały do artykułu, a ja zostałam sam z moim problemem. Sam z małym zdankiem Tea w opustoszałej łepetynie: "Że się wywiązał z umowy, Ben, i rozplynął w krajobrazie."

Nie. Gimini Świerszcz nie wywiązał się z umowy. Został mu do zlikwidowania jeszcze jeden potwór. Szósty. Ostatni. Sam mi o tym powiedział. Wczoraj wieczorem. W nocnym metrze, zasiadłszy na ławce akurat naprzeciw mnie, całkiem zwyczajnie, wtedy kiedy nie miałem już nadziei, że go w ogóle odnajdę. Mój staruszek z łebkiem świerszcza.

Pomijam element zaskoczenia, żeby przejść bezpośrednio do rozmowy.

- Ostatni?

- Tak, młody człowieku, było ich sześciu. Sześciu, którzy przewali się Klanem 111.

- Dlaczego sto jedenaście?

- Bo 111 pomnożone przez 6 daje 666, co jest liczbą Bestii, a 111 miało być liczbą złożonych ofiar.

Uśmiechnął się z odcieniem pobłażania.

- Tak, młody człowieku. Symboliczne cyfry, głupstwa. Najgorsze koszmary brały się zawsze z dziecinady.

Dobra. Wróćmy do zaskoczenia, mimo wszystko. Usiadł więc naprzeciwko mnie, Gimini Świerszcz. Przyłożył palec wskazujący do ust, żebym nie krzyknął ze zdziwienia.

Uśmiechnął się.

Powiedział:

- Tak, to ja.

Oprócz nas w wagonie były jeszcze trzy śpiące osoby. Właśnie rozstałem się ze Stożilem, który nie bardzo umiał polepszyć mi nastrój. Powtarzał tylko w kółko, niestrudzenie:

- On jest niedaleko, mały, uwierz mi: każdy prawdziwy zabójca staje się swoim własnym cieniem.

- Jaki jest prawdziwy zabójca, Stożil?

- Nienasycony.

No więc miałem mojego nienasyconego zabójcę przed sobą.

Zasiadł jak karzeł na tronie, wierząc się na poślaskach, żeby dosięgnąć oparcia. Nogi

zwisały mu w powietrzu, jak moim maluchom usadzonym na stosie kołder. A oczy świeciły tym samym co u nich blaskiem. Nie miał już na sobie sierocej szarej bluzy, ale odpowiedni do swego wieku garnitur z tergalu, starannie wyprasowany, jak przystało w jego sytuacji. W butonierce migotała purpurowa baretka Legii Honorowej. Jął opowiadać, nie dbając o wstępy. Ani przez chwilę nie sądził, że mógłbym rzucić się na niego, związać i dostarczyć bez żadnych dodatkowych opłat Coudrierowi. Ani przez chwilę mi to nie przyszło na myśl. W miarę opowiadania rósł, a ja w miarę słuchania malałem. Historia bez zaskakujących elementów, w gruncie rzeczy. I opowiedziana nie w celu wywarcia wrażenia. Od razu sedno (wściekle zalatujące padliną). 1942: zamknięcie Domu Towarowego z powodu europejskiego pogromu. Jednak utrudnienia prawne przez sześć miesięcy. Właściciele uparcie się bronili, a cywilizacja udawała, że zachowuje formy. Jednak te pół roku skończyło się, oczywiście, w przepastnej paszczy krematorium: "Historia zdecydowała", jak powiedział ten bubek Risson z za swojej ściany książek. Rada Nadzorcza wybyła.

1942: sześć miesięcy, podczas których wielki sklep trwa milcząco i mrocznie pośród swych obfitości. Towary śpią wojennym snem, a wokół czarny kordon Milicji. Niektórzy ideolodzy w brunatnych koszulach chcieli nawet, żeby Sklep pozostał zamknięty jak grobowiec aż do rocznicy narodowosocjalistycznego Tysiąclecia.

- Mówili o tym, jakby to miało być jutro, młody człowieku, przekonani, że połykając Europę wchłonęli też Czas.

I rzeczywiście, po kilku tygodniach cały wielki sklep spowił mrok tajemnicy. Jego ślepy bezruch rodził domysły, jak trup robactwo. Na temat potajemnych impulsów w jego wnętrzościach kursowały najrozmaitsze przypuszczenia. Dla jednych był Kwaterą Główną Ruchu Oporu, dla innych terenem eksperymentalnym tortur gestapo, dla jeszcze innych nie był niczym innym tylko sobą, zamkniętym muzeum martwej historii, która nagle stała się obca. We wszystkich wypadkach ludzie patrzyli nań tak, jakby go nie rozpoznawali.

- Nic nie obrasta legendą szybciej niż miejsce publiczne, do którego dostęp zostanie ludziom brutalnie odcięty.

Tak, w owych czasach wyobraźnia poruszała się wielkimi krokami po bezkresnym polu mitów. Tylko kilka miesięcy, a w powszechnej pamięci upłynęło całe tysiąclecie.

Z okresu tej błyskawicznie się dziejącej wieczności korzystało, pod osłoną pękającego od wykopaliskowych towarów półmroku, sześć potworów z Klanu 111.

- Kim oni byli?

- Wie pan równie dobrze jak ja. Sześć osób różnej proveniencji zjednoczonych wspólną wzdardą dla tych, których Alister Crowley nazywał "brudnymi karłami XX wieku", i zdecydowanych w pełni skorzystać z okresowego wstrząsu w mrowisku.

- Profesor Leonard do nich należał?

- Należał. On zwłaszcza powoływał się na Alistera Crowleya. Inny poczuwał się do powinowactwa z Gilles'em de Rais, i tak dalej, wszyscy zbratani w eklektycznym demonizmie, który stanowił - tak uważali - ducha ich czasów. Otóż to, młody człowieku, byli duchem swej epoki, duchem, który się karmił świeżym mięsem.

- Dzieci?

- A czasem zwierząt, na przykład tego psa, którego Leonard rozszarpał własnymi zębami.

(A więc to wywęszyła twoja dusza, mój stary Juliuszu! Kiedy to opowiem, nikt mi nie uwierzy...)

- Skąd brali ofiary?

- W czasach głodu Gilles de Rais otwierał spiżarnie, żeby zwabić dzieci. Oni nęcili je Królestwem Zabawek.

(Gwiazdkowe potwory...)

- W większości były to dzieci oddawane przez zagrożonych rodziców w pewne ręce: siatce, która miała je przetrzucać do Hiszpanii, do Stanów Zjednoczonych, gdzieś z dala od masakry. W rzeczywistości siatka miała swój koniec w mrokach Domu Towarowego. I teraz umrze szósty, ostatni, dostawca dzieci.

- Kiedy?

Zadałem pytanie tonem kogoś, kto został nagle zaskoczony, przekonany zarazem byłem, że nie ma na świecie takiej siły, która by go zmusiła do odpowiedzi.

- Dwudziestego czwartego tego miesiąca.

Popatrzył na mnie z uśmiechem. Powtórzył bardzo spokojnie:

- Dwudziestego czwartego o siedemnastej trzydzieści w dziale zabawek. I pan tam będzie, młody człowieku. Komisarz okręgowy Coudrier także, jak sądzę.

Gimini kazał mi się przesiadać sześć razy. W wykładanych kafelkami korytarzach jego kroki nie budziły echa. Dopiero wtedy dostrzegłem jego ranne pantofle. "Wiek"... szepnął z przepaszającym uśmiechem. Odpowiedział na wszystkie moje pytania. Zwłaszcza na jedno, to jedyne, które zawiera pozostałe:

- Czemu włączył mnie pan w tę wendetę? W okolicach Goutte d' Or metro kołysało. Czarni kiwali się w ciemnościach. Uśpione głowy na czujnych ramionach.

- Dlaczego ja?

Patrzył na mnie długo, jakby przeglądał jakiś wewnętrzny spis, i wreszcie odpowiedział:

- Bo święty z pana człowiek.

Ponieważ spojrzałem na niego jak wół na malowane wrota, rozwinął myśl:

- Wykonuje pan w tym sklepie niesamowitą pracę, pracę absolutnie humanitarną.

(No nie mów...)

- Obarczając się grzechami innych, biorąc na swe ramiona wszystkie przewiny Handlu, postępuje pan jak święty, jak Chrystus.

(Jezus? Ja? Słodki Jezu...)

- Tak długo na pana czekałem...

W jego oczach zapłonęły nagle oliwne lampki. I tak, rozświetlony od wewnątrz, wyjaśnił mi, dlaczego wysadzał te bomby tuż pod moim bokiem. Według niego, eliminacja absolutnego zła musi dokonywać się w układzie symetrycznym, w konfrontacji z całkowitym dobrem, wobec Kozła Ofiarnego, symbolu prześladowanej niewinności: mnie. Tak, święty musiał być świadkiem unicestwienia demonów.

- Zaświadczysz o tym, młody człowieku, jesteś jedynym depozytariuszem prawdy, jedynym, który jest jej godny!

Nie muszę chyba dodawać, że gdy tylko mój Świerszcz rozpląnął się w paryskiej nocy, rzuciłem się do kabiny telefonicznej, żeby zadzwonić do Coudriera. Wysłuchał bez słowa, a

potem powiedział:

- Mówiłem panu, że ma pan niebezpieczne zajęcie...

(Już niedługo, słowo świętego!)

- Dwudziestego czwartego o siedemnastej trzydzięci w dziale zabawek, mówi pan? To czwartek. Będę tam, a pan niech też się postara przyjść, panie Malaussene.

- Mowy nie ma!

- No to nic się nie stanie i będzie pan nadal ulubionym podejrzanym moich ludzi. Jasne.

Pytam jeszcze:

- Ma pan jakiś pomysł co do tożsamości ostatniej ofiary, dostawcy dzieci?

- Żadnego, a pan?

- Powiedział mi tylko, że będę zaskoczony.

- Dobrze. Czekajmy więc na niespodziankę.

Juliusz oczekiwał mnie w nogach łóżka. Juliusz, który w tej sprawie miał więcej nosa niż ja. Juliusz, który odpowiedział na wszystkie pytania. Juliusz, którego jeszcze ciągle nie wykapałem. Poglaskałem go po myślącej głowie i pozwoliłem swojej opaść z bardzo wysoka na poduszkę. Gdzie została chłodno spoliczkowana w zetknięciu z pismem o glansowanej okładce.

Był to numer "Actuel".

Ten, który opowiadał o życiu Świętego. Nareszcie wydrukowali! Otworzyłem na stronach, które mnie dotyczyły i, prawdę mówiąc, odniosłem raczej umiarkowane wrażenie. Jeżeli mój stary Zorro z Legią Honorową to przeczyta, będzie musiał zrewidować sprawę mojej świętości.

Z drugiej strony, wielka uciecha na myśl o minie Sinclaira. I totalna radość, że będę wylany, nareszcie uwolniony od tej parszywej roboty. Albowiem bez względu na toczące się śledztwo, Sinclair będzie musiał mnie wylać!

Po raz pierwszy od dawna (pomimo czwartkowych perspektyw) zasnąłem jak człowiek szczęśliwy.

Ma pan dzieci, Malaussene?

Żaden mięsień nie drgnie w jego twarzy. Przyjął mnie w swoim biurze, jak ostatnio. Ale nie proponuje mi ani whisky, ani cygara. Ani nawet krzesła. Tym razem Sinclair nie ma sobie czego powinszować. Pyta tylko:

- Ma pan dzieci?

- A bo ja wiem.

- Warto by się dowiedzieć, bo zafunduję panu proces, który pan przegra i który pana zrujnuje aż do siódmego pokolenia. Byłoby uczciwie uprzedzić ewentualnych spadkobierców. Numer "Actuel" leży otwarty przed jego oczami, ale on patrzy na mnie:

- Kalać własne gniazdo to raczej rzecz rozpowszechniona. I tak by to pana drogo kosztowało. Ale teraz, kiedy pan się odsłonił...

Szybko przelicza w głowie...

- Cena będzie zawrotna, panie Malaussene.

Uśmiech, którego miałem go oduczyc, wraca na jego twarz ze wspomnianą elastyczną łatwością dostosowania. Taką, jakiej zawsze będzie brakowało przekłętemu świętemu, którym jestem.

- Ponieważ, proszę sobie wyobrazić, podpisał pan umowę, umowę jasno określającą rolę kontrolera technicznego. I kiedy nadejdzie właściwy moment, stanie pan twarzą w twarz z ośmiuset pięćdziesięcioma pięcioma pracownikami, którzy potwierdzą - w najlepszej na świecie wierze - że pan nigdy nie wypełniał swego zadania należycie, że wołał pan odgrywać rolę męczennika wymyśloną w pańskiej chorej mózgowicy, a firma popełniła tylko jeden błąd, ten mianowicie, że pana trzymała w swoich szeregach.

Cisza.

- Od trzech lat, od kiedy objąłem dyrekturę Sklepu, panie Malaussene, żaden pracownik nie został zwolniony. Powtarza, wciąż tak samo uśmiechnięty:

- Żaden.

(A jednak to prawda, uśmiecha się zawsze w ten sam sposób, tylko raz.)

- Dlatego trzymaliśmy pana wśród nas.

Teraz coś nowego w jego głosie. To coś stanowi siłę wszystkich Sinclairów na świecie: on w to wierzy. Wierzy niezachwianie w wersję, którą właśnie przedstawił. To nie jego prawda, to prawda w ogóle. Która wprawia w ruch kasy rejestrujące sprzedane towary. Jedyna.

- Jeszcze coś.

(Tak, panie Sinclair?)

- Na pana miejscu bałbym się własnego cienia, bo wydaje mi się, że gdybym ja był klientem, który miał z panem do czynienia w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, to postarałbym się pana znaleźć. Nie pożałowałbym czasu.

(Istotnie, widzę pewne plecy przed sobą, mogące z łatwością spowodować zaćmienie słońca: "Nie pozwól, żeby te gnoje wypijały z ciebie krew, nie daj się, mały!")

- To wszystko.

(Co wszystko?)

- Może pan sobie iść, jest pan zwolniony.

- Ale powiedział pan, że policja zabroniła ruchu kadr w czasie trwania śledztwa...

Prawdziwy wybuch dyrektorskiego śmiechu.

- Żartuje pan! Po prostu kłamałem, Malaussene, w interesie firmy, rozumie się. Wywiązywał się pan znakomicie ze swej roli i nie chciałem pańskiej dymisji.

(Dobra. Dobra, dobra, dobra. Jestem załatwiony. Załatwił mnie.)

I uprzejmie odprowadzając mnie do drzwi:

- Zresztą, nie całkiem pana utracimy: oszczędzaliśmy na panu dużo pieniędzy, teraz zarobimy na panu znacznie więcej.

Tak to jest. Człowiek szykuje się na radochę stulecia, a kiedy ta chwila nadchodzi, ma posmak jak z Ferneta Branki. W tym względzie, jak i w kilku innych, Julia ma rację: nigdy nie pokładać nadziei w obietnicy rozkoszy. Od razu albo wcale. Spytajcie tych tam z drugiej strony kurtyny, którzy harują dla Świetlanej Przyszłości...

Tak sobie filozofowałem, przesuając się po raz ostatni przed oczami Lehmana. Ach, to spojrzenie człowieka zdradzonego, które posyła mi ze swojej przezroczysej klatki, podczas gdy wraz z ruchomymi schodami pogrążam się w najgłębszą otchłań. Wstyd! Jest mi wstyd, a powinienem być w skowronkach!

Czuję się tak paskudnie, że o mało nie rozkwaszam sobie gęby, kiedy schody docierają do punktu, który jest zawsze nieruchomy. A kiedy odzyskuję równowagę (śmichy chichy panienek z zabawkowego), słyszę, jak głos miss Hamilton rozpyła, z całkiem już innym uśmiechem:

- Pan Cazeneuve jest proszony do działu reklamacji.

Rozkład zajęć życiowych powinien uwzględniać chwilę, konkretną chwilę w ciągu dnia, kiedy to człowiek mógłby się uzalić nad swoim losem. Chwilę specjalną, która nie byłaby wypełniona ani pracą, ani żarciem, ani trawieniem, chwilę całkowitej wolności, pustą przestrzeń, gdzie człowiek mógłby w spokoju ocenić rozmiary katastrofy. Dzięki takiej ocenie dzień byłby lepszy, odarty ze złudzeń, z jasno zarysowanym krajobrazem. Ponieważ myśląc w przelocie o swoim nieszczęściu i mając w perspektywie konieczność szukania następnej pracy - człowiek popełnia błędy, niewłaściwie ocenia, uznając sytuację za gorszą, niż jest ona w rzeczywistości. Ale bywa też i tak, że uważa się za szczęśliwego!

Tak to przed chwilą rozmyślałem, wyciągnięty na swoim wyrku, grzejąc się w ciepłe Juliusza, kiedy zadzwonił telefon. Było mi dobrze. Szacowałem dokładnie rozmiary porażki, żując w ustach szczególny smak klęski, jakiego nabrało moje zwycięstwo nad Sinclairem. Byłem już bliski doskonałej oceny mojego nieszczęścia, kiedy ten kurewski dzwonek pomieszał mi szyki: wykonałem gest, który jest najbardziej ze wszystkich przepojony złudzeniem - odebrałem telefon.

- Ben? Luna urodziła szczęśliwie.

"Urodziła szczęśliwie"... tylko Teresa ma takie sformułowania. Kiedy kopnę w kalendarz, zamiast być poruszona moją śmiercią, oświadczy, że "jest pogrążona w głębokiej żałobie po stracie swojego starszego brata".

Dobrze. Luna urodziła szczęśliwie. Wziąłem bielutki adres kliniki, wsiadłem do metra, chwyciłem się rączki, czekam, aż mi przejdzie: coś we mnie kołacze na myśl, że zobaczę nowiutkie mordki bliźniaków. (Jedną i tę samą u obydwu?) To coś zaczyna wkrótce walić równie mocno jak pięć lat temu przy pojawieniu się Malca, a dalej wstecz przy Jeremiaszu, a jeszcze dalej przy Klarze - którą sam przyjąłem na świat (akuszerka była zalana, a lekarz zwiął z kasą), sam odcumowałem jej mały stateczek i powitałem ją z wielkimi honorami w domu, moją Klarę, z mamą w tle, która już wtedy powtarzała: "Jesteś dobrym synem, Beniaminie, zawsze byłeś dobrym synem..."

Tak. To, co odczuwam, to szczęście. To znaczy, coś w tym rodzaju. Wszystkie oceny, których dokonałem leżąc w łóżku, wzięły w łeb. Postarajmy się jednak myśleć trzeźwo. "Luna urodziła szczęśliwie": powściągliwy optymizm dla określenia czegoś, co jest w rzeczywistości początkiem nowych nieszczęść. Albowiem bliźnięta, nie oszukujmy się, to oznacza dwie gęby więcej do wyżywienia, czworo oczu do zabawiania, dwudziestkę palców do pilnowania i mnóstwo nastrojów do podtrzymywania na duchu w kółko i w kółko. Wszystko to z procesem Sinclaira w perspektywie, ruiną na horyzoncie i, być może, więzieniem, a w każdym razie hańbą i (ahoj, Emilu Zola!) alkoholyczną degrengoladą. Trudno! Jak tylko skończą pięć lat, posłę te bliźniaki do roboty! Oto co zrobię! Amputujemy to i owo i na żebry! Niech zarabiają! Jeżeli chcą obgryzać coś więcej niż własne pięści!

Dlaczego "rzeczywistość" zawsze staje mi na przeszkodzie? Dlaczego życie krzyżuje moje plany? Te właśnie pytania zadaję sobie stojąc u węzłowie Luny w pełnej pisków i kwiatów klinice, spoglądając na Laurentego, który ściska moją siostrę w ramionach, "moje kochanie, moje drogie kochanie", a potem rozpląszcza pysk o szybę aseptycznego akwarium wymyślonego po to, żeby chronić dzieci przed żarłocznością ojców, i bełkoce:

- Mam trzy Luny, trzy Luny, Ben! Miałem jedną, a mam trzy!

(Cena za jedną nie jest taka sama, bądź pewien.)

Rzecz kończy się u Kutubii, gdzie Amar serwuje nam wszystkim kuskus na koszt firmy, jak zawsze, kiedy przychodzę z wiadomością o narodzinach.

- Odkryłem coś ważnego, Ben (to filozofuje Laurenty, oficjalnie wspierany przez szesnastoprocentowe wino Mascara), że rzeczywistość jest zawsze łatwiejsza do zniesienia niż wyobrażenia, nawet jeżeli jest gorsza! Nie chciałem bachora, a mam dwa, no i nie ma w tym nic strasznego, straszne jest to, Ben, że tak się bałem tego cudu. (Westchnienia...) O, Ben, jak mogłem zrobić Lunie coś takiego? (Łkania...) Spierz mnie po pysku, proszę cię, Ben, spierz mnie, zrób to dla swojej siostry. (Samobiczowanie, rozdzieranie koszuli...)

- Jeszcze szklaneczkę mascary?

- Tak, jest całkiem niezła w tym roku.

- Ben?

Julia obejmuje dłonią moje udo.

- Klara mi mówiła, nie przejmuj się tym procesem, Sinclair cię nabrał. Jeżeli będzie proces, to przeciwko gazecie, a sędzia musiałby być już superzłośliwy, żeby przyładować nam symbolicznego franka odszkodowania.

- Starego franka, przed de gaulle'owskiego, mikrofranka - uściśla Teo, którego wzrok pieszczotliwie przesuwają się po pośludkach Hadusza.

Melodia wieczoru - Klara kroi mięso Jeremiaszowi, Teresa, przyklejona do wideo, niestrudzenie puszcza pogrzeb Urn Kalsum, Malec wtajemnicza Juliusza w rytuał herbaty miętowej, a Amar po raz setny obwieszcza bliski koniec restauracji z powodu wznoszenia New Belleville.

- Przykro mi z twojego powodu, Amar.

- Czemu? Odpoczynek to dobra rzecz, synu.

I dawaj opowiadać, jak to też wykorzysta emeryturę, żeby podleczyć reumatyzm kąpielami w piaskach południowej Sahary. (Biała głowa Amara z Saharą dookoła szyi...)

I dopiero pod samiutki koniec (kiedy Laurenty śpi w talerzu pijany jak bela, Jeremiasza i Malca zwiniętych w kłębek ogrzewa swym ciepłym futrem Juliusz, Teo już dawno przepadł z Haduszem, Teresa zamieniła się w wirującego derwisza, a dłoń Julii zapowiada, że zaraz nastąpi ostateczny atak), Klara, moja Klara, oznajmia wielką nowinę:

- Mam dla ciebie niespodziankę, Beniaminie.

Niespodzianka (czy na pewno lubię jeszcze niespodzianki?) przybrała postać telegramu. Telegramu od renomowanego wydawnictwa (nie podaję nazwy, niech się zagryzają między sobą...); jest ujęty w następujące słowa, lakoniczne prawie jak pogróżka:

ZAINTERESOWANI, ZGŁOSIĆ SIĘ PILNIE!

Nie jest nieprzyjemnie, gdy człowiek odkrywa, że okazał się geniuszem mimo woli. To dosyć zabawne pomyśleć, że kilka miesięcy nie uporządkowanej gadaniny przeznaczonej dla bandy cierpiących na bezsenność dzieciaków i psa epileptyka, spisanej przez pozbawioną finezji sekretarkę i wysłanej przez nieodpowiedzialnego nadawcę, wystarczy, żeby jakiś smok wydawniczy zaczął się ślinić.

Tak sobie pomyślałem, kiedy się obudziłem. Tak sobie mówiłem w metrze. To sobie nadal powtarzam teraz, kiedy sterczę pośród ogromu tego (biura? salonu? sali konferencyjnej? pola wyścigowego?), gdzie złotawe boazerie nawiązujące do Historii bratają się z zuchwałą geometrią przyszłościowego umeblowania. Aluminium i stiuki, dynamizm i tradycja, lokal, który przesiąkł przeszłością i który zawładnie przyszłością, mogłem trafić gorzej.

Skwapliwa uprzejmość galancika, który mnie powitał, utwierdza mnie w przekonaniu, że oczekiwany tu jestem niecierpliwie. Nikt nie śpi od chwili, kiedy wysłali telegram. W powietrzu wisi coś, co podpowiada mi, że wszyscy wstrzymali oddech.

“A gdyby Malaussene odmówił?”

Powiew paniki nad stołem konferencyjnym.

“A jeśli dostał inne propozycje?”

“Zwiększymy stawkę pięciokrotnie, panowie...”

(IMPLOZJA... niezły ten Klary tytuł.)

- Napije się pan czegoś?

Galancik otworzył barek w dolnej części biblioteki.

- Szkocką? Porto?

(Byłby czas na małe porto, prawda? Tak.)

- Kawę.

Niech będzie kawa. Wymowna cisza. Skrzyżowane nogi. Długie spojrzenie fircyka. Mieszam srebrną łyżeczką.

- Znakomite, naprawdę, panie Malaussene.

(Znakomite się tak nie wymawia.)

- Ale nie zostałem upoważniony, żeby powiedzieć więcej.

Lekki śmiech.

- Ten przywilej zachowuje dla siebie nasza Kierowniczka literacka.

Śmieszek leciutki.

- Znakomita osobowość, zobaczy pan...

(Ona też?)

- Między sobą nazywamy ją poufale królową Zabo.

(Niech będzie królowa Zabo, jesteśmy wśród swoich.)

- Rozważna w sądach i szczerza w wypowiedziach... Cień wahania, potem pół tonu niżej:

- Stąd właśnie cały problem. (Problem? Jaki problem?)

Uśmiech, pokasływanie, zewnętrzne oznaki dystygowanego zażenowania, potem zniechęta:

- No dobrze, zapowiem pana.

Wyście galancika. To już pół godziny. Od pół godziny czekam na pojawienie się królowej Zabo. Z początku pomyślałem sobie, że dotrzymają mi towarzystwa książki, skromnie stanąłem przed biblioteką, wyciągnąłem rękę z szacunkiem, ostrożnie wyjąłem tom: pusta okładka. Książki w środku nie ma.

Spróbowałem w innym miejscu: idem.

W tym pomieszczeniu nie ma ani jednej książki! Tylko rzędy pstrokatych obwolot. Nie ma wątpliwości, Malaussene, jesteś w wydawnictwie.

Szukam pocieszenia obliczając, ile może mi przynieść wydanie bestsellera. Jeżeli się wszystko weźmie pod uwagę: prawa filmowe, telewizyjne, radiowe, suma jest zawrotna. Nawet jeżeli założyć minimum, i tak przekracza to znacznie moje możliwości arytmetyczne. Bez względu na to, jak będzie, miałem rację, uwalniając się od tej wstrętnej roli Kozła Ofiarnego. Przez trzydzieści lat istnienia firmy nie zarobiłbym jednej dziesiątej tego co tutaj!

Właśnie tę chwilę szczęścia wybiera królowa Zabo, żeby wejść. Królowa Zabo!

- A, dzień dobry, panie Malaussene!

Koścista kobieta, z olbrzymią głową osadzoną na długim tułowiu.

(Dzień dobry pani...)

- Nie, niech pan nie wstaje, zresztą nie zatrzymam pana długo.

Piskliwy głos, nie bawiący się w grzeczności.

- No więc?

Wrzasnęła swoje "no więc" tak, że podskoczyłem. (No więc co, Wasza Wysokość?) Muszę mieć odpowiednio przerażoną facjatę, bo wybucha wielkim puciołowatym śmiechem. Nie do wiary, można by przypuszczać, że głowa trafiła na jej korpus przypadkiem!

- No nie, panie Malaussene, żeby nie było między nami nieporozumień, nie zaprosiłam pana z powodu pańskiej książki, nie wydajemy tego rodzaju bredni!

Fireyk w roli Pazia pokasłuje. Królowa Zabo odwraca się całym ciałem:

- Brednie, prawda? Był pan tego zdania, Gauthier?!

Potem znowu do mnie:

- Niech pan posłucha, panie Malaussene, to nie jest książka, nie ma w niej żadnej koncepcji estetycznej, pan zmierza w różne strony, ale donikąd nie dochodzi. I nigdy pan nic lepszego nie napisze. Niech pan od razu zrezygnuje, stary, to nie pańskie powołanie!

Paż Gauthier wolałby, żeby go nie było. Mnie zaczynają się przewracać bebechy.

- Pana oczywistym powołaniem jest to! RzUCA mi na kolana numer "Actuel", który wzięła nie wiadomo skąd. Przecież wchodząc miała ręce puste, no nie?

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo tacy faceci jak pan są potrzebni w wydawnictwie! Kozioł Ofiarny! Tego dokładnie mi trzeba. Widzi pan, panie Malaussene, na moim stanowisku ciągle mi wymyślają, mam tego dosyć!

Następuje długi, przeraźliwie ostry śmiech, który brzmi tak, jakby coś w nie kontrolowany sposób wyciekało. I równie gwałtownie ustaje.

- Od początkujących pisarzy, którzy uważają, że się ich nie dość uważnie przeczytało, przez nowicjuszy, którzy sądzą, że się ich nie tak wydało, po doświadczonych, którzy zarzucają, że się im źle płaci, wszyscy mi wymyślają, panie Malaussene! Ani jeden, słyszy pan, w ciągu dwudziestu lat pracy nie trafił mi się ani jeden pisarz, który byłby zadowolony ze swojego losu!

Ta królowa Zabo robi na mnie wrażenie nad wiek rozwiniętej, pięćdziesięcioletniej dziewczynki, która nie może się nadziwić żywości własnej inteligencji. Ale jest jeszcze coś. Coś wiekuiście smutnego w tej wymuszonej wesołości. Tak, jakieś smutne tło pod zelektryzowaną masą pupiastej twarzy.

- Na przykład, panie Malaussene, nie dalej jak w zeszłym tygodniu pojawia się pewien kandydat, który pragnie wiedzieć, co myślimy o jego rękopisie wysłanym dwa miesiące temu. Była dziewiąta rano. Tu obecny Gauthier (Gauthier, jest pan obecny?) przyjmuje go w swoim biurze i, ponieważ się jeszcze dobrze nie obudził, wychodzi, by poszukać w moich papierach fiszki, którą naturalnie ma u siebie. Podczas jego nieobecności facet zaczął oczywiście szperać w papierach. Trafia na recenzję, gdzie napisałam: "Gówno". Tak, we własnym gronie jesteśmy zwięzli. A praca Gauthiera na tym polega, żeby tę zwięzłość nieco okrasić. Krótko mówiąc, recenzja nie była przeznaczona dla autora rzeczzonego rękopisu. No cóż, jaka według pana była reakcja, panie Malaussene?

(No cóż, prawdę mówiąc...)

- Rzucił się do Sekwany, tutaj, zaraz naprzeciwno.

Błyskawicznym ruchem wskazuje podwójne okno, które wychodzi na rzekę.

- Kiedy go wyłowili, miał recenzję przy sobie, podpisaną moim nazwiskiem. Bardzo przykre.

Dobra, zrozumiałem, co z nią jest nie tak. W swoim czasie królowa Zabo była wrażliwą istotą, małą dziewczynką cierpiącą z powodu nieszczęść całej ludzkości. Umęczoną nastolatką. Coś w tym sensie. Tajemniczą depozytariuszką smutku istnienia. Kiedy męka przybrała postać drogi krzyżowej, po wielu wahaniach zapukała do drzwi jakiegoś wziętego psychologa. Wysłuchiwacz od razu skapował, że ludzkie uczucia uwierają to bystre dziecko, i cierpliwie, seans po seansie, wytrepanował je z niej dokumentnie, a na to miejsce wszczepił poczucie społeczne. Oto czym jest królowa Zabo. Owocem udanej psychoanalizy: kiedy się opycha, korzysta tylko głowa. Reszta nie. Spotkałem już takich ludzi, jeden diabeł.

- No więc angażuję pana, panie Malaussene, żeby uniknąć tego rodzaju nieprzyjemności.

(Mnie? Ja nie jestem zaangażowany!) Cisza. Przenikliwe spojrzenie Jej Wysokości. Potem:

- Przypuszczam, że po takim artykule został pan z Domu Towarowego zwolniony?

Spojrzenie w ultrafiolecie. Cień uśmiechu:

- Może nawet opublikował go pan w tym celu?

Po czym kategorycznie:

- Zrobił pan głupstwo, panie Malaussene, jest pan stworzony do tej pracy, i do żadnej innej. Kozioł Ofiarny to pański *stan*.

I, odprowadzając mnie szybkim krokiem, jak żołnierz w ataku:

- Niech pan będzie spokojny, dostanie pan masę propozycji, proszę pamiętać, że my zapłacimy podwójnie.

No i nadchodzi fatalny czwartek. Bardzo się starałem zatrzymać czas skupiając się na każdej sekundzie, ale, niestety, przeciekł przez szczeliny mojej świętej duszy. ("Duchowi memu dała w pysk", na tym się Klara potknęła na ustnej maturze...)

Najogłędniej mówiąc, w dziale zabawek nie ma tłumów. Musieli nadać jakieś hasło, jakiś znak, który w tajemniczy sposób trzyma klientelę z daleka. Ja jestem. I zdaję sobie sprawę, że od naszej podziemnej wyprawy z Gimini Świerszczem ani przez moment nie przestałem myśleć o tej chwili. Termin tkwił obsesyjnie na dnie każdej najdrobniejszej myśli. Boję się. Boże, jak ja się boję! Jest siedemnasta trzydzieści. Gimini jeszcze nie przyszedł. Coudrier też nie. Ani żaden z jego ludzi.

Moja wiewióreczka schudła. Z policzków zniknęły zimowe zapasy: Sklep... zmęczenie Sklepem... Jej koleżanka łasiczka porządkuje na półkach towary porzrucane przez dzieciarnię w godzinach szczytu o czwartej. Giminiego nie ma.

Ja jestem.

A ofiara? Czy ofiara jest? "Wskażę ją panu w odpowiednim momencie, zobaczy pan, będzie pan zdziwiony." Dlaczego zdziwiony? W gruncie rzeczy właśnie o tym nie mogłem przestać myśleć. (Dlaczego zdziwiony? A więc znam ofiarę? Osoba publiczna? Twarz z mass mediów?) O tym i o reszcie myślałem, naraz. O naszej rozmowie w metrze. "Dlaczego zabija ich pan w Sklepie? Zwabia ich pan? Jak?" Mój staruszek miło się uśmiechnął: "Czy pan czasem czyta powieści?" Odpowiedziałem, że tak i że częściej niż czasem. "No to pan wie, że nie można od razu rozgryźć całej intrygi." Pomyślałem, że słowo "rozgryźć" pasuje do jego wieku. Ale pomyślałem też: intrygi? "Intrygi?" "Dokładnie, niech pan sobie wyobraza siebie w jakimś miejscu powieści, to panu pomoże zwalczyć strach." I dodał: "A może nawet się nim rozkoszować." Wtedy przestał być dla mnie taki jednoznaczny. Zacząłem mieć pietra. Utajonego pietra, który mnie już ani na chwilę nie opuścił. Z ubocznymi skutkami upłynniającymi. "Laksą", powiedziałby Rabelais. (Srączką, no.) Zastanawiałem się, skąd mi się to wzięło. To był strach... A Teresa? Jak sobie poradził, żeby znaleźć Teresę i ją zidentyfikować? "Z pańskiego rodzeństwa ona jest najbardziej podobna do pana." (Ach tak, bo zna także i resztę? Tak, tak, Malca i jego potwory, Jeremiasza i jego zdolności do nauk eksperymentalnych, oko Klary...) "To żadna tajemnica, młody człowieku, wasz przyjaciel Teo bardzo was lubi." Oczywiście, Teo, racja. Teo mu o nas mówił. "Jesteście jego rodziną, w pewnym sensie, tak jak on jest naszą." Naszą? Aha, wszystkich staruszków ze Sklepu. Niemniej to właśnie to, a nie ostrzeżenie Coudriera wywołało uczucie, że nad moją rodziną wisi jakaś dziwna groźba, w przypadku gdybym się cofnął, i dlatego tu przyszedłem. Nadal go jednak lubiłem, mojego mitycznego ojca, mojego "likwidatora potworów", chociaż był taki stuknięty. Metro trzęsło nami jak samo życie i, żeby jakoś utrzymać równowagę, kładł swoje małe rączki płasko na siedzeniu. Niczym dodatkowe tylne kółeczka do dzieciennego roweru.

Tak, chętnie bym go do siebie sprowadził, mojego staruszka, umieściłbym go w domu, na miejscu protoplasty, gdyby nie ta historia z bombami i to cholerne umówione spotkanie. No bo jednak, siedząc tak sobie naprzeciwko mnie na swoim małym tyłeczku, wciągał mnie w morderstwo...

- Zaświadczysz o tym, młody człowieku, jesteś jedynym, który jest tego godny!

Jest. Przyszedł. Włożył swoją szarą bluzę, jak wszyscy starszaki od Tea. Przykleił znowu na twarz starcze rysy. Jest tym samym co z początku zapyziałym starszakiem. Starszakiem od AMX 30. Nie sposób zorientować się, czy mnie dostrzegł, czy nie. Jest po przeciwnej stronie działu. Obmacuje robota King Konga, który z zemdloną kobietą w ramionach dobił mnie ostatecznie po mojej przygodzie z nurkiem. Dobywam mojego peryskopu i szukam w Sklepie choćby cienia gliniarza. Nic. Wyłącznie z rzadka rozsiana klientela, która obwąchuje to i owo, nieświadoma, co się tu rozgrywa. A ofiara? Ofiary także nie ma. W każdym razie nikogo, kogo bym znał. Coudrier, do jasnej! Napoleonie mój, nie wytnij mi takiego numeru jak Grouchy! Zjaw się! Umieram ze strachu. Nie chcę patrzeć na morderstwo. Nie życzę sobie, żeby ktoś zabijał zabójców, nigdy tego nie chciałem, jestem przeciw! Przyłaż, Coudrier, do cholernego diabła! Bierz się za swoją gliniarską robotę! Zgarnij Zorro i jego ofiarę! Odznacz pierwszego, a drugiego poślij na śmietnik, ale wyłącz z tego mnie! Jestem porządnym bratem rodziny! Nie jestem ramieniem sprawiedliwości ani jej okiem! COUDRIER! GDZIE JESTEŚ?

(Gdyby mi ktoś powiedział, że kiedyś będę pokładał tyle nadziei w przybyciu gliniarza!...)

Gimini mnie zobaczył.

Uśmiecha się.

Spod swojej lipnej stetryczalności daje mi znak, żebym czekał, żebym się nie niecierpliwił. Dalej bawi się jak dzieciak czarną małą z białym ciałem zemdlonej Klary w ramionach. Stawia ją na podłodze i puszcza w moją stronę. Złośliwa mała rusza. Otóż to, pobawmy się. To jest odpowiedni moment! Bądźmy cierpliwi...

(Zabieram się stąd, nie ma mowy, żebym tu został. Zabieram się! Jeżeli w ciągu pięciu sekund nie zobaczę Cesarza i jego Gwardii, zwijam manatki!)

Jeden...

Dwa...

Trzy...

Nagle olśnienie. ZNAM OFIARĘ! To ten gnój Risson! Księgarz moich marzeń! Wszystko się zgadza: wiek, zgnilizna mózgu, obecność w Domu Towarowym czterdzieści lat temu. Dostawca! To on był dostawcą dzieci! To on był tym kusicielem, który tumaniał zagrożone rodziny, obiecując, że wyprowadzi dzieciaczki na tyły wojny, a tymczasem dostarczał je potworom do kotła! Jest jedynym znanym mi facetem zdolnym do pełnienia tej roli! Risson. Zaraz tu przyczłapie, zagadkowo zwabiony zapachem własnej śmierci. I wyleci w powietrze na moich oczach! Jeśli sobie pójdę, i tak zginie. Absolutna pewność. Wystarczy, że znam godzinę i miejsce i jestem świętym zakładnikiem zabójstwa! Ostatnim razem Zorro zadowolił się przecież obecnością Teresy. Teraz już ani myślę odchodzić. Nie jestem mordercą. Bardzo bym chciał, to na pewno ułatwia życie, ale nie leży w mojej świętej naturze. Zostać. Bawić się z chodzącym gorylem tak długo, jak długo to będzie konieczne. Czekać. Wytrzymać. A jak tylko Risson się pokaże, rzucić się na niego i wypchnąć poza obszar zaminowanego pola. Niech sprawiedliwość sobie z nim radzi, ale beze mnie. Nie jestem Zbrodniarzem, nie będę też Sędzią.

Żarzący się goryl sympatycznie sobie kuszyka jak pingwin. Ta pozorna niewinność tylko potęguje grozę. Czerwone oko. Ogień w pysku. Z Klarą w ramionach... Przestań się wygłupiać, Malaussene, moment nie jest odpowiedni. Kiedy goryl dotrze pod twoje nogi, odeślesz go z powrotem. I ta idiotyczna zabawa ma trwać. *Trwać!* W tym cała rzecz. Dopóki coś się nie stanie, dopóki nie pojawi się Coudrier albo dopóki wysoka postać Rissona nie zarysuje się na tle schodów. Kudły mały są rzeczywiście czarne. A ciało dziewczyny naprawdę białe. Czern i biel. Błysk białego ciała na tle martwej nocy! Płomień z pyska i złowieszcze lśnienie oczu...

I nagle dostrzegam jego oczy, tam, oczy Giminiego patrzące na mnie. Uśmiecha się. Mój mityczny dziadek...

Wreszcie zrozumiałem

Potrzebowałem na to sporo czasu!

Dokładnie tyle, ile trzeba, żeby przeżyć.

Ani trochę mniej.

Spojrzenie jest spojrzeniem Leonarda! Oczy te same co u Bestii!

I wysyła w moją stronę śmierć.

Zaskoczenie i strach są tak gwałtowne, że ognista szpada znowu przesywa moją głowę. Z czaszki wyskakuje mi cały szaszłyk krwawych ostryg.

Znowu jestem głuchy. I, naturalnie, pojawia się Coudrier. W odległości dziesięciu metrów. Obok manekina ubranego tak samo jak on i tak samo znieruchomiałego. Coudrier. W okolicy skórzanych kurtek - Caregga. I kilku innych. Nagła jawność policji.

Goryl posunął się o dobry metr.

Dlaczego ja?

Radość w tych jego oczach, złowrogi karzeł!

Zrozumiał, że zrozumiałem!

Naraz pojmuje.

On jest szóstym, ostatnim, dostawcą! Z nie znanych mi powodów wymordował pozostałych.

A teraz wysadzi mnie.

Dlaczego?

Jego Wysokość Kong jeszcze się przybliżył. Caregga, z prawą ręką wsuniętą za pazuchę kurtki, rzuca pytające spojrzenie na Coudriera. Coudrier szybko pokazuje głowę nie.

Nie? Jak to nie? Ależ tak, na miły Bóg! Tak! Wyciągnij splotę, Caregga! W iskrach goryla błyska błękit. Błękit i żółć, które podkreślają krwawość czerwieni.

Przerażone spojrzenie do Coudriera.

Głucha i niema modlitwa do Careggi.

Paraliż.

Żadnej odpowiedzi.

I ta niewypowiedziana rozkosz na twarzy starego.

Radość wywołana widokiem mego przerażenia. Orgazm! Rajskie szczytowanie! Choćby nawet żył tylko w oczekiwaniu tej chwili, warto mu było czekać i sto lat!

Coudrier nie wejdzie do akcji.

To superświadomy głuchol we mnie przemawia do głuchola wszechwidzącego.

Oni wszyscy pozwolą, żebym wyskoczył w powietrze!

Wyskoczyć, no, jak wyskoczyć to wyskoczyć!

Skok mojego życia. Prosto na tę małą, porywaczkę dzieci! Widziałem wyraźnie moje własne ciało zawieszona w przestrzeni, równoległe do ziemi, jakbym był kimś innym. Skoczyłem na małą, ale nie spuszczając go z oczu, tego drwiącego potwora... I kiedy spadłem na moją ofiarę...

Kiedy nacisnąłem wyłącznik...

On wyleciał w powietrze.

Tam.

Po przeciwnym końcu lady.

Szara bluza wzdęła się.

Jego twarz, w mgnieniu sekundy, w paroksyzmie zachwyty.

Potem z bluzy wyciekła krwawa masa.

Która uprzednio była jego ciałem.

Implozja.

A kiedy wstałem, zrozumiałem, że wpakował mnie w zabójstwo.

Dlaczego ja?

Dlaczego?

Gliniarze wyprowadzili mnie.

Tym razem odzyskanie słuchu trwa wiele godzin. Godzin spędzonych samotnie w sali szpitalnej, która na pewno jest pełna dźwięków. Samotnie, jeżeli nie liczyć trzydziestki studentów medycyny, którzy nabożnie słuchają wypowiedzi białego mistrza pochylonego nad moim przypadkiem głuchoty napadowej. Jego uśmiech jest uśmiechem Wiedzy. Ich powaga - powagą terminatorów. Pewnego dnia będą się żarli o jego miejsce. On będzie się czepiał zębami. Wszystko to odbędzie się z dala ode mnie. Ja bowiem, z sześcioma zabójstwami na karku, będę przesuwiał paciorki dożywocia w jakiejś celi.

Dlaczego?

Dlaczego ja?

Dlaczego mnie w to wpakował?

Gimini nie może już na to odpowiedzieć.

Jak się w gruncie rzeczy nazywał ten mój idealny dziadek? Nawet nie znam jego nazwiska.

Gdybym przynajmniej mógł już do końca nic nie słyszeć. Ale nie, biały mistrz nie dostał dyplomu za nic. Więc oczywiście udaje mu się mnie odetkać.

- Nie było to w istocie uszkodzenie mózgu, panowie.

Pełne podziwu pomruki zachłannych na wiedzę piranii.

- Objawy na pewno już się nigdy nie powtórzą.

I do mnie, głosem przepojonym słodyczą:

- Jest pan wyleczony, mój drogi. Pozostaje mi tylko zwrócić panu wolność.

Moja wolność wkrótce pojawia się na horyzoncie w osobie inspektora Careggi. Który bez słowa prowadzi mnie w kierunku bulwaru Orfevres. (Opłacało się doprawdy przywracać mi słuch, żeby mnie następnie oddać w ręce niemego!)

Trzaskanie drzwiami. Schody. Winda. Trzaskanie obcasami na korytarzu. Trzaskanie drzwi. I puk, puk do komisarza okręgowego Coudrier.

Właśnie telefonował. Odkłada słuchawkę. Patrząc na mnie powoli kiwa głową. Pyta:

- Kawy?

(Czemu nie?)

- Elżbieto, poproszę...

Kawa.

- Dziękuję, może pani iść.

(Tak... ale dzbanek z kawą proszę zostawić, tak, dziękuję.)

Jedynie nie trzaskające drzwi w całym tym kramie to drzwi do gabinetu komisarza okręgowego Coudrier, które zamykają się za Elżbietą.

- No więc, mój chłopcze, zrozumiał pan wreszcie?

(Niezupełnie, nie.)

- Jest pan wolny. Właśnie dzwoniłem do pana rodziny, żeby ją uspokoić.

Następują wyjaśnienia. Wyjaśnienia końcowe. No więc: nie jestem zabójcą. Za to był

nim ten drugi, ten szatański karzeł, którego wysadziłem w powietrze. I to pierwszej klasy. Nie tylko spowodował własną śmierć, zmuszając mnie do skoku na goryla, ale także wykończył całą swoją ekipę potworów.

- W jaki sposób zwabiał ich do Sklepu?

Pytam spontanicznie, a właśnie to pytanie od dawna nurtowało Coudriera.

- Nie zwabiał. Przychodzili z własnej woli.

- Że co?

- Samobójstwa, panie Malaussene.

Uśmiecha się i wyciąga w fotelu.

- Ta sprawa odmłodziła mnie o trzydzieści lat. Jeszcze filiżankę?

Było mnóstwo takich przelotnych sekt podczas drugiej wojny światowej. Otóż jedno z pierwszych w życiu zadań komisarza Coudrier, kiedy tylko umowy pokojowe zostały zawarte, polegało na wytrzebieciu tego diabelskiego pomiotu.

- Zajęcie dość monotonne, mój chłopcze, wszystkie te przeklęte sekty z lat czterdziestych były do siebie podobne jak dwie krople wody.

Tak. Wszystkie na jedno kopyto. Ciekawe zjawisko odrzucenia zasad moralnych i ideologii na rzecz mistyki Chwili. Wszystko wolno, ponieważ wszystko jest możliwe. Oto co ich członkom z grubsza chodziło po głowie. A ekscesy tamtego czasu dodawały im odwagi. Wokół pachniało konkurencją, by tak rzec. Do tego dochodziła radykalna krytyka materializmu, który każe człowiekowi harować, by coraz więcej posiadać, i przewidywać, co mu się jutro opłaci. Śmierć jutru! Niech żyje chwila! Chwała Mamonowi Sybarycie, Księżciu Wiecznotrwalej Chwili! Otóż to. Z grubsza. Więc, słodkie oszołomy swoich czasów, dalej się stowarzyszać na prawo i lewo w przelotne sekty ożywiane żądzą rozrywki i mordy, jak Klan 111, milutka banda sześciu potworów, uczniów Bestii 666.

- Muszę przyznać, że z początku byłem w kłopotcie. Ale Coudrier dość szybko się połapał.

- Najpierw ten wyraz rozkoszy na twarzy wszystkich ofiar. Tak, pierwszy z rozpiętym rozporkiem, dwójka starych w uścisku, ten tam natalista robiący sobie przyjemność tuż przed wybuchem, no i goły Niemiec w skandynawskiej toalecie.

- To nie było całkiem normalne.

(Nie całkiem, nie.)

Seks i śmierć, komisarzowi coś to przypominało, *death and sex*, nie chrzczone gnojki - zalatywało czymś, co nauczył się rozpoznawać w czasach powojennych dochodzeń.

- Ale czemu wybrali Dom Towarowy na te swoje... ceremonie?

- Już panu mówiłem. Sklep przedstawiał dla nich świątynię materialistycznych nadziei. Trzeba ją było sprofanować poświęcając niewinne ofiary, zwabione kuszącym blaskiem przedmiotów. Helmut Kunz, Niemiec, lubił się przebierać za świętego Mikołaja, o czym świadczy jego kolekcja zdjęć. Rozdawał zabawki w czasie sprawowania ofiary.

Cisza. Duszę ścina chłód. (Kawę, poproszę, małą gorącą kawę!)

- Dlaczego popełnili samobójstwo?

Dobre pytanie: rozbłysło mu oko.

- Jeśli chodzi o samobójstwa, to przekonało mnie rozumowanie astrologiczne pańskiej

siostry Teresy. Ci panowie rozumieli język gwiazd. Święcie wierzyli, że dzień ich śmierci jest w nich zapisany. Popelniając samobójstwo w przewidzianym dniu szanowali wyrok gwiazd, zachowując zarazem osobistą wolność.

- Przejęli, w pewnym sensie, rolę Przeznaczenia...

- Tak, a dając się wysadzić w powietrze na oczach wszystkich, w tym samym miejscu, w którym doznali niegdyś tak intensywnych przeżyć, podarowali sobie ostatnią wielką satysfakcję. Coś w rodzaju apoteozy.

- Stąd wyraz ekstazy na twarzach. Kiwnięcie głową. Cisza. (Nieskomplikowani ludzie, w gruncie rzeczy...)

- A ja w tym wszystkim? Jaka była moja rola?

(Racja, rzeczywiście!)

- Pan?

Leciutko zwiększa natężenie światła.

- Mój drogi chłopcze, był pan najwspanialszym prezentem, jaki mogli otrzymać od opatrności: był pan świętym - brał na siebie wszystkie grzechy Handlu, wylewał łzy za klientów, zaszczeniał nienawiść u każdego, kto w Sklepie miał nieczyste sumienie, słowem, pan z pańskim nadzwyczajnym darem ściągania na siebie zabłąkanych kul wydał się naszym potworom świętym! Odtąd zaczęli marzyć o pańskiej skórze, więcej, aureoli! Skompromitować autentycznego świętego, obciążyć go zabójstwem, wydać jako winnego na publiczną zemstę, to była nie lada pokusa dla tych starych dziadów, prawda? Skutek był taki, że koledzy o mało pana nie zlinczowali. Szczęście, że Caregga był na miejscu, pamięta pan...

- Ale ja nie jestem świętym, do jasnej cholery!

- O tym zadecyduje Watykan, a raczej Kongregacja do spraw Wiary, dokładnie mówiąc, za jakieś dwieście, trzysta lat, jeśli będą chcieli pana kanonizować... Tak czy owak, ostatni z naszych potworów posunął się dalej niż inni. Pański przyjaciel Teo zapewne wiele mu o panu opowiadał, w świętej naiwności, z podziwem, a pańskie zalety starszego brata tylko spotęgowały jego nienawiść. Widział w panu świętego Mikołaja ratującego niewinnych od kotła. A kocioł należał do niego. On go zaopatrywał. Pan mu odbierał jego obiad. Ten człowiek nienawidził pana tak, jak już nikt nigdy nie będzie pana nienawidzić. Sprawiając, by pan go zabił na oczach policji, dostarczał niezbitego dowodu, który miał pana zgubić. I, szczyt wyrafinowania, zadbał o to, żeby uprzednio zawrócić panu w głowie. Bo zawrócił, tamtej nocy w metrze, prawda?

(Tak.)

- Niech pan sobie wyobrazi jego radość, kiedy pojął, że łyka pan haczyk. Umarł przeświadczony, że wszystkie sześć morderstw obciążą pana.

(...)

- Jak się nazywał?

Wymowne spojrzenie. Światło przygasa.

- Tutaj stoi pan wobec tajemnicy, mój chłopcze. Był szanowany, jak to się mówi.

(No i miałeś rację, Teo...)

Tak więc wyniki śledztwa pozostaną tajne. W Sklepie już nie będą wybuchać bomby. Ale Sinclair, żeby podkreślić obroty, zastąpi gliniarzy strażą, która nadal będzie przeszukiwać klientów. Straż będzie jakby Pomnikiem Poległych. (Pomnik Poległych powinien być nade

wszystko żywy.)

Jeszcze dwie drobnostki. Kiedy pytam Coudriera, czemu nie przeszkodził, czemu mi pozwolił rzucić się na goryła, odpowiada po de gaulle'owsku:

- To się musiało dokonać.

A nieco później, idąc ze mną do drzwi:

- Niesłusznie pan zrobił, doprowadzając do swego zwolnienia z Domu Towarowego, panie Malaussene: był pan bardzo dobrym Kozłem Ofiarnym.

Wychodząc z gmachu Policji Śledczej miałem przez chwilę nadzieję, że pod znakiem zakazu postoju będzie na mnie czekać cytrynowa blaszanka. Tak bardzo chciałem zwinąć się w kłębek na łonie jej właścicielki i tam bezpiecznie się zdrzemnąć. Ale nie. Była tylko czarna dziura metra. Dobrze. To będzie noc bez Julii. Noc z Juliuszem.

W domu czekały na mnie liczne niespodzianki. Najpierw ogromny stos listów z ofertami. Które po przeczytaniu wrzuciłem do kosza. Wszystkie firmy w kraju miały ochotę wyprawić ucztę tuczącą dla Kozła.

Nic z tego, koniec, "nigdy więcej", jak mawiał pewien papież a propos wojny.

Ostatnia koperta pochodziła z Ministerstwa Edukacji Narodowej. Otworzyłem ją, żeby tylko zobaczyć, ile też proponuje mi minister za to, że będę się za niego nadstawiał.

Nie proponował nic. Prosił jedynie o zwrot kosztów leczenia Jeremiasza. Rachunek w załączeniu.

Właśnie liczyłem zera, kiedy zaskrzeczał interfon.

- Ben? Schodź szybko, czeka cię niespodzianka. Naturalnie rzuciłem się na dół.

Niespodzianka była solidna. (Nawet podwójnych rozmiarów!)

Mama! To była mama.

Śliczna jak to mama. Była jeszcze młoda jak mama. No i. była w ciąży po uszy, jak śliczna młoda mama.

Powiedziałem:

- Mamo! Mamo!

Ona powiedziała:

- Beniaminie, mój malutki!

Spróbowała mnie objąć, ale ten drugi, w środku, już stawiał opór.

Powiedziałem:

- A Robert?

Odrzekła:

- Roberta już nie ma.

Pokazałem na małego okrągłaka:

- A on?

Odrzekła:

- To ostatni, Ben, przysięgam.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do królowej Żabo.